



**CLAUDE DUBOIS**

**ZŁOCISTE PIASKI**



## Rozdział 1

Sybil Morgan wyszła przez drzwi obrotowe Citybank na ulicę. Była dopiero czwarta po południu, a mimo to zmierzch pochmurnego listopadowego dnia spowił już Nowy Jork szarą mgiełką.

Sybil opuściła swoje miejsce pracy wcześniej niż zwykle, gdyż musiała się udać na ważne spotkanie.

Kiedy skręciła w Pięćdziesiątą Czwartą Ulicę, w twarz dmuchnął jej lodowaty wiatr. Sybil poczuła chłód przenikający do samej skóry. Ale dreszcz, który jej przebiegał po ciele, należało bardziej przypisać zdenerwowaniu niż pogodzie.

Weź się wreszcie w garść, napomniiała samą siebie, jeśli będziesz się zachowywać jak wystraszona kura, przekreślisz wszelkie swoje szanse. Wtedy nigdy nie dostaniesz tej posady!

Wszystko zaczęło się w jednym z najpopularniejszych nowojorskich barów. Było to mniej więcej przed tygodniem.

Tamtego dnia kolega Sybil, Billy Baker, podszedł do jej biurka i zapytał ją, czy po zakończeniu pracy nie poszliby jeszcze gdzieś razem czegoś się napić.

— Ten dzień zasługuje na wyróżnienie „Najnudniejszy Dzień Roku”. Naprawdę potrzebujemy odrobiny czegoś mocniejszego na poprawę humoru.

Sybil zaprzyjaźniła się z Billym, który podobnie jak ona odbywał przeszkolenie w City bank. Wspólnie narzekali na nudny program szkoleniowy, a i poza tym zgadzali się ze sobą w wielu kwestiach. Czasami spotykali się jeszcze po pracy, by razem wypić drinka, przeważnie w „MichaePs Pub” na Trzeciej Avenue.

Lecz tamtego dnia chcieli robić coś zupełnie szczególnego. Wzięli taksówkę i pojechali na West Side. W barze na najwyższym piętrze „Gulf and Western Building” rozsiedli się wygodnie w głębokich miękkich fotelach. W dole błyszczały światła Nowego Jorku, a przed nimi roztaczała się cudowna panorama miasta.

Sybil zamówiła białe wino, a Billy szkocką z wodą sodową. Potem ona znowu zaczęła narzekać na monotonne dni w banku, a on znow jej tłumaczył, że powinni mieć po prostu więcej cierpliwości i że wszyscy ludzie muszą zaczynać od małych rzeczy.

Sybil skrzywiła się.

— To, co mówisz, Billy, jest w guście drobnomieszczańskim. Wiadomo, że nic nie stanie się samo, jeśli człowiek nie zrobi czegoś w tym kierunku.

— Okay, miss Genial, więc zrób coś. Znajdź sobie wymarzoną posadę z podróżami do Londynu, Rzymu i Paryża. Oczywiście dobrze płatną. Jeśli to tylko kwestia decyzji, to zdecyduj się!

Tym tonem Billy nigdy z nią jeszcze nie rozmawiał, i Sybil uświadomiła sobie, jak bardzo musiało mu przeszkadzać jej zrządzenie. Zamiast się zawstydzić, poczuła irytację. Odgarnęła do tyłu swoje długie blond włosy i powiedziała wyzywająco:

— Zakład, że tego dokonam? O co się założymy?

— O pięćdziesiąt dolarów i kolację w „Czterech Porach Roku”.

— Zgoda.

Kiedy szła teraz w chłodzie do PanAm Building, nieodparcie nasuwał jej się na myśl tamten wieczór w barze. W eleganckim otoczeniu, w towarzystwie zadowolonych ludzi wszystko wydawało się jej takie proste. O tym, że rzeczywistość jest inna, musiała się przekonać w następnych dniach.

Na próżno śledziła ogłoszenia o posadach w „Timesie”, „Wall Street Journal” i „Saturday Review”. Oferowane posady nie wydawały się bardziej podniecające niż liczenie zysków i strat w banku.

Ale przed dwoma dniami odkryła w „Wall Street Journal” anons, który był naprawdę wiele obiecujący.

„Szukamy młodej damy do niezwykłych zadań! Inteligentna, kompetentna, z doświadczeniem w pracach administracyjnych. Wymagane nienaganne referencje. Szyfr 214Y.”

Sybil natychmiast napisała podanie i trzy razy napluła na kopertę, jakby ten zabobonny gest mógł gwarantować powodzenie.

I dziś rano dostała tak upragniony telefon! Niejaka miss Bevier podziękowała jej łagodnym głosem za odpowiedź na ogłoszenie i zapytała, czy jeszcze tego samego dnia mogłaby się przedstawić w Rodney Enterprises. Oferowana posada musi być obsadzona od zaraz.

Sybil miała na końcu języka setki pytań, ale ponieważ koleżanka przy sąsiednim biurku mogła usłyszeć każde słowo, powiedziała tylko szybko:

— Mogłabym dzisiaj wyjść z pracy trochę wcześniej. Czy odpowiadałoby państwu, gdybym przyszła o wpół do piątej?

— Tak, dobrze — rzekła miss Bevier po krótkiej pauzie. — Jesteśmy na czternastym piętrze. Proszę pytać o mnie.

Sybil była zadowolona, że założyła dzisiaj swój najlepszy kostium. Kosium był z jasnej sierści wielbłądziej, a kupiła go podczas ostatniej wyprzedaży, kiedy po urządzeniu mieszkania zostało jej trochę pieniędzy. Do tego miała na sobie beżowy pulower, za który zapłaciła czekiem otrzymanym od ojca na urodziny.

Jej matka nie żyła, a ojciec pracował jako inżynier w firmie Aramco. Przed dwoma laty ożenił się ponownie i wyjechał ze swoją żoną do Arabii Saudyjskiej. Wysłała go tam jego firma. Mimo że Sybil była zadowolona, iż ojciec znalazł nowe szczęście, czuła się teraz związana z nim luźniej niż przed jego drugim ożenkiem.

Dotarła właśnie do PanAm Building, przemierzyła arkady przy Czterdziestej Szóstej Ulicy i weszła do dużego budynku.

W windzie spróbowała przy pomocy małej szczotki poprawić swoją fryzurę. Niestety nie miała lusterka i nie mogąc się upewnić, czy wszystko jest w porządku, była mocno speszona. Zaraz jednak drzwi windy się otwały, i tak czy owak było już za późno. Młoda dama w recepcji wydawała się mało zachwycona faktem, że jej przeszkodzono, i zapytała szorstko:

— Ma pani jakiś termin?

— Tak, jestem umówiona z miss Bevier — rzekła cicho Sybil usiłując ukryć swą niepewność.

— Proszę usiąść. Przekażę jej, że pani jest. — Twarz dziewczyny pozostała nieporuszona. Podniosła słuchawkę i powiedziała: — Miss Bevier, pani trzydziesta czwarta kandydatka. — Następnie zwróciła się ponownie do Sybil: — Miss Bevier zaraz przyjdzie.

Sybil siedziała na brzeжку dużego skózanego fotela i rozglądała się po pomieszczeniu. Na ścianach wisiały fotografie maszyn, i nagle przypomniała sobie, w jakim kontekście słyszała już nazwę Rodney Enterprises. Firma produkowała wysokiej klasy koparki. Po cóż, na Boga, potrzebowali kogoś takiego jak ona?

Zanim jednak doprowadziła ową myśl do końca, na końcu dużego pomieszczenia otwały się drzwi i jakiś energiczny głos zawołał:

— Miss Morgan?

Sybil zerwała się spieszenie z fotela i wyszła Miss Bevier na spotkanie.

Teraz muszę wziąć się w garść i zrobić dobre wrażenie, zdążyła jeszcze pomyśleć. W następnej chwili poczuła już mocny uścisk dłoni miss Bevier.

— Proszę, przejdziemy do mojego pokoju, miss Morgan. Tam nam nikt nie będzie przeszkadzał.

Sybil szła za kobietą przez kilka korytarzy, gdzie na ścianach wisiały fotografie narzędzi i urządzeń technicznych. W biurze miss Bevier dziewczyna poczuła się jak turystka oglądająca Nowy Jork po raz pierwszy.

Przez olbrzymie okna roztaczał się wspaniały widok na Park Avenue. Chciała coś powiedzieć, lecz zerknąwszy na poważną twarz miss Bevier

wolała się nie odzywać i usiadła na krześle obok biurka, gdzie widok przez okno jeszcze najmniej rozpraszał jej uwagę.

Miss Bevier była mniej więcej w połowie piątego krzyżyka. Sprawiała wrażenie osoby bardzo chłodnej, podkreślone jeszcze przez siwe, idealnie do niej pasujące włosy i szarą sukienkę.

Pytała Sybil o jej aktualne zajęcie i wykształcenie. Sybil odpowiadała na pytania niemal automatycznie i nadstawiła uszu dopiero wtedy, gdy miss Bevier zaczęła mówić o posadzie.

Mr. Rodney, właściciel Rodney Enterprises, zbudował sobie dom na Eleutherze, małej wyspie w archipelagu Bahama. Dom był już wykończony, lecz jeszcze nie urządony.

Osobista sekretarka mr. Rodneya miała polecieć na Eleutherę, żeby dopilnować na miejscu przywozu mebli i zadbać o urządzenie domu. Nagle jednak z powodu operacji wyrostka robaczkowego musiała pójść do szpitala.

Mr. Rodney życzył sobie, żeby dóm był urządony na Boże Narodzenie. Potem zamierzał spędzić tam parę tygodni ze swoją narzeczoną, Leą Ambrose.

— Z pewnością wie pani, kto to jest Lea Ambrose? — miss Bevier obrzuciła Sybil pytającym spojrzeniem.

Sybil przytaknęła skinieniem głowy. Każdy, kto choćby raz miał w rękę jakiś żurnal mody, znał Leę, piękność o czarnych włosach, która zrobiła karierę jako projektantka strojów.

— Przechodząc do rzeczy, miss Morgan. Szukam godnej zaufania, samodzielnej osoby, która poleci na Eleutherę i zajmie się urządzeniem domu. Z pewnością taka podróż sprawiłaby każdemu radość, zwłaszcza teraz, kiedy w Nowym Jorku robi się zimno i nieprzyjemnie.

Czy chce przez to powiedzieć, że mogę dostać tę posadę? — zastanawiała się Sybil. Nigdy jeszcze nie była na Karaibach, ale często o tym marzyła.

Praca nie wydawała się wyjątkowo trudna. Wydać tylko parę poleceń, gdzie postawić ten i ów mebel — na pewno pozostawało jeszcze dość czasu na opalanie się i nurkowanie. Billy by się zdziwił!

— Wydaje się pani inteligentna i rozsądna — ciągnęła dalej miss Bevier. — Naturalnie potrzebne mi są pani referencje, które sprawdzimy dokładnie. Chodzi o stanowisko oparte na zaufaniu. Ale jeśli wszystko będzie w porządku, nie mam wątpliwości, że nadaje się pani na to stanowisko. Gdy tylko pani referencje zostaną sprawdzone, musiałaby pani wyjechać. Tygodniowa pensja wynosi trzysta pięćdziesiąt dolarów, co jest naprawdę

wspaniałomyślne ze strony mr. Rodneya, jako że nie będzie pani miała żadnych wydatków. Prawdopodobnie ze względów podatkowych będzie lepiej, jeśli pani pensja wpłacana będzie na konto tutaj, w USA. Jeszcze to wyjaśnię. Poleci pani na Eleutherę prywatnym odrzutowcem Mr. Rodneya. Proszę poczynić wszelkie przygotowania, żeby mogła pani wyjechać natychmiast, gdy damy pani znać.

Sybil stała już ponownie w recepcji, zanim w ogóle uświadomiła sobie, czy chce wziąć posadę.

Kiedy jednak spotkała się z Billym, z którym była umówiona przed PanAm Building, podjęła już decyzję.

Poszli do jakiegoś pubu i zamówili o dwa piwa.

— Na miłość boską, Sybil! Założyliśmy się przecież tylko dla kawału! Musiałabyś być szalona, żeby pójść na to! Ryzykujesz swoją dobrą posadę w banku — dla paru tygodni na jakiejś samotnej wyspie? A co ty już wiesz o tym Davidzie Rodneyu? Ciebie sprawdzają skrupulatnie, a kto sprawdzi jego? Kto wie, może to jakiś szaleniec...

Sybil uśmiechnęła się. Od swoich czasów szkolnych nie czuła się tak swobodnie i beztrosko.

— Już postanowiłam, Billy. Bank to nie jest życie dla mnie. Na dłuższą metę tak czy owak tam nie wytrzymam. Kto wie, może będzie to dla mnie nowy start? Tym bardziej, że kiedy David Rodney zorientuje się, jakiego geniusza zaangażował, może zaproponuje mi posadę w swojej firmie. Coś ciekawszego niż liczenie przez cały dzień.

Billy spojrział na nią z zażenowaniem.

— Sybil, wierzyłem zawsze, że dobrze się rozumiemy i bardzo się lubimy. Nie chciałem, żebyś wyjeżdżała tak daleko. Kto wtedy będzie mnie trzymał za rękę, gdy będę w podłym humorze? Bardzo mi będzie ciebie brakowało. — Billy skrzywił twarz w uśmiechu. — Może utopię swój smutek w alkoholu i zostanę pijakiem?

Sybil wpatrywała się w swoją szklanę i nie wiedziała, co mu powiedzieć. Od pewnego czasu zauważyła wprawdzie, że Billy widzi w niej coś więcej niż dobrą koleżankę. Ale lubiła Billy'ego jedynie jako przyjaciela. Zakochana w nim nie była.

Marzyła o mężczyźnie, który byłby starszy od niej i posiadał większe doświadczenie życiowe. Billy'ego lubiła, nie chciała mu sprawić bólu, ale także robić fałszywych nadziei.

— Billy, jesteś moim najlepszym przyjacielem. Bez ciebie byłabym w Nowym Jorku bardzo samotna. Ale czymś więcej nigdy nie myślałam.

Chciałabym jeszcze zobaczyć dużo świata i coś przeżyć. Na trwałe związki czuję się jeszcze zbyt młoda.

Widziała po nim, że nie rozumiał jej. Billy zaplanował już całe swoje życie: dobra posada w banku, miła, kochająca żonka, która w domu pilnowała jego dzieci — naturalnie chłopca i dziewczynki. Nie mógł pojąć, że ona oczekuje od życia czegoś innego.

Dla Sybil nastały niespokojne dni. Ponieważ zdecydowała się już przyjąć posadę, bała się, że w ostatniej chwili coś może stanąć na przeszkodzie.

Czy powinna sobie kupić parę letnich rzeczy, czy raczej, jak planowała, botki na zimę? Zaoszczędziła 300 dolarów. Jeśli dostanie tę pracę, będzie pilnie potrzebować lekkich rzeczy.

Kiedy pewnego dnia przyglądała się u Bloomingdale'a modzie wakacyjnej, nie potrafiła się oprzeć. Kupiła sobie białe płócienne spodnie, czerwoną jedwabną bluzkę i jasnoniebieską sukienkę na szelkach.

Ale jej najpiękniejszym nabytkiem była sukienka wieczorowa w kolorze morelowym. Wiedziała, że to bezsensowny zakup. Gdzie miałyby ją nosić? Może przy wypakowywaniu mebli?

Kto wie, pomyślała, może jednak trafi się jakaś okazja.

Poza tym będąc już mogła jeszcze nosić następnego lata, pocieszyła się. Będzie bardzo dobrze pasować do jej opalonej skóry. Sybil łatwo się opalała, i matka nazywała ją zawsze latem małą Indianką.

Zakupy załatwiła podczas przerwy na lunch i kiedy wróciła do banku prawie godzinę spóźniona, na jej biurku leżała karteczka. Mr. Jones, który odpowiadał za program szkoleniowy, prosił ją do swojego biura.

Najlepiej mieć to od razu za sobą, pomyślała Sybil. W tej samej chwili jednak zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszała głos miss Bevier.

Ta potwierdziła, że Sybil otrzymała posadę, i zapytała, czy może wyjechać już następnego ranka. Poślą po nią auto, które zawiezie ją na lotnisko. Wszelkie dokumenty przekażą jej wcześniej przez posłańca. Na wszelkie pytania, jakie się jeszcze wyłonią, miss Bevier gotowa była odpowiedzieć w każdej chwili. Jednakże połączenie telefoniczne z Eleutherą było tak niepewne, że przez większość czasu Sybil będzie chyba zdana tylko na siebie.

Kiedy odłożyła słuchawkę, opadła na krzesło. Po głowie plątały się jej różne myśli.

— Miss Morgan!

Za nią stał mr. Jones.

Nieobecna duchem odwróciła się i wstała powoli.



— Chciałabym z panem porozmawiać, mr. Jones. Spojrzał na nią surowo.

— Ja z panią też.

Kiedy znaleźli się w jego biurze, zamknął za sobą drzwi.

— Miss Morgan, nie chciałbym wprawdzie niepotrzebnie rozdmuchiwać tej sprawy, lecz zauważyłem, że wczoraj i dziś przedłużyła sobie pani przerwę na lunch o godzinę. Mówię to pani po dobroci, ostatecznie pani dotychczasowe zachowanie było bez zarzutu...

— Mr. Jones, chciałabym złożyć wymówienie, ze skutkiem natychmiastowym. Mam nadzieję, że nie sprawi to panu żadnych kłopotów.

Sybil wiele dałaby za to, żeby Billy mógł widzieć zupełnie zbaraniałą minę mr. Jonesa.

— Miss Morgan, nie rozumiem, dlaczego reaguje pani od razu w ten sposób. Ostatecznie chciałem pani tylko poradzić... Naprawdę jest pani jedną z najlepszych w naszym tegorocznym programie szkoleniowym, i zamierzałem niebawem zaproponować panią do awansu. Bank robi bardzo dużo dla młodej kadry, ale naturalnie oczekuje także pewnej dyspozycyjności i poczucia obowiązku.

Sybil ledwo mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Naprawdę doceniam pańską gotowość pomocy, mr. Jones, ale zaproponowano mi bardzo interesującą pracę w Rodney Enterprises.

Z tego, że miała głównie rozpakowywać meble, nie musiała mu się przecież zwierzać. Jej słowa zrobiły na mr. Jonesie pożądane wrażenie. Zaczerpnął powietrza i nie wiedział, co odpowiedzieć.

Po chwili doszedł do siebie.

— Skoro już się pani zdecydowała, dyskusja jest chyba zbyteczna. Komitet będzie naturalnie rozczarowany. Umożliwiając komuś szkolenie, oczekuje się rzecz jasna długoletniej współpracy. To kwestia przyzwoitości, ale tego, miss Morgan, nie można chyba od pani oczekiwać. Sądzę, że to wszystko.

Sybil uśmiechnęła się do niego ujmująco i opuściła jego gabinet. Z radości gotowa była fikać koziołki. Nudny rozdział w jej życiu dobiegł końca.

Wracając na swoje miejsce powiedziała Billy'emu, że podczas przerwy chce się z nim spotkać w kantine.

Potem przedstawiła mu przebieg rozmowy z mr. Jonesem, i Billy zakrzuszył się dwa razy kawą, bo nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Obstawał przy tym, żeby ją zaprosić wieczorem na kolację do „Czterech Pór



Roku". Nie powinna sądzić, że chce się uchylić od spełnienia warunków przegranego zakładu. Poza tym byłoby to stosowne pożegnanie.

— A kto wie — rzekł Billy — czy w następnych miesiącach będziesz jeść cokolwiek oprócz papai i ryb. Prawdopodobnie będzie to twój ostatni solidny posiłek przed długą przerwą.

W dalszym ciągu nie miał wysokiego mniemania o tym, co czekało Sybil na wyspie.

Po powrocie do swego apartamentu Sybil miała akurat dość czasu, by spakować walizki, zanim pojechała do hotelu „Cztery Pory Roku” na spotkanie z Billym.

Założyła jasnoróżową jedwabną bluzkę, do tego brązową aksamitną spódnicę i brązowe zamszowe sandały. Wydawała się sobie elegancka i bardzo dorosła, i wierzyła, że potrafi zawojować świat.

Portier hotelowy przytrzymał jej drzwiczki, kiedy zajęła taksówką. Billy już na nią czekał, a widząc go, Sybil poczuła jednak ulgę, gdyż nagle opuściła ją ta wielka pewność siebie.

Usiedli przy małym stoliku pod oknem. Łagodne światło i ściszone głosy dawały jej wrażenie, jakby już teraz znajdowała się na jakiejś obcej wyspie.

Czy to rzeczywiście prawda, że jutro przyjedzie po nią samochód i zabierze ją na lotnisko?

Billy uniósł kieliszek.

— Za twoje nowe życie, Sybil. Mam nadzieję, że spełnią się wszystkie twoje oczekiwania!

## Rozdział 2

Kiedy Sybil obudziła się następnego ranka, była ósma. Odetchnęła z ulgą, gdyż śniło jej się, że nie zdążyła się na czas przygotować.

We śnie pakowała walizkę za walizką, a wszystkie szuflady wciąż jeszcze były pełne rzeczy, które musiała koniecznie zabrać. Może to był jakiś zły omen? Oczywiście, że nie, po prostu była tylko zdenerwowana.

W rzeczywistości Sybil miała niewiele do pakowania. Skorzystała z możliwości wynajęcia swego apartamentu na dwa miesiące pewnej znajomej. Tym sposobem zaoszczędziła sobie dużo pracy.

Do ojca zamierzała napisać dopiero po powrocie. Nie należało raczej oczekiwać, że pochwaliby jej zwariowany pomysł.

Sybil przeciągnęła się raz jeszcze i wyskoczyła z łóżka.

Miała nadzieję, że samochód rzeczywiście po nią przyjedzie. Tak naprawdę nie mogła jeszcze w to wszystko uwierzyć. Im dłużej się zastanawiała, tym bardziej wydawało się nieprawdopodobne.

Wzięła prysznic i wysuszyła włosy suszarką. Następnie włożyła biały pulower i ciemnozielone spodnie. Wkrótce będzie mogła nosić przewiewne letnie rzeczy, gdyż na wyspie było ciepło!

Kiedy przełknęła właśnie parę kęsów grzanki, usłyszała brzęczenie domofonu. To był Fred, portier budynku. Powiedział jej, że samochód czeka.

— Już schodzę! — zawołała do słuchawki. Szybko wypila jeszcze kilka łyków kawy. Ostatni rzut oka w lustro, i była gotowa do startu.

Zawlokła swoją ciężką walizkę do windy. Portier na dole w hallu patrzył na nią z wyraźnym respektem. Otworzył jej nawet drzwi, co zdarzyło mu się po raz pierwszy.

Dopiero kiedy wyszła na ulicę, uświadomiła sobie, dlaczego portier był tak uprzedzająco grzeczny. Przed budynkiem parkował srebrzystoszary rolls-royce! Obok samochodu stał szofer w uniformie niemal takiego samego koloru.

Sybil rozejrzała się. Czyżby to był wóz, który czekał na nią? To przecież niemożliwe. A może jednak? Chyba tak było, gdyż jak okiem sięgnąć nie widziała innego auta.

— Miss Morgan? — Szofer spojrział na nią pytającym wzrokiem. — Jestem Innes, kierowca mr. Rodneya.

Sybil chciała do niego podejść, potknęła się jednak o swoją walizkę, o której w oszołomieniu zupełnie zapomniała. Pewnie upadłaby jak długa na chodnik, gdyby Innes przytomnie jej nie podtrzymał.

— Dziękuję.

Sybil poczerwieniła jak burak próbując złapać oddech.

— Proszę mi dać swoją walizkę! Czy to cały pani bagaż?

Sybil skinęła tylko głową. Lepiej nic nie mówić niż palnąć jakieś głupstwo, pomyślała. Wystarczająco niezręcznie zabrałam się już do rzeczy.

Innes zaniósł jej walizkę do samochodu. Kiedy jednak zauważył, że Sybil chce otworzyć drzwiczki, natychmiast postawił walizkę i pośpieszył do niej.

— Pozwoli pani?

Otworzył drzwiczki i przytrzymał je, dopóki nie zajęła miejsca na tylnym siedzeniu wozu.

— Dziękuję — mruknęła.

Znowu zrobiła błąd. Ale ostatecznie do tego luksusu musiała się najpierw przyzwyczaić.

Sybil opadła na miękkie oparcie. Czowała się, jakby siedziała w cichym szarym gnieździe. Miała wrażenie, że widzi wszystko, lecz sama nie jest widziana przez nikogo.

Kiedy Innes ruszył, obejrzała sobie wnętrze wozu dokładniej. W środku był telefon, który wydawał się zrobiony z masy perłowej.

Na pewno tworzywo sztuczne, pomyślała.

Szkoda, że nie mogła zadzwonić do Billy'ego. Ale by się zdziwił. Przed nią, wpuszczone w oparcie fotela, znajdowały się małe mahoniowe drzwiczki. Sybil nie mogła się oprzeć i musiała je otworzyć. Ukazał się niewielki barek z alkoholami w kryształowych butelkach i małymi srebrnymi kubkami.

Westchnęła. Ludzie bogaci żyli zupełnie innym życiem.

Licznych guzików dookoła wołała nie dotykać. Głupstw narobiła już dosyć.

Kiedy akurat zaczęła oswajać się z tym luksusem, zaczęła ją nurtować pewna myśl. Czy powinna na lotnisku dać Innesowi napiwek? A jeśli tak, to ile? Czy może będzie urażony?

Westchnęła znowu. Takie to bywają problemy z bogactwem. W końcu jednak postanowiła mu nic nie dawać. Tak czy owak miała przy sobie tylko 35 dolarów. I kto wie, czy nie będzie jeszcze pilnie potrzebować tych pieniędzy.

Z pewnością popełniła błąd kupując jeszcze w ostatniej chwili drogie wieczorowe sandaalki, ale tak bardzo pasowały do sukni w kolorze morelowym. Nie potrafiła się oprzeć, i teraz była prawie bez gotówki.

Jechali w kierunku La Guardia Airport. Rozmyślała dalej. Jak to jest, kiedy się leci prywatnym samolotem?

Pytanie za pytaniem. Jeśli cało wyląduje na Eleutherze, najpierw będzie potrzebować urlopu, żeby odpocząć po wszystkich tych emocjach.

Innes skręcił w jakąś boczną ulicę. Dokąd on jechał? Wjazd na lotnisko był przecież prosto. Oczyma duszy Sybil widziała już nagłówek w gazetach: SZOFER UPROWADZIŁ DZIEWCZYNĘ W DRODZE NA LOTNISKO!

Nie, to jednak głupie. Zaraz zresztą wszystko się wyjaśniło. Na dużym szyldzie informacyjnym z przodu widniał napis, że znajdują się na lotnisku dla samolotów prywatnych.

Tym razem Sybil zaczekała, aż Innes otworzy jej drzwi, po czym uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

— Dzień dobry, Innes!

Do wozu podszedł niewysoki mężczyzna w granatowej koszuli i wziął jej walizkę. Zanim zorientowała się, co się dzieje, mężczyzna zniknął. Przestraszyła się.

— Nie dostanę kwitu bagażowego?

Innes wydał się jej nagle kimś w rodzaju starego przyjaciela.

— Nie ma obawy, miss. Jim zaniósł tylko pani walizkę na pokład samolotu. Poszukam teraz mr. Wolfsona, który zaprowadzi panią do maszyny.

— Tak, naturalnie — mruknęła Sybil. Wcale jednak nie była pewna, czy wszystko jest w porządku.

Podszedł do niej mężczyzna w szarym garniturze.

— Jestem Wolfson, pełnomocnik Rodney Enterprises. Dzień dobry. Proszę ze mną. Samolot jest gotowy do startu.

Kilku biznesmenów, stojących w pobliżu w małych grupkach, spojrzało na nią z uznaniem.

Sybil starała się przed nimi grać poważną, bywała w świecie damę. Czy uwierzyli jej? Nie miała czasu, żeby się nad tym zastanowić, gdyż mr. Wolfson szedł dosyć szybko. Z trudem dotrzymywała mu kroku.

Przez automatyczne drzwi wyszli na zewnątrz. Był pogodny i słoneczny jesienny dzień. W zimnym wietrze czuło się już jednak nadciągającą zimą. Samoloty błyszczały w słońcu srebrzyście.

Większość z nich miała napisy w jaskrawych kolorach, niebieskie, czerwone lub żółte. Współgranie barw, przejrzystego powietrza i jasnego światła słonecznego napępiało Sybil uczuciem, że znajduje się na początku wielkiej przygody. Była podniecona i pełna radosnego oczekiwania.

Dotarli do samolotu, na którym widniał napis DR-ENT.

— Piękny mały odrzutowiec, nie uważa pani? Jeden z najpiękniejszych na tym lotnisku! — zawołał mr. Wolfson.

Sybil przytaknęła, jakby знаła się cokolwiek na samolotach. Kiedy weszli po schodkach na górę, odniosła wrażenie, jakby znaleźli się w innym świecie.

Tutaj wszystko było ciche i pogodne. W małej kabinie znajdowały się cztery siedzenia i mały tapczan. Ściany były białe, tapicerka jasnoniebieska.

Sybil próbowała przyglądać fryzurę, gdyż z kabiny pilotów wyszedł najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziała. Miał ciemne włosy i mały wąsik.

— Kapitan Barone... miss Sybil Morgan — przedstawił mr. Wolfson. — To on od tej pory będzie się troszczył o panią. Życzę pani dobrego lotu.

Mr. Wolfson przecisnął się przez wąskie drzwi i zniknął.

— Witam na pokładzie, miss Morgan. Piękny dzień na latanie. Kiedy pani usiądzie i zapnie pasy, możemy od razu startować. Najwygodniejsze są przednie siedzenia.

Kapitan Barone uśmiechnął się szarmancko. Błysnęły jego białe zęby.

Clark Gable w najlepszym swoim okresie nie sięgał mu do pięt, pomyślała Sybil.

Kiedy zabezpieczyła się pasami, z kabiny pilotów wyszedł młody mężczyzna. Miał rude włosy i piegi, uśmiechnął się do niej.

— Jestem Terry, drugi pilot i steward. Ma pani ochotę na jakiegoś drinka?

Sybil polubiła go natychmiast, gdyż przypominał jej Billy'ego.

— Czemu nie? Chętnie napiłabym się coli.

Roześmiała się wraz z nim, zadając sobie w duchu pytanie, dlaczego tak łatwo przychodzi jej zawieranie przyjaźni z takimi mężczyznami jak Terry. A 'dlaczego była tak nieśmiała w obecności mężczyzn typu kapitana Barone'a?

— Już się robi.

Terry otworzył małą szafkę, gdzie było wszystko, czego potrzeba do drinków, nawet mała lodówka.

— Jeżeli podczas lotu będę mógł coś dla pani zrobić w charakterze dobrego ducha, wystarczy nacisnąć ten guzik. To będzie spokojny lot. Pokażę pani wszystko, co warte zobaczenia, i wprowadzę panią w świat Eleuthery.

Terry wciągnął schodki i zamknął drzwi, po czym zniknął z powrotem w kabinie pilotów.

Sybil oparła się wygodnie i zamknęła oczy. Samolot ruszył i jechał coraz prędzej, a w końcu oderwał się od ziemi. Szybko nabierali wysokości, i wkrótce Manhattan leżał daleko w dole niby miasto z klocków, otoczony dwoma ramionami rzeki i z zieloną plamą pośrodku: Central Parkiem.

Potem lecieli nad Long Island. Wąski pas w dole to musiała być Fire Island. Maszyna zatoczyła szeroki łuk, po czym wzięła kurs na południe.

Sybil była zmęczona. Chciała tylko na moment zamknąć oczy, żeby nie przespać tego podniecającego lotu.

Kiedy się jednak ocknęła, jakiś głos obok niej powiedział:

— Halo, miss Morgan. Za dziesięć minut lądujemy. Sybil otworzyła oczy i zobaczyła uśmiechniętą twarz

Terry'ego.

— Naprawdę nie chciałam zasypiać! A tym sposobem przegapiłam cały lot. Dlaczego mnie pan nie obudził?

— Bardzo mi przykro, my, dobre duszki, działamy tylko wtedy, kiedy ktoś naciśnie guzik. Myślałem, że latanie to dla pani normalka.

Roześmiali się obydwójce.

— Leci pani pierwszy raz małym samolotem?

— Tak, a w dodatku pierwszy raz na Karaiby.

— Spodoba się pani. Wyspa jest jak marzenie. Będzie pani gościem mr. Rodneya?

Sybil pokręciła głową.

— Jego pracownicą. Mam urządzić jego dom. Widział go pan?

— Nie, ale wszystko, co ma, jest pierwsza klasa. Posiada wycucie stylu i szeroki gest. Ale biada, jeśli ktoś zrobi błąd. Chciałaby pani widzieć, jak będziemy lądować?

— Jeśli to możliwe...

— Ależ tak. Proszę usiąść na moim miejscu, a ja zostanę tutaj.

Sybil zajęła miejsce w kabinie pilotów i niepewnie uśmiechnęła się do kapitana Barone'a.

Jak to możliwe, żeby ktoś potrafił rozróżniać wszystkie te przyrządy i guziki?

Lądowanie nie było tak spokojne, jak się spodziewała. Maszyna zdawała się podskakiwać w górę i w dół.

Sybil ujrziała morze. W pobliżu plaży było niebieskozielone, a w dali na horyzoncie miało barwę ciemnoniebieską. Otaczające plażę palmy kołysały się na wietrze.

Także samolot wydawał się kołysać, i Sybil przysięgła sobie, że kiedy wylądują, nigdy już nie opuści poczciwej ziemi.

Potem koła dotknęły ziemi. Drzewa tylko migały za oknem, i dziewczyna ze strachu zacisnęła powieki. Huk silników był ogłuszający. Ale w końcu zatrzymali się, co uważała już prawie za niemożliwe.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła nędzny budynek. Prawdopodobnie budynek portu lotniczego, gdyż nosił napis: „Witamy na Eleutherze”.

— Witamy na ziemi — szepnęła Sybil. Kapitan Barone roześmiał się.

— To było jedno z najlepszych lądowań, czysta rutyna. Sybil wpatrywała się w niego nie dowierającym wzrokiem. Miała uczucie, jakby o mały włos uniknęła śmierci.

Potem znowu spuszczone małe schodki, i Sybil niepewnym krokiem zeszła na ziemię.

Było południe. Gorący asfalt odbijał żar lejący się z nieba. Sybil zwróciła twarz ku słońcu i rozkoszowała się ciepłem. Terry przyniósł jej walizkę.

— Co pani ma w swojej walizce? Kawałki mostu Brooklyńskiego — jako pamiątki dla tubylców? Chodźmy, musimy przejść przez odprawę celną. Eleuthera należy do Anglii.

Celnik w brudnym mundurze nie był z pewnością wizytówką wyspy.

— Czy ma pani przy sobie papierosy lub alkohol? Sybil pokręciła głową.

— Rośliny, zwierzęta lub żywność?

— Nie, nic.

Urządник zaczął otwierać jej walizkę. Sybil spojrzała z przerażeniem na jego brudne paznokcie.

— Miss Morgan jest gościem mr. Rodneya. Nie ma potrzeby kontrolowania jej bagażu.

Terry popatrzył wymownie na celnika. Ten obrzucił Sybil osobliwym spojrzeniem.

— Ach tak? Przyjaciółka mr. Rodneya. Jedna z tych, co? Sybil zadała sobie w duchu pytanie, o co w tym

wszystkim chodzi. W co się tu wplątała? Ostatecznie nie wiedziała przecież, kim jest mr. Rodney. Czyżby kobieciarzem? Może Billy miał rację?

Kiedy się jednak patrzyło w dobroduszną twarz Terry'ego, trudno wręcz było uwierzyć, że bierze on udział w zwabianiu niewinnych dziewcząt do domu Rodneya.

Urządnik zrobił kredą znak na walizce Sybil i oświadczył, że odprawa skończona.

Wyszli na jaskrawe słońce. Lekko kuśtykając zbliżył się do nich barczasty Murzyn.



— To jest John-John. Zawiezie panią do domu. To mniej więcej godzina jazdy stąd. Proszę się go nie obawiać, jest łagodny jak baranek.

John-John przywitał się z Terryem, po czym zaniósł walizkę Sybil do dorys zdezelowanego z wyglądu forda kombi.

Sybil wyciągnęła rękę do Terry'ego.

— Zobaczmy się jeszcze?

— Nie sądzę. Przylecę na Eleutherę dopiero na Boże Narodzenie, z mr. Rodneyem. Wtedy do pani zadzwonię. O ile telefon nie będzie znowu uszkodzony. Mr. Rodney nie lubi, kiedy pracownicy płaczą się po jego domu.

Sybil miała uczucie, jakby traciła najlepszego przyjaciela. Ale w końcu nie mogła poprosić kapitana Barone'a, żeby ją wziął z powrotem do Nowego Jorku.

— Bardzo dziękuję, Terry.

— Wszystko będzie dobrze, dużo szczęścia. W najgorszym razie może pani wrócić do domu wplaw.

Sybil zajęła miejsce na tylnym siedzeniu starego kombi, i John-John uruchomił silnik. Chciała jeszcze pomachać Terry'emu, lecz pochłonęła go chmura pyłu, którą wzbily koła samochodu.

Po raz pierwszy zastanowiła się poważnie nad swoją sytuacją. Nie wiedziała nic o nowym miejscu pracy. Miss Bevier przekazała jej cały stos materiałów, ale właściwie nie miała czasu, żeby rzucić na nie okiem.

Było wśród nich kilka rysunków. Plany sytuacyjne rozmieszczenia mebli. Czy będzie musiała załatwiać odprawę celną? W takim wypadku musiałaby się użerać z niesympatycznymi urzędnikami. Wzdrygnęła się na myśl o ponownym spotkaniu z celnikiem, który chuchał jej w twarz dżinem i świdrował beczelnymi spojrzzeniami.

Przy szosie pracowała brygada budowlana. Sybil zamknęła okno wozu, gdyż kurz był nie do zniesienia. Samochód zmieniał się z wolna w piec chlebowy. Nie miał klimatyzacji, a słońce prażyło niemiłosiernie w dach wozu. W krótkim czasie Sybil była zлана potem.

Muszę być rozsądna, pomyślała. Miss Bevier powiedziała, że do tej pracy potrzebna jest rozsądna osoba. Nie miało sensu martwić się na zapas. Po prostu wykona swoją pracę, a potem wróci do Nowego Jorku.

Sybil wyjrzała przez okno. Upał był wprawdzie zabójczy, lecz musiała przyznać, że krajobraz wygląda wręcz rajsco.

Obsadzona palmami szosa wiodła wzdłuż wybrzeża, a każdy zakręt odsłaniał nowy porywający widok.

Najchętniej poprosiłaby John-Johna, żeby się zatrzymał. Cudownie przejrzysta woda była tak kusząca.

Rozmowa z John-Johnem ledwo była możliwa, gdyż jego dziwny akcent i hałas silnika utrudniały jakiegokolwiek porozumienie się.

Szosa znów skręciła. W następnej chwili pojawiło się przed nimi malownicze miasteczko portowe. Większość domów pomalowana była na różowo i miała ładne białe ornamenty. Prastare palmy dodawały szczególnego uroku szosie, która zataczała łuk wokół portu. Łodzie rybackie stanowiły jasne plamy na bezkresnym błękitcie morza.

John-John zatrąbił i grupka dzieci bawiących się na środku jezdni rozpiezchła się na boki. Dzieci wesoło im pomachały i Sybil także odpowiedziała im machnięciem. W centrum miejscowości John-John skręcił w prawo tak ostro, że Sybil poleciała w drugi kąt wozu. Jego styl jazdy nie pozbawiony był temperamentu.

Szosa prowadziła dalej poza miasto. Po kolejnej mili brawurowej jazdy John-John skręcił w drogę dojazdową, wyasfaltowaną lepiej niż szosa główna.

Droga wyglądała tak, jakby po obu jej stronach dopiero co posadzono palmy i egzotyczne kwiaty. Minęli ogrodzone pastwisko ze wspaniałymi brązowymi koźmi.

Droga dojazdowa rozszerzyła się w mały parking ograniczony otynkowanym na biało murem. Biel muru przerywały dwie masywne drewniane bramy i rzeźba, również z drewna. Pod rzeźbą, przedstawiającą mężczyznę, widniała nazwa domu, którą tworzyły litery z kutego żelaza: WILLA MORSKA.

Sybil wysiadła z auta. Nie mogła się doczekać, kiedy John-John otworzy jej drzwi. Nieco zdrętwiała od długiej jazdy podeszła do jednej z bram i odkryła dzwonek.

Zadzwoniła kilka razy, lecz nic się nie poruszyło. Słysząc tylko echo dźwięku dzwonka. Sybil odwróciła się do John-Johna, ale ten zniknął. W końcu nacisnęła klamkę ciężkiej bramy, która z łatwością dała się otworzyć.

Sybil weszła do patio. Ze zdumienia aż wstrzymała oddech. Po ścianach wewnętrznego podwórza pięły się różowe i liliowe bugenwille oraz czerwony hibiskus. Pośrodku patia był trawnik z fontanną, z której woda migoczącymi kaskadami strzelała w górę, a następnie spadała do marmurowego basenu.

Z jednej strony podwórza znajdował się zadaszony ganek prowadzący do dwójga ciężkich drewnianych drzwi. Sybil ruszyła w tamtym kierunku.

Pomiędzy kolumnami arkad popatrzyła na ogród, którego pogodne barwy, widziane z cienia, zdawały się błyszczeć jeszcze bardziej.

Ciężka brama za nią zamknęła się z łoskotem, niesamowity odgłos pośród głębokiej ciszy.

Sybil dotarła do drzwi. Dzwonka nigdzie nie dostrzegła. Otworzyła jedno z nich, i znów jej oczom ukazał się zdumiewający widok.

Zajrzała do ogromnego pomieszczenia z wysokimi oknami balkonowymi, które zapewniały widok na lazurowe morze. Posadzka była z jasnego tokańskiego marmuru. Za szklanymi drzwiami znajdował się duży taras. Ograniczał go niski murek zarośnięty tropikalnymi roślinami.

Sybil przeszła przez pomieszczenie i stanęła na tarasie. Stąd mogła ogarnąć wzrokiem cały ogród, który tarasowato opadał w dół ciągnąc się do samego morza.

Na pierwszym tarasie ogrodu znajdował się basen, który dopiero co został pewnie ukończony, bo nie wpuszczono jeszcze wody. Reszta ogrodu wyglądała tak, jakby przeszła nad nim trąba powietrzna. Wszędzie leżały drzewa pozbawione korzeni.

Potem jednak Sybil zauważyła, że to kolorowi robotnicy zajmują się sadzaniem drzew. Śpiewali przy pracy, a ich pieśni słychać było nawet w budynku. Ogród wcale jeszcze nie był gotowy, dopiero go zakładano. Ledwo to mogła pojąć.

— Baldzo mi przykło, miss, że ja nie przyjść wcześniej. — Sybil z przestachem odwróciła się gwałtownie. Przed nią stał Chińczyk w białej marynarce i uśmiechał się do niej. — Ja Wong, posługacz domowy i kucharz.

Uklonił się jej tak nisko, że Sybil sądziła, iż głową dotknie podłogi. Ale w następnej chwili znowu stał przed nią wyprostowany jak świeca i uśmiechał się do niej promiennie.

— Bardzo się cieszę, Wong, że jest pan tutaj. Obawiałam się, że będę zupełnie sama.

— Nie, ja też być tutaj. Pokazać pokój, miss Sillee. Wong jak większość Chińczyków nie potrafił wymawiać „r” i zastępował je głoską „l”.

Ruszył przodem do położonej niżej kondygnacji budynku. Pomieszczenie, do którego wprowadził Sybil, miało marmurową posadzkę i białe ściany. Jedna ściana składała się z samych okien. W kącie Sybil spostrzegła szeroką kanapę z jasnoniebieską pościelą, a obok małe biurko.

— Ja złościć lunch. Pani woleć kulę z lyżem czy zupę i sałatkę?

Ten problem był zatem rozwiązany. Na pewno nie umrze z głodu. Sybil zdecydowała się na zupę i sałatkę. Najpierw jednak chciała pójść popływać, żeby się trochę odświeżyć.

— Proszę się nie śpieszyć.

Wong uśmiechnął się ze zrozumieniem, po czym uklonił się i zniknął. Sybil była zadowolona, że oprócz niej jest w domu ten uprzejmy Chińczyk.

RS

### Rozdział 3

Swoją walizkę Sybil znalazła obok biurka. Wszystko tutaj wydawało się być załatwiane jakby samo.

To wcale nie takie nieprzyjemne, pomyślała. Uznała, że jest za gorąco, żeby zabierać się do rozpakowywania walizki. Przełożyła to na później i wyszukała tylko swoje bikini w białe i niebieskie paski.

Jej skóra była bardzo jasna, przez co miała uczucie, jakby była naga. Nie chciała iść tak w samym kostiumie kąpielowym na plażę.

Obok swojego pokoju odkryła łazienkę, która wyłożona była różowymi kafelkami, z wanną wpuszczoną w podłogę. Na drzwiach wisiał różowy płaszcz kąpielowy. Włożywszy go na siebie, od razu poczuła się lepiej.

Wąska ścieżka prowadziła przez ogród do morza. Zanim Sybil dotarła na plażę, musiała przejść przez gaj eukaliptusowy. Srebrnozielone liście szemrały na wietrze. Plaża z drobnutkim piaskiem, który miał kolor kości słoniowej, była prześliczna.

Sybil zatrzymała się na chwilę i wsłuchiwała się w wiatr, który poruszał liśćmi drzew eukaliptusowych i burzył jej włosy.

Nagle opanowało ją uczucie, że nie jest sama. Zdenerwowana odwróciła się. Za nią stał barczysty blondyn i przyglądał się jej. Miał na sobie białą koszulkę polo i białe spodnie. Jego przejrzyste niebieskie oczy uśmiechały się do niej.

— Piękny widok, nieprawdaż?

Sybil, zmieszana, przytaknęła skinieniem głowy.

— Kolor wody naprawdę jest zadziwiający, wprost nie do opisania - ciągnął dalej. Popatrzył jej głęboko w oczy. Sybil odwzajemniła jego spojrzenie i poczuła, że się czerwieni. — Ale pani oczy nie mają koloru wody, są zielone jak szmaragdy.

Sybil wiedziała, że ma piękne oczy. Bardzo duże i błyszczące pod długimi ciemnymi rzęsami.

— A pańskie oczy są pełniejsze niż morze — powiedziała.

Jakie to głupie! Stali tutaj i dyskutowali o kolorze oczu, a ona nie wiedziała nawet, kim jest nieznamy.

— Kim pan jest? — wyrwało jej się.

— Frank MacIntyre. — Mówił z angielskim akcentem. — Jestem architektem ogrodów, przyjechałem z Nassau. Mam tutaj stworzyć — pokazał ręką w kierunku ogrodu — „wiszące ogrody Davida Rodneya”.

Sybil roześmiała się. Opanował sytuację w ten sposób, że natychmiast zyskała na pewności siebie.

— Ja wykonuję podobną pracę, tyle że wewnątrz budynku. Nazywam się Sybil Morgan i właśnie przyjechałam.

— Jest pani architektem wewnątrz?

W pierwszej chwili Sybil chciała powiedzieć tak. Potem jednak zdecydowała się, że lepiej będzie pozostać przy prawdzie. Na dłuższą metę było to z pewnością mniej kłopotliwe.

— Sekretarka mr. Rodneya, która miała się zająć urządzeniem domu, nagle zachorowała. Zastępuję ją. Po drodze prawie już straciłam odwagę, ale teraz myślę o tym inaczej. Tutaj jest naprawdę bardzo pięknie.

— Poczeka pani chwileczkę? Szybko założę tylko kąpielówkę. We dwojkę pływanie sprawia więcej przyjemności. Poza tym mała przerwa dobrze mi zrobi. Potem wszystko pani pokażę i wprowadzę panią w „tajemnice państwowe”.

— Miłe by to było z pańskiej strony. Nie chciałabym jednak odrywać pana od pracy.

— Ależ nie, wracam za chwilę! — zawołał i zniknął za srebrną ścianą eukaliptusowych liści.

Sybil rozpostarła na piasku płaszcz kąpielowy i położyła się na plecach. Wraz z ciepłem słonecznym jej ciało zdawało się przenikać uczucie szczęścia. A może należało to raczej tłumaczyć spotkaniem z Frankiem MacIntyre? W każdym razie było to bardzo przyjemne uczucie.

Zanim zobaczyła Franka, usłyszała jego gwizdanie. Natychmiast przekreśliła się na brzuch i zaczęła go wypatrywać. Kiedy wyszedł z cienia drzew, uznała, że prezentuje się jeszcze lepiej niż przed chwilą.

Jego skóra była w kolorze brązu, ciało miał muskularne i wysportowane. Sybil podziwiała jego szerokie barki. Nie wyglądał na architekta, raczej na aktora filmowego.

— Chodźmy do wody, możemy zaczynać!

Chwycił Sybil za rękę i pociągnął za sobą. Niewiarygodnie wprost, jak przejrzysta okazała się woda. Widać było dno. Sybil dobrze pływała. Frank zauważył to i prawił jej komplementy.

— Nurkowała już pani w masce? Sybil roześmiała się.

— Nie, jeszcze nie.

— Tutaj są wymarzone warunki. Można obserwować najbardziej fantastyczne ryby. Są barrakudy, płaszczki i wiele innych. Mam sprzęt do nurkowania. Może moglibyśmy jutro razem ponurkować?

— Byłoby cudownie! — zgodziła się z zapalem. W końcu miss Bevier nic nie mówiła o tym, że ma pracować po całych dniach. Frank dotknął jej ramienia. Dziwne swędzenie przeniknęło jej ciało.

— Lepiej niech pani nie pozostaje zbyt długo na słońcu, moja blada piękności. Tutaj w mig można dostać poparzenia słonecznego.

Sybil spojrzała na niego z wdzięcznością. Miał rację. Wprawdzie opalała się szybko, lecz promienie słoneczne były tutaj bardzo intensywne.

— Za pół godziny, jeśli ma pani ochotę, moglibyśmy się spotkać przy basenie — zaproponował Frank.

— Jak ten czas leci! Zupełnie zapomniałam, że Wong czeka na mnie z lunchem!

— Nie szkodzi, w takim razie spotkamy się za godzinę. Tak łatwo się mnie pani nie pozbędzie — zaśmiał się Frank.

— Nic nie mam przeciwko temu i cieszę się, że wszystko poznam.

Ramię w ramię wrócili do domu.

— Mieszkam tam na górze. — Wskazał na mały biały budynek stojący na wzniesieniu. Sybil w ogóle go dotąd nie zauważyła.

— To domek gościnny — wyjaśnił Frank. — W środku jest salon i dwie sypialnie. Stamtąd widok na morze jest jeszcze piękniejszy niż z głównego budynku. Musi to pani kiedyś zobaczyć.

Sybil zaśmiała się nerwowo.

— Pewnie będę musiała, kiedy przywiozą meble. Chyba że jest jużumeblowany?

— Nie, będzie pani tam miała jeszcze dość roboty. Frank pomachał jej na pożegnanie i ruszył wąską ścieżką do swojego lokum.

Sybil wyjęła z walizki swoje rzeczy, żeby je powiesić. Potem włożyła lekką letnią sukienkę w białe i niebieskie o paski.

Jest cudownie chłodna, pomyślała i musiała potraktować samą siebie uśmiechem. Wybrała tę sukienkę tylko dlatego, że było jej w niej bardzo do twarzy i że w pełni uwydatniała jej piękne ramiona.

Tylko dlaczego zawsze od razu robiła się taka nerwowa, kiedy w pobliżu znajdował się jakiś przystojny mężczyzna?

Sybil weszła po schodkach na wyżej położony taras. Była w znakomitym humorze. Wong postawił w cieniu stary, trochę chwiejący się stół. Skrzynka przykryta poduszką służyła za krzesło.

Chińczyk przyniósł miseczkę z zupą i wcale nie wydawał się zły, że Sybil kazała mu tak długo czekać. Kiedy podziękowała, uśmiechnął się z zadowoleniem.

Wong postawił nawet na stole kilka kwiatów hibiskusa. Wyglądało to bardzo ładnie. Zupa z krabami i mięsem raków smakowała wybornie. Ledwo Sybil skończyła, Wong przyniósł jeszcze sałatkę z gruszek i cottage cheese, a do tego koszyk z białym pieczywem.



— Kawa czy herbata, missee? — zapytał.

— Już nic — odmówiła Sybil z podziękowaniem. — Niczego mi nie brak do szczęścia.

Popatrzyła ponad wierzchołkami drzew na morze, którego ciemny błękit na horyzoncie przechodził w nieco jaśniejszy błękit nieba. Czyż tutaj człowiek nie musiał być szczęśliwy?

Potem przyszedł Frank.

— Czy wcześniej nie było tu żadnych drzew? — spytała Sybil. Wydawało się to nieprawdopodobne, gdyż widać było, że po obu stronach parceli rozciągał się dziki las przypominający dżunglę.

— Oczywiście, że były. — Frank skrzywił twarz w uśmiechu. — Drzewa już były, ale nie te, które chciał starszy pan. On uznaje wszystko tylko w najlepszym gatunku.

— Czy mr. Rodney jest starszym panem?

— Mówiąc szczerze, w ogóle go nie znam. Ale czyż bogaci ludzie nie są zawsze starzy? Większość z nich buduje sobie takie domy dopiero wtedy, gdy wycofują się z interesów. Żenią się z jakąś młodą kobietą, a wkrótce potem żegnają się z tym światem.

— Kiedy skończymy tutaj swoją pracę, posiadłość ta będzie prawdziwym klejnotem.

Uśmiechnęła się do Franka.

— Dla mnie to było interesujące zajęcie. Mając tak wielki budżet dobrze się pracuje. Drzewa eukaliptusowe zostały sprowadzone z Australii. Palmy pochodzą z różnych wysp Karaibów. Jak pani z pewnością już widziała, ogród ma być podzielony na trzy płaszczyzny. Główny budynek z tarasem, basen, a następnie trawnik i drzewa — do samej plaży.

— Czy projektował pan także patio przy wejściu? — spytała Sybil. — Jest piękne jak wejście do raju.

— Tak, to moje dzieło. Ale nie jest jeszcze skończone. Czekam na przesyłkę orchidei z Anglii. Ich hodowca jest przyjacielem mr. Rodneya i zrobi mu z nich prezent. Mają to być orchidee wiszące. Będą zdobić kolumny arkad. Chodźmy, pokażę pani basen.

Podeszli do basenu i Frank zaprowadził Sybil na skraj zbiornika z białego marmuru. Obok był prysznic, niemal całkowicie zakryty przez jakieś pnącze.

— Widziała już pani kiedyś taki prysznic? — spytał Frank z nie ukrywaną dumą.

Sybil spojrzała na niego z podziwem. Frank podszedł do niej i popatrzył jej głęboko w oczy. Sybil, speszona, zrobiła krok do tyłu i omal nie wpadła w żywoplot. Silne ramię Franka" przytrzymało ją jednak w porę.

— Taka jestem niezręczna — zaczęła się usprawiedliwiać. — Ale prysznic, Frank, jest naprawdę cudowny.

Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. Zażenowana zaproponowała, żeby zwiedzić dom.

Duży budynek odznaczał się wyjątkową prostotą. Olbrzymie pomieszczenie, które Sybil już widziała, było jednocześnie salonem i jadalnią. Mały bar łączył kuchnię z tarasem. Schody za otwartym kominkiem prowadziły do bocznego skrzydła, gdzie były dwie sypialnie, a między nimi duża łazienka. Na dolnej kondygnacji tego skrzydła znajdowały się pokój i łazienka Sybil, a oprócz tego jeszcze jeden pokój gościnny z łazienką.

— Naprawdę można pozazdrościć mister Rodneyowi tego domu — rzekła Sybil.

— Dopóki go tutaj nie ma, możemy jeszcze z niego korzystać.

— Och, już to robię.

— Poproszę Wonga, żeby podał nam dzisiaj kolację na tarasie. Będziemy grać pana i panią domu. Ja będę Davidem Rodneyem, a pani piękną Leą.

— Okay. — Sybil musiała się roześmiać. — Chciałabym się teraz trochę położyć. Jestem bardzo zmęczona. Wprost nie do wiary, że dziś rano byłam jeszcze w Nowym Jorku.

Pożegnała się z Frankiem i poszła do swojego pokoju.

Położyła się w ubraniu na łóżku i natychmiast zasnęła. Zbudził ją Wong, który zapukał do drzwi, żeby ją zawołać na kolację.

Kiedy spojrzała w lustro, oprzytomniała zupełnie w jednej chwili. Wilgotny klimat sprawił, że włosy jej się poskręcały. Teraz było już za późno, żeby je rozprostować pod suszarką, a zresztą i tak niewiele by to dało przy tak dużej wilgotności powietrza. Przynajmniej cera trochę jej już zbrazowała, i z tą opalenizną bardzo jej było do twarzy.

Sybil włożyła czerwoną jedwabną bluzkę i białe płócienne spodnie. Niezłe, pomyślała, kiedy potem przyjrzała się sobie w lustrze.

— Halo, Śpiąca Królowo — powitał ją Frank, gdy zjawiała się na tarasie.

— Chętnie obudziłbym panią pocałunkiem, ale nie ośmieliłem się. — Podszedł do małego barku i wrócił z dwoma kieliszkami białego wina. — Niełatwo było zdobyć butelkę białego w Governor's Harbour. Rum jest chyba jedynym napojem, jaki tam można dostać.

— Specjalnie po to pojechał pan do wioski? — zapytała Sybil z uznaniem.

— Ależ tak. Dla pani gotów byłbym pojechać jeszcze dalej.

Roześmiali się oboje.

Przygotowując kolację Wong przeszedł samego siebie. Najpierw, jako przystawka, były kraby, a potem kilka bardzo smacznych chińskich dań. Na deser podał lody z owocami.

Kiedy zjedli lody, Sybil dostała nagle dreszczy. Drżenie ogarnęło całe jej ciało.

— Co za głupota. Prawdopodobnie za długo jednak byłam dzisiaj na słońcu — powiedziała i podniosła się.

Frank podszedł do niej i okrył jej ramiona swoją marynarką. Kiedy chciała mu podziękować, pociągnął ją w swoje ramiona i przytrzymał.

Sybil chciała się uwolnić z jego objęć.

— Frank, proszę, znamy się niecały dzień... Prawdopodobnie zachowuję się idiotycznie, pomyślała nerwowo.

Chciała jeszcze coś dodać, lecz Frank pochylił się nad nią i pocałował ją. Potem podniósł głowę i spojrzał na nią.

— Proszę, nic nie mów. Obydwoje jesteśmy dorośli, a jakąż rolę odgrywa czas? Niekiedy ludzie znają się całe lata, a mimo to się nie znają. A niekiedy spotyka się kogoś, kto natychmiast jest człowiekowi bliski. Powiedz szczerze, nie czujesz tego samego?

Brzmiało to bardzo przekonująco.

— Nie wiem, ja... — wybąkała z wahaniem Sybil.

— Czuję, że jesteśmy dla siebie partnerami — przerwał jej Frank. — Wprawdzie mamy różne zadania, ale ten sam cel: upiększyć tę posiadłość. Przed twoim przyjazdem byłem tutaj bardzo samotny. Teraz jednak cieszę się, że będziemy pracować razem. — Wypowiedział to, co i ona czuła. Sybil uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. — A teraz wpakuję cię do łóżka, zanim nabawisz się zapalenia płuc.

Frank dźwignął ją bez trudu do góry i zaniósł do jej pokoju. Tam ją położył na łóżku, po czym odwrócił się w kierunku wyjścia.

— Poproszę Wonga, żeby podał nam jutro śniadanie na moim tarasie. Tam słońce zagląda wcześniej. Wspaniałe miejsce, żeby zacząć dzień.

Sybil skinęła tylko głową. Dreszcze stopniowo ustały. Ale znów czuła się straszliwie zmęczona.

Co się ze mną dzieje? — zadawała sobie pytanie. Prawdopodobnie polegało to na gwałtownej zmianie klimatu, z którą musiała się najpierw uporać.

— Dobrze, Frank — szepnęła i ziewnęła ukradkiem.

— Okay. A teraz życzę ci miłych snów. Do jutra więc.

Frank pocałował ją w policzek i ruszył do drzwi.

Sybil podniosła się czując, że nogi ma jak z ołowiu, i rozebrała się. Zrezygnowała nawet z codziennego prysznicu, ponieważ miała jedno tylko życzenie: wreszcie spać.

Następnego ranka słońce zajrzało do pokoju. Na dworze wiała łagodna bryza.

Mam z Frankiem zjeść śniadanie, było jej pierwszą myślą. Na pewno będzie cudowny dzień. Była przekonana, że Frank ją lubi.

Sybil włożyła dzinsy i czerwoną płócienną bluzkę i ruszyła w drogę do Franka. Co chwila zatrzymywała się, żeby wdychać słodki ciężki zapach, jaki rozsiewały w ogrodzie egzotyczne rośliny.

Wchodząc pod górę krętą ścieżką do domku gościnnego, zobaczyła, że Frank już na nią czeka. Kiedy wreszcie dotarła na górę, była zupełnie zdyszana.

On uścisnął jej dłonie i pocałował ją w czoło.

— Och, proszę nie przed śniadaniem. Tak czy owak nie mogę jeszcze złapać tchu.

— Jak pani rozkaże! — Frank roześmiał się, po czym zatoczył ręką szeroki łuk. — Proszę się rozejrzeć, madame, wtedy dopiero zabraknie pani tchu. Ten widok wprost zapiera dech.

Sybil rozejrzała się dokoła. Nic dziwnego, że Frank chciał tutaj zjeść śniadanie. Widok był wspinały.

Wierzchołki drzew poruszały się lekko na wietrze, liście połyskiwały to srebrem, to znowu delikatną zielenią. Trawa w dole błyszczała od porannej rosy.

Lecz najpiękniejsze było morze, w jasnym świetle poranka ciągnące się w dal — jak daleko wzrok sięgał.

Przyszedł Wong z tacą śniadaniową.

— Nigdy jeszcze nie byłam tak rozpieszczana — powiedziała do Franka Sybil. — Szkoda, że Bill nie może mnie teraz widzieć. Zzieleniałby z zazdrości.

— Kto to jest Bill? Twarz Franka sposepniała.

— Bill to mój kolega.

Wong postawił na werandzie dwie skrzynki, które miały służyć za krzesła. Do tego przyniósł ręcznik kąpielowy w kwiatki, który rozłożył na murku jako obrus.

— Dzień dobry, mistel Frank, missee Sillee.

Wong wniósł swój okazały ciężar i postawił ostrożnie na ręczniku dwie szklanki soku pomarańczowego, naleśniki z jagodami, jajka oraz bekon.

— Wong, prawdziwy z pana skarb. Sybil przyglądała się obfitemu śniadaniu.

— Tak, missee. Mistel Lodney zawsze mówić, że ja numer jeden kucharz i posługacz domowy.

Wong promieniał dumą.

Sybil i Frank delektowali się śniadaniem. Potem jednak zrobiło się późno i pora była rozpocząć pracę. Frank zaproponował, żeby się spotkali o czwartej po południu na plaży...

Sybil zabrała ze swojego pokoju materiały i plany, które dostała od miss Bevier, i zniosła wszystko do salonu. Rozłożyła rysunki na podłodze i przestudiowała je dokładnie.

Potem zadzwoniła do kapitanatu portu. Powiedziano jej, że statek z meblami powinien zawinąć do Governor's Harbour w najbliższych dniach.

— Zadzwonię do pani, gdy rzeczy będą gotowe do odebrania.

Odłożywszy słuchawkę, Sybil bardzo była z siebie zadowolona.

Czas minął wyjątkowo szybko, i zrobiła się już druga. Poszła do kuchni, żeby poprosić Wonga o przygotowanie jej sandwicza i odrobiny jakiejś sałatki. Ku swemu zdziwieniu spotkała tam jakąś Chinkę, którą Wong przedstawił jej jako swoją żonę.

Po zjedzeniu lunchu Sybil poszła na plażę. Przed przyjściem Franka chciała jeszcze trochę poleżeć na słońcu. Frank przyniósł dwa komplety do nurkowania. Poza tym miał przy sobie kuszę.

Brodząc dotarli do przejrzystej wody, i Frank pokazał jej, jak się zakłada maskę. Następnie popłynęli powoli do rafy.

Widzieli chmary kolorowych ryb, korale o dziwacznych kształtach i osobliwe rośliny podwodne. Sybil uważała, że to wspaniałe — tak sunąć przez wodę razem z Frankiem. Pomimo to ów świat pod wodą wydawał jej się trochę niesamowity.

Nagle Frank złapał ją za rękę i pociągnął w bok. Z przerażeniem ujrzała przed sobą obrzydliwego czarnego węża.

Frank odbezpieczył kuszę, wycelował i w następnej chwili woda zabarwiła się od krwi na czerwono.

Sybil czym prędzej wynurzyła się na powierzchnię. Zerwała z twarzy maskę i krzyknęła.

Frank znalazł się natychmiast przy niej.

— Trafiłem go. To był jadowity węgorz. Musimy jednak wynosić się jak najszybciej, bo krew przyciągnie inne ryby drapieżne.

Kiedy wreszcie dotarli na plażę, Sybil rzuciła się na piasek zupełnie wyczerpana. Frank usiadł obok niej i zaczął ją uspokajająco głaskać po plecach.

— Wcale nie było tak niebezpiecznie. Nie chciałem tylko ryzykować — powiedział.

— Jeśli to nie było niebezpieczeństwo, to mam nadzieję, że nigdy się w nim nie znajdę. Omal nie dostałam zawału.

Frank roześmiał się. W dalszym ciągu głaskał ją po plecach. Uznała, że to przyjemne — czuć dotyk jego palców. Znów była całkowicie odprężona.

— Masz cudowną skórę, Sybil. Taką miękką i delikatną. W ogóle nie mogę przestać — rzekł Frank.

Sybil zaśmiała się nerwowo, ale bardzo jej to pochlebilo.

— Czemu się śmiejesz? Mówię ci komplement, a ty się z tego natrząsas?

Miał rację. Musiała się bardzo starać, żeby brać serio komplementy, jakie prawili jej mężczyźni.

— Jesteś piękna i pociągająca. Będę ci to powtarzał tak często, aż się do tego przyzwyczaisz — ciągnął dalej.

— Zawsze mam wrażenie, że takie komplementy nie są mówione szczerze.

Sybil spojrzała na niego badawczo. Frank uśmiechnął się.

— Czyżby? Wciąż będę ci powtarzał, że wyglądasz fantastycznie. Pewnego dnia uwierzysz mi bez zastrzeżeń.

A potem Frank pocałował ją. Zanurzwszy rękę w jej długich jasnych włosach, przytrzymał ją tak, że nie mogła się bronić.

Jego pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Zaskoczyło ją to do tego stopnia, że na chwilę jakby zamarła w bezruchu.

— Nie, Frank... — wydusiła zdyszana. — Puść mnie!

Rzeczywiście zostawił ją w spokoju i wstając, pociągnął ją za sobą. Nogi pod nią drżały. W drodze powrotnej do domu nie powiedziała nawet słowa.

Przy drzwiach Frank przycisnął ją na chwilę do siebie.

— Zobaczmy się wieczorem przy kolacji na tarasie, okay?

Idąc do swego pokoju, Sybil była jeszcze trochę wściekła na Franka za to, że chciał ją wziąć szturmem. Ale potem powiedziała sobie, że gdyby mu to miała za złe, zareagowałyby jak mimoza.

Mimo wszystko uważała, że Frank jest sympatyczny. I cieszyła się, że on jest tutaj, dzięki temu miała miłe towarzystwo. Sama nie mogłaby tak zażywać uroków plaży i morza.

Wkraczając w kilka godzin później na taras, Sybil była w wyśmienitym nastroju.

Ale Frank był podczas kolacji milczący i zamknięty w sobie.

Sybil próbowała rozweselić go opowiadając zabawne anegdoty, lecz on wydawał się całkowicie pogrążony w swoich myślach. Sybil straciła pewność siebie i zateśkniła za Frankiem takim, jakim był po południu. Wreszcie nie wytrzymała.

— Frank, co się dzieje? Czy zrobiłam coś niewłaściwie? — zapytała w końcu.

— Bardzo mi przykro, Sybil. To nie ma z tobą nic wspólnego. Jutro po południu muszę polecieć do Nassau i zostanę tam przez weekend.

— Dlaczego? Masz spotkanie? — Sybil zrobiła się nagle zazdrosna.

— Nie, mam do załatwienia sprawy zawodowe. Tam też pracuję nad różnymi ogrodami. Poza tym są trudności z orchideami. Obiecuję ci jednak, że na następny weekend zostanę tutaj. Pójdziemy na tańce do Potlatch Clubu.

— Potlatch Club? — Ni stąd, ni zowąd Sybil ogarnęło uczucie, że Frank nigdy już nie wróci.

— Nie rób takiej miny. Potlatch Club jest naprawdę bardzo przyjemny i znajduje się mniej więcej dwie mile stąd. Został założony przez milionerów, którzy posiadają domy na wyspie. Bywają tam ze swoimi przyjaciółmi. Orkiestra taneczna grywa stare przeboje. Spodoba ci się.

Sybil dała się trochę udobruchać.

A w następnych dniach pocieszała się myślą o nadchodzącej sobocie.

Nie miała zbyt wiele do roboty, ponieważ musiała czekać na przybycie statku. Tak więc kładła się na skraju basenu, który tymczasem został napełniony wodą, i opalała się.

Frank nie wychodził jej z głowy. Czyżby miał w Nassau przyjaciółkę, którą odwiedzał? Ale jak wówczas mógłby flirtować z nią, Sybil?

Może znał w Nassau jakąś kobietę, ale przyjaźń była czysto platoniczna tak jak w wypadku jej i Billy'ego?

Ostatecznie Frank obiecał jej, że spędzi z nią następny weekend. Taka była szczęśliwa w jego towarzystwie, a mimo to często nasuwały jej się wątpliwości, czy rzeczywiście ma względem niej uczciwe zamiary.

Bez Franka spożywanie posiłków na tarasie nie sprawiało jej przyjemności. Dlatego też poprosiła Wonga, żeby podał jej śniadanie do pokoju.

Następnego ranka zadzwonił kapitan portu. Statek wreszcie przyplłynął. Kiedy Sybil weszła do kuchni, czekał tam już na nią John-John.



Poszła z nim do garażu i przy okazji zobaczyła po raz pierwszy budynek gospodarczy i pomieszczenia zajmowane przez personel.

Wszystkie formalności w porcie zostały załatwione szybko i bez problemów. Po złożeniu kilku niezbędnych podpisów przeładowano wielkie skrzynie na czekającą ciężarówkę.

Sybil pojechała z John-Johnem, żeby być w domu przed ciężarówką. Czekali już tam dwaj Murzyni, którzy mieli pomagać przy wypakowywaniu mebli.

Praca, której Sybil oddawała się w następnych dniach, sprawiała jej ogromną satysfakcję. Kiedy rozpakowywano skrzynie, ukazywały się przepiękne rzeczy. Sybil sprawdzała wszystko, po czym mówiła John-Johnowi i obydwu pomocnikom, gdzie mają stawiać meble.

Wyściełane meble do salonu obite były białym jedwabiem. Na podłogę dostarczono kosztowny wschodni dywan.

Wypakowanie stołu z chromu i szkła do jadalni zajęło John-Johnowi i chłopcom dwie godziny. Miękkie krzesła do kompletu miały niebieskoszare aksamitne obicia.

Sybil oglądała z zachwytem wspaniałą porcelanę, kryształowe kieliszki i srebrne sztuce. Razem z żoną Wonga umyła wszystko dokładnie i powstawiała do kredensów.

Rozpakowywanie skrzyń zdawało się nie mieć końca. Sybil nie sprzykrzyło się jednak ciągle podziwianie ukrytych w nich skarbów.

Szczególnie radowały ją piękne meble przeznaczone na taras. Bardzo podobały się jej również trzcinowe meble do domku gościnnego. Chciała zdążyć z jego urządzeniem do powrotu Franka.

Co wieczór padała na łóżko kompletnie wyczerpana. Ale praca była dobrą terapią.

Zupełnie zapomniała o swoich wątpliwościach co do motywów Franka. Myślała tylko o tym, jakie uczucia wzbudziły w niej jego wargi i ręce.

## Rozdział 4

Całe poniedziałkowe przedpołudnie zajęło Sybil urządzenie i porządkowanie domku gościnnego. Przetaszczyła do niego piękne szaroniebieskie naczynia ceramiczne. Świetnie pasowały do małej kuchni. Goście będą mogli sami przygotowywać sobie małe posiłki.

Idealny domek na miodowy miesiąc, pomyślała Sybil, kiedy się uporała ze wszystkim.

Po południu założyła swą niebiesko-białą sukienkę na szelkach, po czym udała się do domku gościnnego, żeby czekać na Franka.

Miękkie fotele z trzciny rotangowej z pięknymi obiciami w kwiatki nadawały salonowi przytulny charakter. Sybil wzięła sobie jeden z nich na werandę.

Usiadła wygodnie i przez chwilę delectowała się bezczynnością. Wkrótce jednak zaczęła się niecierpliwić. Kiedy on wreszcie przyjdzie?

Co jakiś czas podrywała się, żeby popatrzeć na mały zegar w sypialni. W końcu usłyszała kroki, a za chwilę ujrzała Franka, jak wychodzi pod górę wąską ścieżką. W każdej ręce niośł butelkę. Torbę miał przewieszoną niedbale przez ramię.

— Dzięki Bogu. Wreszcie znów jestem w raju. Dokonałaś prawdziwych cudów, mała czarodziejko.

Sybil promieniała dumą. Frank z miejsca zaraził ją swym dobrym humorem. Wątpliwości nurtujące ją przez ostatnie dni zniknęły bez śladu.

— Przyniosłem coś, żebyśmy mogli wypić za twoje dzieło. — Frank wskazał butelki. — Dżin i tonik.

Potem wziął Sybil w ramiona i parę razy zakręcił się z nią. Nie broniła się też, kiedy ją pocałował. Cieszyła się, że Frank wrócił. Gdy ją wypuścił z objęć, nie mogła złapać tchu i opadła na jeden z foteli.

Z uśmiechem patrzyła na Franka, jak napełnia dwie szklanki. Przepili do siebie.

Następnie zrobili obchód domu. Przy okazji Frank opowiedział o swojej podróży do Nassau.

Był zachwycony pracą Sybil i nie szczędził jej komplementów.

— Pójdziemy się wykapać przed kolacją? — zaproponował.

— Chętnie, za kilka minut będę na plaży.

Reszta tygodnia minęła jak z bicza strzelił! Co rano Sybil i Frank jadali razem śniadanie, co wieczór jadali kolację na tarasie willi i delectowali się zachodami słońca.

Dni były wypełnione pracą. Raz Sybil pojechała z John-Johnem do Governor's Harbour, żeby kupić przyprawy, których potrzebowała do sosu do spaghetti.

Przygotowywała je wieczorem w małej kuchni Franka. Ten pochwalił ją i powiedział, że jest najlepszą kucharką na świecie. I ani razu nie próbował już jej pocałować.

Sybil ledwo mogła uwierzyć, że w końcu nadszedł sobotni wieczór. Ubrała się, żeby pójść z Frankiem na tańce. Była to pierwsza okazja do założenia sukni w kolorze morelowym.

Całe szczęście, że ją kupiłam, pomyślała. Lekki materiał przylegał do jej ciała niczym druga skóra. Suknia pozostawiała odsłonięte opalone ramiona i podkreślała jej proporcjonalnie zbudowaną figurę.

Sybil włożyła nowe białe sandały, natarła się lekko perfumami i opuściła pokój. Nigdy jeszcze w całym swoim życiu nie czuła się tak cudownie.

Podeszła do domku gościnnego. Księżyc w pełni rozjaśniał ogród, który wyglądał jak zaczarowany.

Frank siedział na małym murku i czekał na nią. Wstał i wyszedł jej naprzeciw. Miał na sobie jasną marynarkę i granatowe spodnie.

Wyglądał doprawdy świetnie! Szkoda, że nie ma nikogo, kto może nas podziwiać, pomyślała Sybil. Naprawdę jesteśmy elegancką parą.

— Oto nadchodzi piękność nocy — rzekł z podziwem i obsypał pocałunkami jej nagie ramiona.

— Frank, zostaw w spokoju moje ramiona! — zawołała Sybil udając, że się broni. Następnie udali się do kuchni, gdzie wprawili w zachwyt Wonga i jego żonę.

— Baldzo pięknie, baldzo pięknie — uśmiechał się Wong od ucha do ucha.

— Ten stary wóz nie jest wprawdzie stosownym pojazdem na dzisiejszy wieczór — rzekł Frank — ale lepszy taki niż żaden.

Wyjaśnił Sybil, że na wyspie cło na samochody jest tak horrendalnie wysokie, że nawet mr. Rodney nie ma ochoty na kupno nowego auta.

Wkrótce potem zajechali przed Potlatch Club. Niski biały budynek, przez którego okna padało jasne światło, sprawiał całkiem zachęcające wrażenie.

Przy drzwiach zatrzymał ich jednak mężczyzna w białym smokingu.

— Jesteśmy gośćmi mr. Rodneya — powiedział Frank i wprowadził Sybil przez przestronną salę restauracyjną na taras.

Odbyło się to dla Sybil trochę za szybko, gdyż chętnie Przyjrzałaby się bliżej wieczornym toaletom pań.

— Tutaj się czegoś napijemy, a potem na kolację i tańce wejdziemy do środka — wyjaśnił Frank.

Skinęła głową. Wyglądało na to, że wszystko zaplanował już wcześniej. Zamówili drinki. Dżin z tonikiem dla Franka i Bloody Mary dla Sybil.

Tak była jednak podniecona, że szklanka z czerwonym napojem wysliznęła jej się z dłoni, i cała zawartość wylała się na sukienkę.

Sybil z przerażeniem wytrzeszczyła oczy na koszmarną plamę. Tak była zdeprymowana, że się rozplakała. Piękna sukienka nie nadawała się do użycia!

— Jak mogłam być tak niezgrabna!

Frank szybko zareagował. Poprosił kelnera o serwetki i zabrał się do wycierania sukienki.

— W takiej sytuacji musimy wracać do domu — zaczęła lamentować.

— Ależ nie, w ogóle to nie wchodzi w rachubę. Zostaniemy i zamówimy nowego drinka. Zobaczysz, że będzie z tego jeszcze niezapomniany piękny wieczór.

Mimo wszystko Sybil musiała się uśmiechnąć. A więc dobrze, skoro nie przeszkadzało to Frankowi, dlaczego ona miałaby się denerwować? Ucisnęła pod stolikiem jego dłoń, a Frank podniósł jej palce do warg i ucałował czule ich koniuszki.

— Przez cały tydzień cieszyłem się na ten wieczór — powiedział.

— Masz rację, Frank. Pójdę do toalety i spróbuję zmyć tę plamę. Niektórzy ludzie uznają to może nawet za ostatni krzyk mody z Nowego Jorku.

Roześmiała się, lecz jej śmiech wydawał się trochę wymuszony.

— Tak podobasz mi się już lepiej — rzekł z zadowoleniem Frank.

Stało się tak, jak przepowiedział. Wieczór był cudowny. Kiedy pianista na tarasie przestał grać, przeszli do restauracji.

Jedzenie było wyborne. Frank pokazał Sybil paru bogaczy, którzy mieli domy na Eleutherze, znanego playboya, producenta konserw. Był też pewien pisarz, którego książki Sybil już czytała.

Orkiestra grała romantyczne melodie, jak Close to you i ulubioną piosenkę Sybil, Laras Theme. Frank był znakomitym tancerzem, miała uczucie, jakby w jego ramionach szybowała nad parkietem.

Kładła głowę na jego ramieniu, to 'znów podnosiła wzrok na niego. Na koniec orkiestra zagrała Moonlight. Frank wyprowadził Sybil na opustoszały taras.

Przetańczył z nią jeszcze kilka kroków. Potem wziął jej twarz w swoje dłonie.

— Kocham cię, Sybil — powiedział cicho.

Sybil nie posiadała się ze szczęścia. Najchętniej w tańcu z Frankiem odplynęłaby w górę po srebrnych promieniach księżyca i jeszcze wyżej, do gwiazd.

Frank spojrzął jej w oczy, po czym pochylił się i zamknął jej usta długim pocałunkiem.

Dla Sybil wszystko to było wspaniałym snem. Jej oczy błyszczały ze szczęścia, gdy Frank przeszedł z nią przez salę restauracyjną i opuścili klub.

Po powrocie Frank zaproponował, żeby poszli jeszcze do niego i coś wypili. Sybil przystała na to. Pragnęła, żeby ten piękny wieczór nigdy się nie skończył.

Trzymając się za ręce szli powoli wąską ścieżką do domku gościnnego. Sybil z zadowoleniem przyjmowała pomoc Franka, gdyż na wysokich obcasach wcale nie było łatwo uniknąć potknięcia.

Potem siedzieli na werandzie obok siebie i patrzyli na księżyc.

Frank pierwszy przerwał milczenie.

— Dlaczego nie zostaniesz u mnie na noc? Pokonywanie z powrotem całej tej drogi nie miałyby przecież sensu.

Sybil oprzytomniała w jednej chwili.

— Nie, Frank, nie mogę tego zrobić! Spojrzął na nią zdziwionym wzrokiem.

— Ale dlaczego? — zapytał zdumiony. Z jego głosu przebijała niecierpliwość.

Sybil pokręciła tylko głową. Wówczas wziął ją na ręce i zaniósł do salonu. Położył ją na tapczanie, pochylił się nad nią i pokrywał jej twarz namiętymi pocałunkami. Jednocześnie jego dłonie zaczęły obmacywać jej piersi.

Sybil ogarnęło uczucie, jakby nie miała już własnej woli. Nie chciała się bronić. Czuła jego pieszczoty i otwierała swe ciało na jego pocałunki. Po chwili jednak usłyszała głos, który bez przerwy ją ostrzegał: Bądź ostrożna. Nie rób tego, czego on chce!

— Nie, nie... Frank! To nie tak. — Obróciła się na bok. — Muszę iść. Dziękuję za cudowny wieczór. Rozumiesz to, prawda?

Mam nadzieję, że nie jest na mnie zły, pomyślała rozpaczliwie. Ale Frank skinął tylko głową i nie próbował jej zatrzymać, kiedy wstała i opuściła pomieszczenie.

Sybil zbiegła bosą z pagórka po mokrej od rosy trawie. Serce waliło jej w piersi. Sama się zdziwiła, jaką poczuła ulgę, gdy znalazła się z powrotem

w swoim pokoju. Nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego, ale była zadowolona, że nie została u Franka.

Wzięła prysznic i śmiertelnie zmęczona padła na łóżko.

Kiedy Sybil obudziła się nazajutrz, była już jedenasta. Natychmiast wyskoczyła z łóżka.

Następnego dnia miał przyjechać David Rodney, a było jeszcze mnóstwo do zrobienia. Włożyła dżinsy i T-shirt i pobiegła do kuchni.

Wonga nie było. Kiedy nalewała sobie filiżankę kawy, stwierdziła, że ręce jej drżą. Nic dziwnego, zupełnie była nie przyzwyczajona do picia w tak dużych ilościach, więc czuła się marnie.

Przy pracy zapomniała jednak o kacu. Usiadła przy biurku Davida Rodneya, gdyż miała jeszcze do załatwienia parę spraw w formie pisemnej.

Gabinet podobał się Sybil szczególnie. Wielkie biurko i regały na książki były z drewna tekowego, a podłogę zakrywał futrzany dywan.

Po południu ból głowy znów przybrał na sile. Dzień był gorący i bezwarunkowo musiała sobie zrobić przerwę. Postanowiła wziąć kąpiel w morzu.

W następnej chwili była już w drodze na plażę. Jej stopy grzęzły w miękkim piasku. Potem pokonała w bród przybrzeżną płyciznę, wybiegła naprzeciw falom i rzuciła się w ubraniu do wody. Było cudownie.

Przypomniała sobie o Franku. Muszę go odwiedzić i wszystko mu wyjaśnić, jeśli chodzi o moje zachowanie wczorajszej nocy, pomyślała. W przemoczonym ubraniu i z włosami ociekającymi wodą ruszyła w drogę powrotną. Zaciskała powieki, gdyż słona woda z włosów spływała jej na twarz. Biegła najprędzej, jak mogła, w stronę domku gościnnego.

Nagle zderzyła się z kimś. Twarde męskie dłonie chwyciły ją za ramiona i przytrzymały.

Sybil znalazła się niespodziewanie przed mężczyzną w eleganckim garniturze. Na jego wargach błąkał się drwiący uśmieszek, a jego wzrok spoczywał bez żenady na jej piersiach, które rysowały się pod mokrym T-shirtem.

Mężczyzna był niewiele niższy od Franka i, jak uznała, jeszcze przystojniejszy od niego. Jego twarz była szczupła i wskazywała na wrażliwe usposobienie. Miał ciemne oczy i był mocno opalony.

Sybil oceniła go na mniej więcej czterdzieści lat, gdyż w jego ciemnokasztanowych włosach widniało już kilka siwych pasemek. Ale naturalnie mógł być młodszy.

Jego wygląd zdradzał pewną wytworność. Miał na sobie niebieską płócienną marynarkę, białą koszulę i popielate gabardynowe spodnie. Sybil

ujrzała z przerażeniem, że jej mokre ubranie zostawiło ciemne plamy na koszuli i spodniach nieznanego.

Mężczyzna popatrzył na nią ironicznie.

— Z kim mam przyjemność? Z syreną czy z rozbitkiem?

— Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że nie zniszczyłam panu ubrania.

— Sybil podjęła próbę wytarcia plamy, jednakże z takim tylko skutkiem, że plama jeszcze się powiększyła.

— Nie ma się czym przejmować. Nawiasem mówiąc, jestem David Rodney. A jak się pani nazywa?

Sybil oniemiała na chwilę z przerażenia. Stała przed swoim szefem — i to w tym tragicznym stroju!

— Ależ, mr. Rodney, miał pan przyjechać dopiero jutro. Nie wszystko jeszcze gotowe. Poza tym zostawiłam na pańskim biurku wszystkie moje materiały. — Sybil zaczerwieniła się jak burak. — Musi mi pan wybaczyć. Jestem Sybil Morgan.

David Rodney zlustrował ją bez słowa. Po chwili rysy jego twarzy rozluźniły się.

— Najpierw proszę się solidnie wyżyć. Potem zobaczymy, co dalej. Proszę przyjść do salonu, kiedy uzna pani, że może się już pokazać między ludźmi.

— Tak, sir.

Owo „sir” pojawiło się na jej ustach jakby w oczywisty sposób, sama nie wiedziała, dlaczego. Na pewno nie tylko dlatego, że był od niej starszy, tylko bardziej już z powodu autorytetu, jaki był od niego. To była silna osobowość, przeczuwała to.

Sybil oddaliła się spieszenie. Z ulgą wywikłała się z tej dosyć krępującej sytuacji.

W swoim pokoju zdjęła mokre ubranie. Ból głowy ustąpił, jakby ręką odjął. Stała pod prysznicem, żeby splukać słoną wodę. Następnie wytarła włosy do sucha ręcznikiem. Na wysuszenie ich suszarką nie miała już czasu, lecz założyła ładną sukienkę na szelkach. Może ona nastroi mr. Rodneya łagodniej.

Mam nadzieję, że nie wpadnie na pomysł, żeby mnie zwolnić. Na tę myśl zrobiło jej się ciężko na sercu, gdyż czuła się tutaj jak w raju.

Jednakże po przyjeździe Davida Rodney? i Lei na pewno zmieni się to i owo. Ale teraz nie miała czasu, żeby zaprzętać sobie głowę takimi myślami. Musiała się pośpieszyć.

Kiedy Sybil weszła przez duże oszklone drzwi do salonu, ujrzała młodą kobietę, która siedziała na jednej z białych sof. Nieznajoma była bardzo



piękna. Jej ciemne brwi i rzęsy kontrastowały uroczo z połyskującymi w kolorze rudym włosami i delikatną cerą.

Kobieta miała na sobie jedwabny żakiet w subtelnym pastelowych barwach. Na szyi nosiła podwójny sznur dużych matoworóżowych pereł.

To z pewnością Lea Ambrose, pomyślała Sybil. Była pod wrażeniem elegancji tej kobiety.

Obok kobiety siedział może siedmioletni chłopczyk, który z nadąsaną miną kartkował jakąś książkę. Był w białym ubranku marynarskim z czerwoną aksamitną kokardą.

— Jestem Sybil Morgan — powiedziała Sybil przerywając panującą w pomieszczeniu ciszę. Ani kobieta, ani chłopiec nie odezwali się.

Po chwili Lea rzekła obojętnym tonem:

— Jeśli szuka pani mister Rodneya, to jest w swoim gabinecie.

Sybil zastała pana domu przy biurku. Przeglądał właśnie rozłożone na nim papiery.

— Dobrze, dobrze — powiedział zobaczywszy Sybil.

Przez następne pół godziny rozmawiali o pracy, i Sybil podziwiała swojego szefa. David Rodney natychmiast przeszedł do rzeczy. Nie zatrzymywał się nad sprawami drugorzędnymi i nie zadawał zbędnych pytań. Wiedział, co jest ważne, i podejmował decyzje. Kiedy skończyli, powiedział:

— Muszę jeszcze porozmawiać z panią o dwóch rzeczach. Jest jeszcze jedna nie zrealizowana dostawa, i chciałbym, żeby pani pozostała do czasu jej nadejścia. Po drugie chciałbym panią prosić, żeby w wolnym czasie zaopiekowała się pani trochę synem miss Ambrose. Miss Ambrose nie wzięła ze sobą bony do dziecka, ponieważ sama chce się zajmować chłopcem możliwie jak najwięcej.

Sybil nie miała wyboru. Musiała się zgodzić, mimo że rola dziewczyny do dziecka była jej obca. Następnie David Rodney poinformował ją, że miss Ambrose przykłada dużą wagę do zachowania swojej sfery prywatnej.

— Może pani korzystać z basenu jedynie przed dziesiątą rano i po czwartej po południu. Z plaży naturalnie o każdej porze. Posiłki może pani spożywać albo z dzieckiem, albo w swoim pokoju, albo w domku gościnnym. Sybil skinęła głową.

— Sądzę, że to by było wszystko — zakończył David Rodney. Ton jego głosu wskazywał, że Sybil może odejść. Zanim jednak opuściła pomieszczenie, dodał jeszcze: — Miss Morgan, zauważyłem, że przy urządzaniu mieszkania nie zawsze trzymała się pani planów.

Sybil zaczerwieniła się.

— To prawda, mr. Rodney. Czasami uznawałam jednak, że będzie wyglądać lepiej, jeśli postawię meble inaczej, niż przewidziano to w planach.

Teraz z pewnością nastąpi wielka burza! Kiedy jednak Rodney nic nie powiedział, Sybil zaproponowała:

— Jeśli pan sobie życzy, mogę te meble przestawić. Miała nadzieję, że nie zauważył drżenia w jej głosie.

— Nie. Pani zmiany podobają mi się. Są nawet bardzo dobre.

Nie było to nic więcej niż stwierdzenie, lecz opuszczając gabinet Sybil była przeszczęśliwa. David Rodney wyszedł za nią. W salonie przedstawił Sybil.

— Lea, to jest miss Morgan. Zgodziła się opiekować Timem, kiedy będziesz zajęta czymś innym. Miss Morgan, to jest miss Ambrose, a to jej syn Tim Ambrose.

Sybil nigdy nie przyszłoby do głowy, że Lea Ambrose może mieć syna. Teraz jednak przypomniała sobie, iż Lea była już raz zamężna, a mianowicie była żoną gracza polo, Petera Ambrose'a. Musiała mieć teraz pod trzydziestkę, na pewno nie więcej. W każdym razie wyglądała jeszcze bardzo młodo.

— Dobrze. — Lea Ambrose traktowała Sybil jak powietrze. — Najlepiej, gdyby teraz zaprowadziła go do pokoju i rozpakowała jego rzeczy. Potwornie boli mnie głowa.

Wstała i opuściła pokój dumna jak królowa.

David Rodney powiedział Sybil, że Tim będzie spał w pokoju obok niej. Sybil nie była zachwycona takim rozwiązaniem. Dlaczego chłopiec nie mieszkał obok swojej matki? Nie dała jednak nic po sobie poznać.

— Chodź, Tim! Pójdziemy do twojego pokoju i rozpakujemy twoje rzeczy — rzekła z uśmiechem.

— To przecież może zrobić służąca! — oświadczył mruklawie chłopiec.

— Na pewno sprawi ci to frajdę — odpowiedziała Sybil możliwie najzyczliwszym tonem. To nowe zadanie okazywało się trudniejsze, niż przypuszczała.

Wzięła Tima za rękę i przeciąwszy pokój wyprowadziła opierającego się chłopca na taras. Kiedy jednak zeszła po kilku stopniach, ten skoczył jej nagle na plecy. Jego ręce zacisnęły się na jej szyi, jakby ją chciał udusić. Niewiele brakowało, żeby Sybil upadła głową naprzód w dół schodów.

— Wio, wio, koniku! — krzyknął Tim. — Ruszaj galopem!

Sybil strząsnęła go z pleców, i chłopiec dosyć twardo wylądował na jednym ze stopni. Pomogła mu wstać.

— Omal nie spadliśmy ze schodów i nie zrobiliśmy sobie krzywdy. Czy nie lepiej, żebyśmy spróbowali żyć ze sobą w zgodzie? Ale wówczas musisz mi przyrzec, że będziesz się porządnie zachowywał.

Tim spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Nie znoszę cię! — krzyknął i zaczął wyć. — Każdy musi robić to, czego chce. Powiem mojej mamie, żeby cię wyrzuciła.

Sybil przypuszczała, że bona Tima wolała wymówić posadę, niż wyjechać w podróż z tym małym potworem. Chwyciła Tima za rękę i zaciągnęła go do jego pokoju. Tam, w dalszym ciągu wściekła, zaczęła układać w szafach jego rzeczy. Chłopiec siedział na łóżku i obserwował ją. Od czasu do czasu cicho popłakiwał.

Sybil myślała tylko o jednym: pozbyć się Tima, żeby poszukać Franka i opowiedzieć mu wszystko.

Spojrzała na zegarek. Było już wpół do siódmej. Po raz pierwszy zrobiło jej się żal malca.

— Musisz być głodny. Kiedy jadłeś lunch?

— Nie wiem — mruknął Tim.

— Nic dziwnego, że jesteś w tak złym humorze. Prawdopodobnie jesteś też zmęczony. — Sybil usiadła obok niego na łóżku. — No, bądźmy przyjaciółmi. Teraz cię wykąpię. Potem założysz piżamę i pójdziemy do kuchni do Wonga. Zrobi ci coś do jedzenia. Jeśli zjesz wszystko, dostaniesz jeszcze loda. Potem położę cię do łóżka i przeczytam ci jakąś historyjkę. Okay?

Tim zrobił się trochę bardziej ugodowy. Prawdopodobnie rzeczywiście był głodny. Podczas kąpieli nabrał nagle do ust wody i wypluł ją Sybil w twarz.

— Jestem wielorybem — zachichotał.

Sybil była wściekła, lecz ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć tego, co chciała.

W czasie gdy Wong dawał jeść Timowi, pobiegła szybko do domku gościnnego.

Na szczęście Frank był u siebie. Sybil wyjaśniła mu, że ma tylko parę minut, ponieważ musi się bawić w bonę pewnego potworka. Umówili się więc, że później zjedzą razem kolację w domku gościnnym.

Sybil była zadowolona, że Frank nie wydawał się już zły na nią z powodu poprzedniego wieczoru. Biegnąc z powrotem do swego podopiecznego, cieszyła się już na wieczór z Frankiem.

Dopiero po trzech długich historyjkach Tim wreszcie zasnął. Zadawał bez liku pytań, żeby przedłużyć godzinę bajek, i ze wszystkich sił starał się nie spać.

Jedynie pewność, że wkrótce będzie u Franka, pomogła Sybil zachować spokój. O swoją matkę Tim nie zapytał ani razu. Jak się zdaje, był przyzwyczajony do tego, że nie całuje go na dobranoc. Sybil podejrzewała, że Lea rzadko się nim interesuje.

Po powrocie do swojego pokoju włożyła białą bluzkę i niebieskie spodnie. Mimo że była już dosyć zmęczona, nie chciała rezygnować z godzin, które miała spędzić z Frankiem. Kiedy przyszła do domku gościnnego, Frank czekał już na nią z kolacją.

Nie śpieszyli się z jedzeniem. Sybil powiedziała Frankowi, że wieczór spędzony w klubie był uroczy, ale żadne z nich nie wspomniało nawet słowem o przedwczesnym jego zakończeniu.

Opowiedzieli sobie nawzajem o swych spotkaniach z Davidem Rodneyem. Rodney pochwalił pracę Franka, co ze wszech miar wydało się Sybil zrozumiałe. Również ona podziwiała wspaniały ogród. Nigdy dotąd nie widziała bardziej romantycznego miejsca.

Tylko pod jednym względem Frank sprawił jej zawód. Nie pocałował jej na powitanie ani nawet nie objął na chwilę. Był sympatyczny, ale inaczej niż poprzedniego dnia.

Po kolacji postanowili pójść na basen. Było już wszak po czwartej, a David Rodney pozwolił im korzystać z basenu o późniejszej porze.

Frank przyniósł kilka poduszek i położył je na ziemi obok basenu. Woda była od dołu podświetlana.

Sybil odchyliła głowę do tyłu i obserwowała w rozmarzeniu nocne niebo. Ależ tu było pięknie! Lecz wątpliwości pozostały.

Czy Frank ją naprawdę kocha? I jak będzie od tej pory, kiedy zjawił się David Rodney? Dręczyła ją niepewność. I zanim zdążyła się powstrzymać, wypowiedziała swoje myśli na głos:

— Co z nami będzie, Frank? Nasza praca tutaj wkrótce dobiegnie końca, a co potem?

Spojrzał na nią zdziwionym wzrokiem. Uplęnęła dłuższa chwila, nim odpowiedział.

— Nie wiem, Sybil. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Ale w najbliższych dniach przemyślę to sobie. I ty będziesz pierwszą osobą, która się dowie, co z tego wyszło — zażartował.

Ton jego głosu uspokoił ją. Frank na pewno wszystko ułoży. Mogła się zdać na niego.

— Z Timem, tym rozpuszczonym bachorem, długo nie wytrzymam, wiem o tym. — Spojrzała na niego z zażenowaniem. — Ale później też chciałabym mieć dziecko. Później, to znaczy: kiedy wyjdę za mąż.

Frank przyciągnął ją do siebie i pocałował. Sybil spodziewała się niemal, że zaproponuje jej małżeństwo. Dlatego była dosyć zdziwiona jego następnymi słowami.

— Przed końcem tygodnia raczej tego ogrodu nie skończę. A co właściwie o niej sądzisz? Szałowa kobieta, nieprawdaż?

Sybil aż zatkało.

— Kto... Frank...? — wyjąkała.

— Ta Ambrose, naturalnie. Piękna Lea! Uważam, że Rodney jest dla niej za stary.

— Przecież on nie jest stary, Frank. Niewiele jest od ciebie starszy, a ty masz dokładnie trzydzieści pięć lat.

— Bardzo możliwe. Ale mam wrażenie, że ona rozgląda się za kimś młodszym. Szkoda, że nie widziałas, jak flirtowała ze mną.

Zaśmiała się do siebie.

— Frank, nie mogę w to uwierzyć.

Sybil wypowiedziała te słowa stłumionym głosem. Nie wiedziała, co uznać za gorsze. Zainteresowanie Lei Frankiem czy myśl, że on mógłby się zainteresować piękną kobietą?

Frank objął ją ramieniem.

— Nie obawiaj się, Sybil. Ona nie jest w moim typie. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że oni dwoje pasują do siebie znakomicie.

Tym samym temat został wyczerpany. Ale rozmowa ta zupełnie popsowała jej humor.

## Rozdział 5

Sybil miała niespokojną noc. Tim wciąż ją budził. Bał się, bo było ciemno, i za każdym razem, kiedy się przebudził, płakał.

Brała drżące dziecko w ramiona i śpiewając usypiała je znowu. Ale następnego ranka czuła się rozbita i nie za bardzo miała ochotę na kłótnie z krnąbrnym chłopcem.

Kiedy w końcu nakłoniła Tima, żeby umył sobie zęby w łazience, ten napisał pastą na lustrze: „Supermen Tim był tutaj”.

— Tim, czy nie wiesz, że to jest bardzo niegrzeczne?

— Wiem! — odpowiedział z powagą.

— Więc dlaczego to zrobiłeś?

— Bo inni zajmują się mną tylko wtedy, gdy jestem niegrzeczny.

Serce ją zakłuło. Biedne dziecko, pomyślała.

Pomimo to nie była zachwycona myślą, że ma się nim ciągle zajmować. Poszła z Timem do kuchni na śniadanie. Po drodze spotkali Franka.

— Dzień dobry. — Sybil popatrzyła na niego rozpromienionym wzrokiem. — Przydałaby mi się mała odmiana.

— Odmiana? A co byś powiedziała na to? Frank wskazał w kierunku plaży.

Dostrzegła tam Davida Rodneya i Lec, którzy na rasowych koniach odbywali poranną przejażdżkę, on i obnażonym torsem, Lea w zielonej bluzce i kremowych bryczesach. Jej długie rude włosy powiewały na wietrze.

Sybil poczuła, jak wzbiera w niej gniew. Lea korzystała z wszelkich przywilejów, jakie daje bogactwo. Beztrudnie jechała sobie plażą, a ona, Sybil, musiała się użerać z jej rozpuszczonym dzieckiem!

— Twoje oczy, Sybil, błyszczą dziś rano wyjątkowo pięknie. Czyżbyś była zazdrosna? — zakpił Frank.

I bez jego drwiny czuła się wystarczająco podle. Chciała mu odpowiedzieć równie złośliwie, ale opanowała się w porę. Nie była to przecież wina Franka.

Zauważył zmianę, jaka w niej zaszła, i zaproponował:

— Zróbmy sobie dziś wieczorem piknik na plaży. Omówię wszystko z Wongiem. Wygląda na to, że czeka cię ciężki dzień.

Posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie, po czym ruszyła spieszenie za Timem. Musiała wykorzystać tę sytuację możliwie jak najlepiej. Wieczór z Frankiem wynagrodzi jej niegrzeczności Tima.

Po śniadaniu chłopiec zażyczył sobie pójść do zagrody, żeby popatrzeć na konie. Sybil zgodziła się. Jakoś musiała przecież zabijać z nim czas. Dotarli do zagrody akurat w chwili, gdy David Rodney i Lea zsiadali z koni.

Nie uświadamiając sobie tego w pierwszej chwili, Sybil porównała Davida Rodneya z Frankiem i musiała stwierdzić, że ten pierwszy jest jeszcze przystojniejszy.

Tim popędził do swojej matki.

— Mamo! Mamo, ja też chciałbym pojeździć.

Lea Ambrose musnęła czoło dziecka pocałunkiem i popatrzyła z dezaprobataą na Sybil.

— Co pani strzeliło do głowy, żeby przyprowadzać chłopca tutaj? Przecież koń mógłby wierzgnąć i zranić go kopytem. Poza tym domagam się, żeby Tim nosił zawsze kapelusz od słońca. Nie chciałabym, żeby miał cerę jak Indianin!

Obrzuciła drwiącym spojrzeniem opaloną skórę Sybil, po czym zwróciła się do Davida Rodneya.

— Kochanie, sądzisz, że nic się nie stanie, jeśli miss Morgan wsadzi Tima na konia i pospaceruje z nim trochę?

— Każę dla niego osiodłać łagodnego kucyka. Miss Morgan, Lea i ja wybieramy się do Withneyów na tenisa. Po południu może więc pani popływać z Timem w basenie, jako że nas nie będzie tak czy owak.

Sybil skinęła głową bez słowa. Co za arogancy ludzie! Co oni sobie wyobrażają! Ze złości nie mogła wydobyć słowa.

David Rodney poszedł do stajni, żeby rozejrzeć się za koniem dla Tima.

Lea czekała niecierpliwie, opędzając się szpicrutą od much. Nie zamieniła już z synem ani słowa i zachowywała się tak, jakby go w ogóle nie było. Kiedy Rodney wrócił, wzięła go pod rękę i ruszyli do domu.

— Całe szczęście, że milord i milady nie mieli żadnych dalszych rozkazów — mruknęła do siebie Sybil.

Ze stajni wyszedł ciemnoskóry chłopiec, który przyprowadził konia. Sybil uśmiechnęła się do niego.

— Nigdy jeszcze nie prowadziłam konia — wyznała. Chłopiec odwzajemnił jej uśmiech, podniósł Tima i posadził go w siodle. Następnie wziął cugle i zaczął prowadzić konia dookoła zagrody.

Nagle ze stajni rozległ się ostry głos:

— Gdzie ty się podziewasz, Joe?

Chłopiec czym prędzej wcisnął jej do ręki cugle i oddalił się w kierunku stajni.

W słońcu było nieznośnie gorąco. Ponieważ od tygodni już nie spadła kropla deszczu, kopyta kuczka wzbijały przy każdym kroku kurz, który wciskał się Sybil do ust i do nosa. Komary pocięły jej nogi i ręce, zanim zdążyła je odpędzić. Wkrótce jej wrażliwa skóra pokryta była czerwonymi bąblami.

Za to Tim był przeszczeniwy.

— Halo, samotny kowboj galopuje przez prerię! — krzycał. — Szybciej, miss Morgan.

Cierpliwosc Sybil została wystawiona na ciężką próbę. Na domiar wszystkiego David Rodney i Lea minęli ich autem głośno trąbiąc. Kiedy przejeżdżali, Sybil zdążyła przelotnie rzucić na nich okiem, oboje byli ubrani w przewiewne białe stroje tenisowe.

Sybil znosiła upał i kurz tak długo, jak mogła. W końcu oświadczyła Timowi, że na dziś wystarczy. Chłopiec zaczął wrzeszczeć, jakby był obdzierany ze skóry. Nie zrobiło to jednak na niej wrażenia i odprowadziła kuczka do stajni.

Zjawił się Joe i zсадził chłopca z konia. Po tej jeździe oboje tacy byli zakurzeni, że uznała, iż najlepiej będzie udać się od razu na basen.

Kiedy przechodzili obok kuchni, poprosiła Wonga, żeby podał im lunch przy basenie.

Chłodna woda trochę ją odświeżyła. Kiedy jednak Tim zapragnął poszaleć z nią w wodzie, oświadczyła kategorycznie:

— Nie ma mowy!

Kompletnie wyczerpana osunęła się na jeden z leżaków.

Wong przyniósł dla Sybil sałatkę z krabów i zimną herbatę, a dla Tima sandwich z masłem orzechowym i szklanke mleka. Zaraz po posiłku chłopiec chciał z powrotem wskoczyć do wody, lecz powstrzymała go.

— Nie możesz natychmiast po jedzeniu wracać do wody. Złapie cię kurcz i utoniesz.

Była to z pewnością trochę naciągana teoria. Sybil rozumiała jednak bardzo dobrze pokolenia matek, które trzymały w ten sposób w szachu swoje latorośle. W cieniu palmy rozłożyła kilka poduszek i powiedziała Timowi, że pora na popołudniową drzemkę.

Sama tak była zmęczona upałem i bezsenną nocą, że natychmiast zapadła w sen. Kiedy się obudziła, nie wiedziała przez chwilę, gdzie jest. Z wolna przypomniała sobie.

Tim! Gdzie jest chłopiec? Nie mogła go nigdzie dostrzec!

— Tim! — zawołała. — Gdzie jesteś? Brak odpowiedzi.



Pierwszą jej myślą było szukać go na dnie basenu, Tyle szczęścia nie będę jednak chyba miała, pomyślała z rozdrażnieniem. W końcu znalazła chłopca w pobliżu pompy i instalacji filtrowej obsługującej basen.

— Chodź, Tim. Znam fantastyczną nową zabawę. Sybil przypomniała sobie, że jako dziecko często bawiła się z przyjacielem w „konika”. Jedno było treserem, a drugie koniem. Z gałęzi budowało się małe przeszkody, przez które „konik” musiał przeskakiwać.

To przynajmniej go zmęczy, pomyślała. Może w nocy będę miała trochę więcej spokoju.

Z suchej gałęzi palmowej zrobiła bicz. Usiadła w trawie i strzeliła z biczka. Tim był konikiem, więc skakał przez przeszkody i fikał koziołki. Uważał, że nowa zabawa jest wspaniała.

Około szóstej wrócili David Rodney i Lea Ambrose. On miał na sobie jasnozieloną meksykańską koszulę i białe spodnie. Lea była ubrana w swego rodzaju sarong z cienkiego białego materiału drukowanego w delikatne kwiaty. Owa szata podkreślała jeszcze mocniej jej rude włosy. Uroda Lei zapierała dech w piersiach.

Rozpromieniony Tim podbiegł do niej. Lea cofnęła się jednak o krok, schodząc mu z drogi, i chłopiec upadł w trawę.

Właściwie Sybil nie mogła jej wziąć tego za złe. Tim był brudny i spocony, a Lea nieskazitelnie czysta. Tim zerwał się znowu na nogi.

— Mamo, mamo. Popatrz, co robię. Jestem konikiem, a miss Morgan jest moim trenerem. Nauczyłem się fantastycznych sztuczek.

Sybil spostrzegła uniesione brwi Lei i powiedziała szybko:

— Sądzę, Tim, że twoja matka nie ma teraz czasu. Była pewna, iż wyraziła się właściwie, lecz Lea Ambrose posłała jej nieprzyjazne spojrzeenie.

— Matka ma zawsze czas dla swego małego chłopca.

Sybil była zdziwiona, lecz wykonała z Timem wszystkie sztuczki, które razem ćwiczyli. Po zakończeniu popisu David Rodney zaczął bić brawo.

— Naprawdę świetna zabawa, miss Morgan. Bardzo kreatywna — rzekł. — Dziecko od dawna już nie miało takiej frajdy.

— A ja uważam, że takie brykanie przed pójściem do łóżka jest zbyt podniecające. Oczekuję, że w przyszłości będzie pani wymyślać dla niego trochę spokojniejsze zabawy — oznajmiła Lea Ambrose i minawszy ich z dumnie podniesioną głową ruszyła w kierunku domu.

David Rodney udał się za nią.

— Na dzisiaj dosyć, Tim. Rozkaz twojej matki. Sybil poszła z nim do domu i wykapała go. Kiedy potem w drodze do kuchni, gdzie Tim miał jeść

kolację, przechodzili przez taras, ujrzała Davida Rodneya i jego narzeczoną siedzących nad basenem. Zaskoczona stwierdziła, że słyszy każde słowo, jakie tam mówiono.

Mam nadzieję, że nikt nie stał tutaj wczoraj wieczór, kiedy siedziałam na dole z Frankiem, pomyślała. Wiatr przynosił na taras wszelkie dźwięki.

Tim był tego wieczoru tak zmęczony, że zasnął już po pierwszej historyjce.

Przynajmniej tyle osiągnęła. Sybil była z siebie zadowolona. Położyła się na łóżku i czytała gazetę, aż nadeszła pora zejścia na plażę.

Tuż przed dziewiątą zeszła na plażę, żeby spotkać się z Frankiem na umówionym pikniku. Usiadła na piasku w miejscu, gdzie wąska ścieżka wychodziła na plażę. Tutaj Franka nie mogła przeoczyć. Sybil zagrzebała palce stóp w miękkim jasnym piasku, kreśliła na nim figury i przepuszczała go przez palce.

Czekała długo. Frank jednak nie nadchodził. Czyżby się pomyliła? Może byli umówieni w innym miejscu?

Nawet gdyby Frank nie mógł oderwać się od pracy, to przecież Wong powinien przynieść jedzenie. Była bardzo głodna. Musiało już być po wpół do dziesiątej.

Postanowiła policzyć dziesięć razy do stu. Jeśli do tego czasu Franka nie będzie, pójdzie do domku gościnnego. Liczyła powoli, ale nikt nie przyszedł. Oprócz cykania świerszczy i pluskania fal nie było nic słychać.

W końcu Sybil wstała i podeszła wąską ścieżką do domku gościnnego. Wszędzie było ciemno, wyglądało na to, że jest pusty!

Do tej pory nie miała jeszcze powodu do niepokoju, była tylko zniecierpliwiona i zła. Teraz jednak podbiegła zdenerwowana do okna jego sypialni i zawołała:

— Frank!

Żadnej odpowiedzi.

Może zasnął? Sybil otworzyła oszklone drzwi i zaświeciła światło. W środku nie było nikogo.

Podbiegła do szafy i otworzyła ją. Szafa była pusta!

Również w łazience nie znalazła przyborów toaletowych Franka. Wisiały tam jedynie dwa świeże ręczniki, jakby czekały już na następnego gościa. Powłócząc nogami wyszła na taras i opadła na krzesło. Tysiące myśli kłębiło się jej w głowie.

Czy to możliwe, żeby Frank musiał się przenieść do innego pokoju, ponieważ oczekiwano jakiegoś gościa? A może nagle musiał wyjechać do Nassau? Ale wówczas na pewno by jej o tym powiedział!

Może jej szukał i nie znalazł? Nie, to niemożliwe. Przez całe popołudnie była z Timem przy basenie. Pomimo to Frank zostawiłby jej wiadomość lub przekazał coś Wongowi. Wong! On z pewnością będzie coś wiedział.

Sybil zbiegła z pagórka i wspięła się po stopniach na taras. W głównym budynku również było zupełnie ciemno. Nawet w kuchni nie paliło się światło. Prawdopodobnie Wong poszedł już spać.

Sybil udała się do swego pokoju i położyła się na łóżku.

Jednego była już pewna: Frank wyjechał! I nie zostawił jej żadnej wiadomości.

A może jednak? Serce zaczęło jej bić jak szalone, kiedy zerwała się z łóżka, żeby włączyć światło. Sprawdziła, czy nie ma czegoś na biurku, pod lustrem i na nocnej szafce. Następnie przeszukała cały pokój. Niczego jednak nie-znalazła.

Mogły być tylko dwa wyjaśnienia zachowania Franka. Albo zmuszony był opuścić dom tak szybko, że nie zdążył przesłać jej żadnej wiadomości, albo rozmyślnie niczego jej nie powiedział.

Ale tę drugą ewentualność Sybil odrzuciła od razu. Usilnie się zastanawiała. Czy to możliwe, żeby David Rodney lub ktoś inny podsłuchał wczoraj wieczorem ich rozmowę o Lei? W takim wypadku całkiem prawdopodobne było, że Rodney zrobił się zazdrosny i w przypływie gniewu zażądał, żeby Frank natychmiast opuścił jego dom.

To było jedyne możliwe wytłumaczenie. Jutro rano zapyta Rodneya i poprosi o wyjaśnienie. Spróbuje go przekonać, że odprawienie Franka było błędem.

Myśl ta trochę ją pocieszyła. Lecz Sybil była dalej niespokojna i nie mogła zasnąć. Dlatego wzięła w końcu jakieś czasopismo i zaczęła czytać. Po chwili czasopismo spadło na podłogę. Nie zauważyła już tego. Spała — bez snów.

Następną rzeczą, jaką spostrzegła, był Wong, który pochylał się nad nią.

— Stłaszna awantula, missee. Mistel Lodney powiedzieć, pani przyjść do niego natychmiast.

Począł pukać do drzwi.

Frank, pomyślała Sybil. To ma jakiś związek z Frankiem! Na pewno stało się coś strasznego!

Ponieważ była jeszcze ubrana, więc poprawiła tylko szybko szczotką włosy i poszła za Wongiem do dużego salonu. Tam oczom jej ukazał się widok, który w innych okolicznościach z pewnością by ją rozśmieszył.

Prawie wszyscy pracownicy, większość w koszulach nocnych lub piżamach, zebrali się wokół Davida Rodneya, którego całą twarz pokrywała piana do golenia.

— Miss Morgan, w domu nie ma wody! — krzyknął. Oczy wszystkich zwróciły się na nią. Co on sobie myśli, że kim jestem? Pompą? — pomyślała z wściekłością Sybil.

— Nic mi nie wiadomo o wodzie, mister Rodney. Wong właśnie mnie zbudził.

— Miss Morgan! Ktoś włączył wczoraj pompę przy basenie. Od tamtej pory pompuje ona wodę bez przerwy. Zbiornik jest pusty, za to teren wokół basenu jest cały zalany. Wiadomo pani, czy ktoś nie majstrował przy pompie?

W tym momencie do pokoju wszedł Tim. Stał w swojej kolorowej piżamie, bo zbudził go niepokój panujący w budynku.

— Widziałem wczoraj przy pompie strasznego zamaskowanego mężczyznę z dwoma pistoletami — zaczął opowiadać szeroko otwierając oczy.

Sybil poczuła lekką pustkę w okolicy żołądka. Naturalnie! Tim bawił się w pobliżu pompy! Tam go znalazła, kiedy ocknęła się z popołudniowej drzemki.

Malec z podnieceniem opowiadał dalej:

— Zawiązał mi usta chusteczką i skrępował mi ręce na plecach, a potem zaczął kręcić wszystkimi guzikami przy pompie. Powiedział, że jeśli komuś o tym wspomnę, to mnie zastrzeli.

Nawet David Rodney z trudem powstrzymał się od śmiechu, mimo że był w bardzo złym humorze.

— Proszę przyjść do mojego gabinetu — zwrócił się do Sybil — za pół godziny. — A potem do Wonga: — Wong, zadzwoń do Nassau i spraw, żeby zbiornik na wodę został ponownie napełniony.

To rzekłszy, obrócił się i dużymi krokami wyszedł z salonu.

Sybil wzięła Tima za rękę i zaprowadziła go do jego pokoju.

— Tim — powiedziała życzliwie — nie ma sensu, żebyś opowiadał takie bajki. Prawdopodobnie to ty przez pomyłkę włączyłeś pompę. Nie powinienesz być tam się bawić. Lepiej było powiedzieć prawdę. Kłamstwo to coś złego. Ale była to głównie moja wina. Powinnam na ciebie uważać, a nie zasypiać.

— Tak mi przykro, miss Morgan. Nie chciałbym, żeby miała pani nieprzyjemności. Ale chyba pani nie odprawią? Lubię panią. Powiem mamie, że nie wolno im Pani przepędzić.

Chciał od razu wybiec z pokoju, lecz Sybil powstrzymała go.

— Nie ma obawy, Tim. Tak czy owak muszę coś omówić z mister Rodneyem.

CCaude Du?ois

Sybil przypomniła sobie o denerwujących chwilach, jakie przeżyła ostatniej nocy. Wybryk Tima z pewnością nie ułatwi jej rozmowy z Davidem Rodneyem.

Ubrała chłopca i zaprowadziła go do kuchni do Wonga, żeby dostał śniadanie. Sama wypiła szklankę coli, mając nadzieję, że w ten sposób uspokoi trochę swoje nerwy. Kawy oczywiście nie było z braku wody.

David Rodney podniósł wzrok znad biurka, kiedy weszła do jego gabinetu. Otarł już z twarzy pianę, więc Sybil widziała teraz ciemny, nie goleny zarost.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zaczęła mówić:

— To była moja wina, mister Rodney. Wczoraj po południu zasnąłem przy basenie. W tym czasie chłopiec musiał włączyć pompę, gdyż bawił się w pobliżu. O ile przez to narobiłam panu kosztów, może pan tę sumę potrącić z mojej pensji. Przykro mi, że naraziłam wszystkich na takie nieprzyjemności.

Popatrzył na nią spokojnie.

— Proszę usiąść, miss Morgan. Podzielim wprawdzie pani pogląd, że cała sprawa powstała wskutek pani zaniedbania, ale część winy leży również po mojej stronie. Ostatecznie nie została pani zatrudniona w charakterze bony do dzieci. Poza tym to chyba trochę za wiele, żeby przez cały dzień zajmowała się pani Timem. Zakładałem, że jego matka będzie mu poświęcać nieco więcej czasu. Sprowadzę więc z wioski dziewczynę, która przejmie pani zadanie od południa po późne popołudnie. Panią zaś chciałbym prosić, żeby troszczyła się o Tima rano i wieczorem.

— Nie w tym główny problem — ciągnęła Sybil z powagą. — Jest jeszcze jedna ważna sprawa, o której chciałabym z panem porozmawiać. Czy mister MacIntyre opuścił wyspę, a jeśli tak, chciałabym poznać powód.

Patrzyła Rodneyowi prosto w oczy, lecz w głębi duszy drżała.

— Wczoraj po południu rozwiązałam umowę z Frankiem MacIntyre ze skutkiem natychmiastowym.

Wyglądało na to, że uważa to wyjaśnienie za wystarczające. Ale Sybil ono nie zadowoliło.

— W ten sposób nie odpowiedział pan jeszcze na drugą część pytania, czyba że się mylę? — zapytała.

David Rodney popatrzył na nią ze zdziwieniem. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do udzielania wyjaśnień. Rzeczą oczywistą było dla niego żądanie ich od innych.

— Ta kwestia, miss Morgan, nie powinna panią w zasadzie w ogóle interesować. Z pewnością wystarczy, jeśli pani powiem, że moja decyzja wynikała z ważnych osobistych powodów. Kiedy pani praca tutaj dobiegnie końca, zadysponuję przelaniem pani pensji na pani nowojorskie konto i każę panią odwieźć samolotem do domu. Do tego czasu oczekuję, że zakończy pani swoją pracę tutaj z taką samą starannością, z jaką ją pani zaczęła.

Jego autorytarna postawa uniemożliwiała jakikolwiek sprzeciw. Sybil chętnie by mu powiedziała, że uwagi na temat Lei Ambrose, które być może przypadkiem usłyszał, z pewnością nie zrodziły się wyłącznie z winy Franka.

Czyż nie widział, jaką kobietą jest Lea Ambrose? Ostatecznie Frank wykonał swoją pracę bez zarzutu!

Sybil nie miała jednak odwagi, żeby wyluszczyć mu to wszystko, i odwróciła się, chcąc odejść, lecz Rodney zatrzymał ją.

— Jest jeszcze coś. Zabraniam pani nawiązywania kontaktu z panem MacIntyre. Jak pani wiadomo, tutaj w domu łatwo można kontrolować telefon i pocztę. Nie będę tolerował żadnych uchybień temu zarządzeniu. W takim wypadku nie byłbym zobowiązany do wypłacenia pani pensji ani do pokrycia kosztów podróży do -owego Jorku. Czy to jasne? Do widzenia, miss Morgan.

Zajął się z powrotem swymi papierami na biurku.

Sybil czuła się jak uderzona obuchem w głowę. Co za okropny tyran, pomyślała. Myśli sobie pewnie, że przy pomocy pieniędzy można wszystko osiągnąć. No, to się jeszcze okaże!

Odwróciła się i wyszła z pomieszczenia, trzaskając przy tym drzwiami najgłośniej, jak potrafiła.

## Rozdział 6

— Zachowuje się tak, jakby wszyscy musieli tańczyć, kiedy im zagra — zzymała się Sybil półgłosem, mówiąc do siebie, kiedy szła przez salon w kierunku kuchni. W porównaniu z Davidem Rodneyem Tim był przecież prawdziwym aniołem!

Udała się do Wonga.

— Wong, wie pan, dlaczego mister MacIntyre opuścił dom? — zapytała.

— Coś baldzo, baldzo złego, coś oklopnego. Wong ze smutkiem pokręcił głową. Ale kiedy dalej nalegała na niego, zorientowała się, że Wong nie ma najmniejszego pojęcia, co się naprawdę stało. Nie wiedział więcej od niej.

Tim chciał znowu pójść do koni. Ale Sybil mało się spodobał ten pomysł. Potrzebowała trochę czasu, żeby spokojnie się zastanowić.

— Znam świetną zabawę, Tim. Nazywa się „skarb piratów”!

Tim był zachwycony. Niczym wierny pies truchtał u jej boku w drodze na plażę. Tam musiał usiąść na piasku i zamknąć oczy. Obiecał, że nie będzie się ruszał, dopóki Sybil nie wróci.

Sybil ukryła w różnych miejscach małe kawałki papieru, zakopując tam również cukierki, które znalazła w swej torebce. Następnie wróciła do Tima i dała mu łopatkę.

— Dam ci teraz wskazówkę, gdzie masz kopać. Znajdziesz tam mały papierek. Potem dam ci następną wskazówkę, gdzie możesz znaleźć drugi papierek. Kiedy wyko piesz wszystkie, zdobędziesz skarb.

Tim był bardzo podekscytowany. Natychmiast podbiegł do miejsca, które mu wskazała, i zaczął kopać. Dzięki tej zabawie Sybil miała trochę czasu, żeby się zastanowić nad sprawą Franka.

Doszła do wniosku, że David Rodney tak się wściekł na Franka z zazdrości, że go zwolnił. Albo więc Rodney podsłuchiwał ich rozmowę o miss Ambrose przy basenie, albo zauważył, jak Lea flirtowała z Frankiem. Frank nie miał już czasu, żeby ją o tym poinformować lub zostawić jej jakąś wiadomość.

Również jej własna sytuacja wcale nie wyglądała różowo. Miała jeszcze dokładnie 27 dolarów. Tyle nie wystarczyłoby na podróż do Nassau, a co dopiero do Nowego Jorku. Miała uczucie, że jest więźniem Davida Rodneya. Ponieważ nie mogła zadzwonić do Franka z domu, musiała znaleźć jakieś inne wyjście.

Rodney obiecał, że na popołudnie sprowadzi z wioski dziewczynę, która będzie pilnować chłopca. Po południu będzie miała trochę wolnego czasu. Do Governor's Harbour były tylko dwie mile. Mogła pójść do wioski i



stamtąd zadzwonić. Na telefon pieniędzy jej wystarczy. Z pewnością nietrudno też będzie niepostrzeżenie wymknąć się z domu.

Sybil była zadowolona ze swojego planu. Martwiła ją jeszcze tylko jedna myśl. A może David Rodney przyłapał Franka, gdy ten zalecał się do Lei? Zaraz jednak stłumiła w sobie to podejrzenie. Ostatecznie nie miała żadnych powodów, by wątpić w uczciwość Franka.

Tim odnalazł wszystkie cukierki i przybiegł z triumfalnym wyciem, żeby je pokazać Sybil. Była już zresztą pora powrotu do domu.

Naprzeciwno pojawili się David Rodney i Lea. Szli na plażę, ponieważ ogród w pobliżu basenu był w dalszym ciągu zalany. Kaśliwa uwaga Lei, że karmienie dzieci przed obiadem słodyczami uważa za niewłaściwe, spłynęła po niej jak woda po gęsi. W głowie miała tylko swój plan.

W kuchni u Wonga czekała sympatyczna dziewczyna. Despotyczny David Rodney wydawał się przynajmniej dotrzymywać obietnic.

Tim miał wprawdzie zastrzeżenia, lecz Sybil zapewniła go, że po jego popołudniowej drzemce znów będzie na miejscu. Poza tym musiała mu obiecać, że późnym popołudniem będzie się z nim znowu bawić w „tresurę konika”.

W swoim pokoju Sybil włożyła dzinsy i wygodne buty. Była właściwa pora, żeby wymknąć się z domu. David Rodney był jeszcze na plaży.

Sybil była jedyną osobą na szosie — jak okiem sięgnąć, żywej duszy. W południowy skwar każdy zostawał w domu.

Nie wzięła pod uwagę, jak mocno słońce praży z nieba w godzinach południowych. Nie miała kapelusza, a słońce paliło jej ramiona, jako że założyła tylko top na wąskich ramiączkach.

Droga była bardzo zakurzona. Każdy krok przychodził Sybil z trudnością. Za każdym razem, kiedy słyszała auto, chowała się za najbliższym krzakiem, ponieważ obawiała się, że może to być wóz jej szefa.

Kiedy dotarła do małej wioski, była cała spocona i zakurzona. Ze zdenerwowania robiło jej się mdło.

Podeszła do sklepiku, w którym już kiedyś robiła zakupy. Tam zapytała o jakiś telefon publiczny. Niełatwo było zrozumieć tubylców, ponieważ mówili z silnym akcentem. W końcu jednak wytłumaczono jej, że musi Pójść do małego urzędu pocztowego.

Sybil straciła już odwagę, kiedy pomyślała, jak trudno będzie otrzymać właściwe połączenie z powodu trudności językowych. Miała nadzieję, że uda jej się porozmawiać z Frankiem.

Przebiegła skąpany w słonecznym żarze plac i w cieniu palm ruszyła drogą wzdłuż portu. W pobliżu biur kapitanatu portu miała być poczta.



Mam nadzieję, że nie widzi mnie kapitan portu pomyślała. W tej chwili pragnęła mieć kapelusz z szerokim rondem, pod którym nie można by rozpoznać jej twarzy. W końcu doszła do małego, otynkowanego na różowo budynku. Na drzwiach widniał napis: „Post Office”. Urzędniczka, korpulentna Murzynka, była bardzo uprzejma.

— Tak, może pani zadzwonić do Nassau, ale w tym celu musi pani mieć pieniądze będące w obiegu na Bahama — powiedziała.

Amerykańskich pieniędzy Sybil urzędniczka nie mogła wymienić, a bank był jeszcze zamknięty do drugiej.

Sybil potarła skronie. Łzy napłynęły jej do oczu i potwornie bolała ją głowa. W końcu usiadła na ławeczce. Zegar w małej sali kasowej pokazywał wpół do drugiej.

Stracę pół godziny. Wcale nie tak źle. Pomimo to zdążę na czas do domu, zastanawiała się.

Pół godziny wydawało jej się wiecznością.

Tuż przed drugą poszła do banku i wymieniła pieniądze, po czym popędziła z powrotem na pocztę.

Urzędniczka pokazała jej, jak wybrać numer Nassau. Drżącymi palcami Sybil wsunęła monety do otworu. Zapytała o numer Franka MacIntyre.

— Proszę mówić głośniej. Nie słyszę pani. Głos telefonistki był obrażony.

Sybil zaczęła od nowa:

— Chciałabym się dowiedzieć numer telefonu pana Franka MacIntyre. — Przeliterowała nazwisko. — Mogłaby mnie pani z nim połączyć?

Czekając na połączenie Sybil oparła się o ścianę. Po chwili głos powiedział:

— Łączę.

Sybil usłyszała sygnał.

— Odbierz, Frank, odbierz — szepnęła rozpaczliwie.

— Halo? — odezwał się dziecięcy głos na drugim końcu linii.

— Czy to mieszkanie pana Franka MacIntyre? — spytała zmieszana Sybil. — Chciałabym rozmawiać z panem Frankiem MacIntyre.

Jeśli wypowie jego nazwisko wystarczającą ilość razy, Frank będzie przecież musiał podejść do telefonu! Brzmiało to jak jakieś zaklęcie!

— Tak, ale taty nie ma w domu — odpowiedziało dziecko. Sybil uchwyciła mocniej słuchawkę telefonu. — Chciałaby pani porozmawiać z moją mamą?

— Tak, tak... proszę — wy bąkała Sybil.

W chwilę potem rozległ się sympatyczny głos młodej kobiety.

— Halo, w czym mogę pani pomóc?

Sybil musiała mieć pewność. Siłą nadała swemu głosowi całkiem spokojne brzmienie.

— Czy dobrze mnie połączono z panem Frankiem MacIntyre, architektem ogrodów, który pracował na Eleutherze dla mr. Rodneya?

— Tak, dobrze panią połączono. To mój mąż. Przepraszam, a kto mówi?

— Sekretarka mr. Rodneya i... — Sybil spowodowała odgłos, który, miała nadzieję, że zabrzmiał jak zakłócenie na linii. Następnie zostawiła słuchawkę dyndającą na sznurze i w popłochu opuściła małe pomieszczenie.

Słońce paliło dalej, lecz Sybil skapana była w zimnym pocie i drżała na całym ciele. Ledwie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

Dziecko Franka, jego żona! Ależ była głupia! Sądziła, że jest dla Franka jedyną kobietą, kobietą, którą on kocha!

Powlokła się z powrotem, zadając sobie po drodze pytanie, czy kiedykolwiek dotrze do domu. Kiedy przechodziła przez patio, nie spotkała nikogo. Ale w jej obecnym nastroju było to jej zresztą zupełnie obojętne. Położyła się na łóżku, wcisnęła twarz w poduszkę i leżała jak ogłuszona.

Kiedy wpadł do pokoju Tim i oświadczył, że pora bawić się w konika, Sybil spojrzała tylko na niego bez słowa. Miała wrażenie, jakby była całkowicie sparaliżowana. Poprosiła Tima, żeby poszedł po Wonga. Mały Chińczyk spostrzegł od razu, że coś jej dolega.

— Pani chola, missee Sillee? Sybil przytaknęła skinieniem głowy.

— Bardzo mi przykro, Wong, ale czy pan albo pańska żona, lub ktoś inny mógłby uważać na Tima dziś wieczór? Nie czuję się dobrze.

— Sam mogę na siebie uważać, miss Morgan — oświadczył śmiało Tim.

Wong uśmiechnął się i wziął go za rękę. Tim poszedł z nim bez szemrania. Wong obiecał mu, że razem będą piec ciasteczka. Sybil opadła z powrotem na łóżko. Miała uczucie, jakby była wypalona i pusta w środku. Powoli zapadła w lekki, niespokojny sen.

Kiedy się przebudziła i w połowie jeszcze odurzona snem spróbowała wstać, wdepnęła nogą w tacę z herbatą i grzanką i przewróciła wszystko na podłogę. Poczciwy Wong musiał postawić tacę, kiedy spała.

Sybil miała uczucie, że się w pokoju udusi. Uciekła na zewnątrz i zaczęła chodzić przed swoim pokojem tam i z powrotem.

Noc była ciemna. Tylko od czasu do czasu zza chmur wyglądał księżyc.

Popatrzyła w stronę domku gościnnego, którego czarny kontur wznosił się na tle nocnego nieba. Na wpół oślepiła od łez popędziła wąską ścieżką w dół na plażę. Tam rzuciła się na chłodny piasek i płakała aż do zupełnego wyczerpania.

Jakże byłam głupia. Czyniła sobie najcięższe wyrzuty. Nigdy już nie uwierzę mężczyźnie, nawet jednemu słowu, nigdy, przenigdy!

Frank postąpił bardzo nie fair, okłamywał ją i wodził za nos! A ona wierzyła, że jest w niej zakochany i ma względem niej uczciwe zamiary.

Ale kto miałby mnie kochać? Jestem nieciekawą dziewczyną. Nos mam za krótki i za bardzo skręcone włosy.

Słońce tak mocno opaliło jej skórę, że wyglądała na jasnowłosą Cygankę. Tymi właśnie myślami zadreżczała się Sybil w ciągu następnej półgodziny.

Wiedziała, że dała się nabrać na dobrą prezencję i czar Franka.

Nagle przysła jej do głowy pewna myśl.

A może David Rodney wiedział, że Frank jest żonaty? \_ Może dlatego go odprawił i nie chciał jej tego wyjaśnić, że domyślał się, jak by się wówczas czuła? Nie, to wydawało się jednak nieprawdopodobne. O wiele logiczniejsze wyjaśnienie było takie, że Frank zaczął się dobrać do pięknej Lei. Albo że David Rodney słyszał ich rozmowę przy basenie.

Ale czy odgrywało to jeszcze jakąkolwiek rolę?

Zachowała się bardzo głupio i otrzymała nauczkę. Sybil postanowiła zakończyć swą pracę tutaj możliwie jak najszybciej i wrócić do Nowego Jorku.

Moja wycieczka w inne życie nie była raczej oszałamiającym sukcesem, powiedziała sobie. Tak się dzieje, kiedy człowiek wierzy w bajki.

Chcąc, nie chcąc będzie musiała się z tym pogodzić. Musi wrócić do świata Billy'ego, ryzykując, że ten ją wyśmieje.

W końcu Sybil wzięła się w garść i wstała. Czuła się podle. Kiedy się rozejrzała dokoła, stwierdziła, że również tej ciemnej nocy piasek jest zupełnie jasny. Fenomen ten odwrócił jej uwagę od aktualnych zmartwień. Pomimo rozczarowań, jakie przeżyła tu, na Eleutherze, zawsze zachowa w dobrej pamięci rajski urok tej wyspy.

## Rozdział 7

Następne dni były dla Sybil bardzo ciężkie. Nie potrafiłaby powiedzieć, co bardziej ją gnębiło: "kłamstwa Franka czy fakt, że mu tak ślepo wierzyła. Czasami roztkliwiała się nad sobą, po czym znowu zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby odplącić Frankowi za jego podłość.

Ciężko jej przychodziło poranne wstawanie, a dni wlokły się w nieskończoność. Była pozbawiona energii i jedynie z trudem wykonywała swoją pracę.

Teżniała za tym, żeby móc z kimś porozmawiać. Ale z kim? Wong prawie nie mówił po angielsku. Tim był jeszcze za mały, a o Davidzie Rodneyu i miss Ambrose szkoda było nawet myśleć.

Sybil starała się w miarę możliwości ukrywać swoje uczucia. Gdyby jednak ktoś uznał, że zrobiła się bardzo cicha, przypisałby to z pewnością jej krótkiej chorobie. Przypuszczano, że była to choroba pochodzenia wirusowego. Miss Ambrose odstawiła wielki show i chciała zabronić Timowi zbliżania się do Sybil, żeby się nie zaraził. Kiedy jednak Rodney zaproponował, żeby sama zajmowała się swym dzieckiem, natychmiast była przekonana, że wirus z pewnością nie jest groźny. Ponieważ Sybil ciągle czuła się zmęczona, nie miała za bardzo ochoty na jakieś przedsięwzięcia. Wszystkie dni przebiegały tak samo. Rano bawiła się z Timem, po lunchu kładła się do łóżka, a o czwartej chłopiec budził ją znowu. Potem szła z nim na basen, gdzie pozostawali do kolacji.

W piątek rano Wong przekazał jej, że David Rodney oczekuje jej w swoim gabinecie. Po raz pierwszy nie miała owego dziwnego uczucia, jakie towarzyszyło jej podczas rozmów z szefem. Było jej dosyć obojętne, co się stanie.

Rodney siedział jak zwykle przy swoim biurku. Sybil spostrzegła, że karaibskie słońce zdążyło go już opalić. Jego ciemne oczy robiły jeszcze większe wrażenie niż zazwyczaj.

Nic dziwnego, że tak dobrze wygląda, pomyślała Sybil z przynębieniem, poza tym jest przecież zakochany. Jest szczęśliwy. Usiadła, kiedy wskazał jej krzesło, i zadała sobie pytanie, czego David Rodney może od niej chcieć.

— Miss Morgan, zauważyłem, że od czasu choroby wygląda pani na bardzo zmęczoną.

Sybil była zaskoczona, że rzuciło mu się to w oczy.

— Może dobrze by pani zrobiła jakaś mała odmiana. Spędzanie całych dni z ośmioletnim dzieckiem nie jest z pewnością zbyt podniecające. Niestety w sąsiedztwie nie ma młodych ludzi w pani wieku...

Sybil zdziwiła się, że potrafi być tak domyślny. Nigdy dotąd nie odniosła wrażenia, że mogą go interesować jej uczucia i problemy. W końcu David Rodney był bardzo zajęтым człowiekiem. Z Eleuthery musiał też kontrolować zarządzanie swoimi zakładami. A w czasie wolnym miał dość zajęć zabawiając miss Ambrose.

Kiedy Sybil nie odpowiedziała, David Rodney mówił dalej:

— Na weekend spodziewam się pewnego francuskiego przyjaciela, z którym łączą mnie interesy. Będę z panią szczerzy i wyznam, że leży mi na sercu nie tylko pani dobro. Pomyślałem sobie, że monsieur Givreyowi byłoby bardzo miło mieć za sąsiadkę przy stole piękną młodą damę. Byłyby nas wtedy przy kolacji trzy pary. Będą też nasi sąsiedzi, Whitneyowie.

Jego propozycja zdziwiła Sybil, wcale zresztą nie była nią zachwycona. Ale David Rodney miał taki stanowczy sposób mówienia, że odrzucenie jej wydawało się prawie niemożliwe. Wyglądało na to, że bardzo mu zależy na jej obecności. Nie miała nic do stracenia, więc mogła wyświadczyć szefowi tę przysługę.

— Chętnie przyjdę, mister Rodney, jeśli mogę w ten sposób wyświadczyć panu przysługę — powiedziała.

W jego obecności zawsze była nieśmiała" i zmieszana. — Nie sądzi pan, że miss Ambrose będzie miała coś przeciwko temu, że zaprasza pan na kolację swoją sekretarkę?

Sybil nie mogła się powstrzymać, musiała zgłosić tę wątpliwość. David Rodney wydawał się zirytowany, że wspomniała o Lei Ambrose.

— To nie jest sprawa miss Ambrose! Rad byłbym, gdyby pani przyszła. Spotkamy się o ósmej na aperitif na tarasie. Proszę zadbać o to, żeby dziewczyna została z Timem przez cały wieczór. To byłoby wszystko, miss Morgan.

Czysto służbowo, jak zawsze, pomyślała Sybil.

Idąc już do drzwi, przypomniała sobie coś strasznego. Nie ma się w co ubrać! Jej jedyna suknia wieczorowa z brzydką brązową plamą wisiała w szafie! Jak symbol mojej przygody z Frankiem, pomyślała ze złością.

Odwróciła się i spojrzała w kierunku Davida Rodneya, który z powrotem zajął się już swoją pracą.

— Mister Rodney, wiem, że to zabrzmie śmiesznie, ale dziś wieczór nie mogę niestety przyjść na kolację, ponieważ nie mam stosownego stroju.

Poczuła, jak czerwienieje, i zrobiło jej się okropnie głupio.

— Przywiozłam sobie suknię wieczorową, ale pechowo wylałam na nią drinka, i teraz jest na niej plama. Bardzo... bardzo mi przykro — wyjąkała.

David Rodney na chwilę tylko podniósł wzrok znad swojej pracy.

— Wyślę samolot do Nassau i każę coś przywieźć — powiedział. — Oczekuję pani, jak się umówiliśmy o ósmej.

Sybil opuściła pokój. Teraz to już jego problem, nie mój, pomyślała. -

Poszła po Tima. Dzień był bardzo pogodny. Łagodna bryza poruszała wierzchołkami drzew i chłodziła jej rozpaloną twarz. Kilka razy odetchnęła głęboko. Dziś świat wyglądał znowu w jaśniejszych barwach. Życie jest jednak piękne i cudowne! Radośnie roześmiała się. Tim wziął ją za rękę i zawtórował jej.

— Naprawdę bardzo się cieszę, że znowu się uśmiechasz! — zawołał i popatrzył na nią promiennym wzrokiem.

Sybil pochyliła się i przytuliła chłopca do siebie.

Wśród jego zabawek odkryła nie używane jeszcze przybory do malowania. Wzięli ze sobą na plażę kasetę z farbami oraz duże kartki papieru rysunkowego i całe przedpołudnie spędzili na malowaniu obrazów.

Sybil uznała, że obrazy Tima są całkiem ładne i kolorowe. Jej własne podobały jej się znacznie mniej, więc je podarła.

Kartki Tima zwinęła starannie w rulon. Może przyniosą mu pochwałę jego matki. Która matka nie dałaby się chętnie przekonać, że w jej dziecku siedzi mały geniusz?

Sybil wzięła tacę ze swoim lunchem na trawnik. Chciała się poopalać, gdyż uznała, że przydałoby się trochę odświeżyć cerę. Wieczorem chciała wyglądać możliwie jak najlepiej. W ciepłym słońcu odurzenie ostatnich dni zdawało się mijać raz na zawsze.

Kiedy wstała, żeby pójść do swojego pokoju, czuła się bardzo dobrze. Położyła się na łóżku.

Wong zbudził ją, zapukawszy cicho do jej drzwi, przyniósł duże pudło, w jakie pakuje się ubrania.

— Stokrotne dzięki, Wong! — zawołała Sybil, jakby to on zrobił jej prezent. Mały Chińczyk uśmiechał się od ucha do ucha, kiedy wychodził z jej pokoju.

Po wyglądzie pudła można było poznać, że pochodzi ono z bardzo drogiego sklepu.

Obdarowała mnie jakąś dobrą wróżką, pomyślała Sybil. Wystarczy, że kiwnę palcem, a już Kopciuszek zamieni się w księżniczkę.

Po chwili przywołała się jednak do porządku. Postanowiła pożegnać się ze swymi romantycznymi marzeniami, które przyniosły jej już dość kłopotów. Nie chciała dłużej okłamywać samej siebie.

Rodney zamówił dla niej tę kreację, żeby nie skompromitowała go przed jego gośćmi. Zaprosił ją, bo nie miał akurat do dyspozycji nikogo innego. Nie chciała sobie robić żadnych złudzeń, pragnęła widzieć rzeczy takimi, jakie są.

Kiedy jednak otwierała pudło, nie obeszło się bez radosnego oczekiwania. Ostrożnie wyjęła ze środka kilka warstw białego cienkiego papieru, aż wreszcie ukazała się biała suknia z miękkiego, lejącego się jedwabnego dżerseju.

Sybil rozłożyła suknię. Miała duży dekolt, szerokie rękawy kończyły się tuż nad łokciami. Suknia przewiązana była w talii cienkim złotym paskiem, który zasłaniała lekko zbluzowana część górna. Długa spódnica była całkiem prosta.

Sybil nigdy jeszcze nie miała na sobie tak eleganckiej sukni. Z pewnością była bardzo droga. Przyłożyła ją do ciała, po czym powiesiła na wieszaku.

Wyglądało jednak na to, że w pudle jest coś więcej, gdyż przez cienki papier coś jeszcze prześwitywało. Sybil odwinęła papier i w chwilę później trzymała w rękach drugą suknię. Barwę zasadniczą stanowił delikatny lawendowy błękit, na którym nadrukowane były białe i popielate kwiaty. Również druga suknia była głęboko wycięta i miała rękawy ? la nietoperz. Talię podkreślała fioletowa aksamitna szarfa.

— Ależ to piękne! — rzekła z zachwytem Sybil. Cieszyła się już na wieczorne przyjęcie.

Do pokoju wpadł Tim, ubrany w spodenki kąpielowe.

— Chodź, Sybil! Kto będzie pierwszy przy basenie!

Roześmiała się. Szybko przebrała się w strój kąpielowy i popędziła za nim. Pozwoliła Timowi, żeby wskoczył pierwszy do wody. Kiedy jednak wynurzył się i spojrzał na nią triumfująco, opryskała go.

Po prawie godzinnym szaleństwie w wodzie Sybil zażądała, żeby zrobili przerwę. Nagle zjawił się Wong, blady i zupełnie roztrzęsiony.

— Missee przyjsć, natychmiast. Mistel Lodney powiedziec natychmiast!

Pierwszą jej myślą było, że Tim wymyślił znowu jakiś złośliwy figiel. Spojrzała na malca surowo i zapytała go, co znowu zmajstrował. Ale' Tim popatrzył na nią niewinnym wzrokiem i zapewnił, że po obiedzie od razu zasnął.



Sybil owinęła chłopca dużym frotowym ręcznikiem i założyła swój płaszcz kąpielowy. Sądząc po głosie Wonga, największy pośpiech wydawał się wskazywany.

Kiedy weszła do dużego salonu, spostrzegła, że David Rodney i miss Ambrose stoją przy jednym ze stołów. Oczy Rodneya błyszczały z wściekłości. Całe jego ciało wydawało się napięte. Miss Ambrose, chłodna jak lód, popatrzyła na Sybil z wyrzutem.

— Miss Morgan. — Rodney aż zakrztusił się. — Miss Morgan, te orchidee!

Spojrzenie Sybil powędrowało za gwałtownym ruchem jego ręki. Na stole stał kryształowy płaski wazon, w którym ułożono około dziesięciu orchidei w różnych kolorach.

Sybil była zupełnie zmieszana. Nie rozumiała, co to wszystko ma znaczyć. Panowało przygnębiające milczenie.

— Są prześliczne — zaczęła, bo nie wiedziała, co poza tym miałyby powiedzieć.

— Prześliczne? — wybuchnął David Rodney. — Mój Boże! Prześliczne! Miss Morgan, te kwiaty są prześliczne tak długo, jak długo rosną w moim patio, które kazałem zaprojektować specjalnie do hodowli tych rzadkich gatunków. Te orchidee to prezent od pewnego przyjaciela. Przewieziono je tutaj z Anglii na pokładzie specjalnie w tym celu wycarterowanego samolotu. Doprowadzenie tych roślin do kwitnienia zajęło osiem lat. Osiem lat, miss Morgan! Te orchidee mają dla mnie nieocenioną wartość. Rozumie pani to? A pani uznała za stosowne, jak powiedziała mi miss Ambrose, ściąć te kwiaty, żeby stały dziś wieczór na stole podczas kolacji!

Krzyczał coraz głośniejsze, a w końcu zaczął ryczeć jak byk. Sybil czuła się jak uderzona obuchem w głowę.

Właśnie chciała wyjaśnić, że nie tknęła orchidei, gdy wtrąciła się miss Ambrose.

— Naprawdę nie wiedziałam, co powiedzieć, kiedy zobaczyłam, jak układa pani kwiaty — zwróciła się bezpośrednio do Sybil. — Z początku uznałam, że lepiej będzie nie mówić o tym Davidowi. Ale kiedy wszedł do pokoju, sądził, że to ja je ścięłam. Przywołał mnie i zaczął obwiniać. Całkowicie niesłusznie, jeśli wolno mi zauważyć, darling.

Zrobiła przerwę i położyła rękę na jego ramieniu.

— Jakbym mogła uczynić coś takiego. Wiem przecież, jak wiele znaczą dla ciebie te kwiaty. Robienie mi takich wyrzutów jest dla mnie bardzo krzywdzące! — Lea przybrała minę męczennicy.

Sybil zupełnie oniemiała. W jej głowie kotłowały się myśli.



Jeśli teraz zaprzeczy, że ścięła kwiaty, czy David Rodney uwierzy jej, czy swojej narzeczonej?

W każdym razie postawiłoby go to w trudnej sytuacji. A jak ona, Sybil, mogłaby udowodnić, że nie ścięła orchidei?

Tak czy owak nie miała już nic do stracenia. Dlaczego miałyby brać karę na siebie, żeby rozpieszczonej Lei znowu się upiekło? Lea dostawała wszystko, co chciała mieć, włącznie z bogatym i przystojnym Davidem Rodneyem.

Gdyby Sybil nie była tak przygnębiona, z pewnością broniłaby się ze wszystkich sił. Teraz jednak jej wola osłabła.

Tim zaczął głośno płakać. Podbiegł do Sybil i rzucił jej się w ramiona.

— Nie waż się jej bić! — powiedział zaczepnie do Rodneya.

Sybil wyzwoliła się łagodnie z objęć Tima, pogłaskała go po włosach i paskiem swego płaszcza kąpielowego otarła mu łzy.

— Ależ nie — pocieszyła go — mister Rodney mnie nie zbije.

Popatrzyła na bladego Davida Rodneya. Było jej przykro, że strata orchidei dotknęła go tak boleśnie.

— Nie wiedziałam, mister Rodney, że te orchidee są takie cenne.

Nic więcej nie powiedziała, gdyż przyznanie się, że ścięła kwiaty, wydało się jej mimo wszystko przesadą. Ale gdyby oświadczyła, że to nie była ona, przedstawiłaby miss Ambrose jako oszustkę. A tego również nie chciała.

Łagodny głos Sybil uspokoił nieco Davida Rodneya. Spojrzał na nią ponuro i nieprzystępnie. Ale podobnie złośliwym spojrzeniem obdarzył także swoją narzeczoną. Następnie odwrócił się i opuścił pomieszczenie.

Lea Ambrose zmierzyła Sybil szyderczym spojrzeniem od stóp do głów, jakby chciała ją sprowokować do jakiejś uwagi. Nie doczekawszy się, wzruszyła ramionami i podążyła za Rodneyem.

Sybil wzięła Tima za rękę i zaprowadziła go do jego pokoju, żeby go wykapać i przebrać na noc. Później poszła z nim do Wonga, który dał mu kolację.

Kiedy potem znalazła się sama w swym pokoju, rzuciła się na łóżko. Była dosyć przybita i zadawała sobie pytanie, co teraz będzie z wieczornym przyjęciem. Czy David Rodney oczekuje jeszcze, że zjawi się na kolacji? Gdyby poszła, jej obecność z pewnością nie przyczyniłaby się do udanego wieczoru.

Ze smutkiem przyglądała się obydwu pięknym sukniom wiszącym na drzwiach szafy. Przestały ją już cieszyć. Leżała dalek czekając, że Wong w

każdej chwili może zapukać do drzwi i przekazać jej, że David Rodney rezygnuje z jej obecności podczas kolacji.

Nic się jednak nie działo. Tymczasem zrobiło się wpół do ósmej, a Wong się nie zjawił.

Wtedy Sybil postanowiła przebrać się do kolacji. Nie wiedziała, co bardziej rozgniewałoby Rodneya: jej widok czy jej nieobecność!

Sybil wzięła prysznic i wytarła włosy do sucha ręcznikiem kąpielowym. Włosy zwijały się w kędziory wokół jej twarzy. Właściwie chciała je wysuszyć i wyprostować suszarką, ale teraz uznała, że nie warto się trudzić. David

Rodney był wściekły na nią, a poza tym tak czy owak to Lea będzie główną ozdobą wieczoru, bez względu na to, co ona włoży lub jak będzie wyglądać.

Sybil zdecydowała się na białą suknię. Drogi materiał wdzięcznie przylegał do jej szczupłego ciała. Białe sandały świetnie pasowały do sukni, i Sybil była zadowolona, że je kupiła. Wyglądała naprawdę elegancko.

Brakowało tylko jeszcze pewnego drobiazgu. Ponieważ wycięcie sukni było właściwie głębokie, potrzebowała jakiegoś łańcuszka. Biżuterii jednak nie posiadała, tylko cieniutki łańcuszek, który nosiła na co dzień.

Wtedy przypomniała sobie, że kiedy była z Frankiem wykapać się w morzu, znalazła na plaży piękną białą muszlę. Na pewno dałoby się z niej zrobić wisiorek, gdyż muszla miała u góry małą dziurkę.

Sybil przeciągnęła przez otwór swój złoty łańcuszek. Kiedy przyjrzała się swemu dziełu, mogła je tylko podziwiać. Muszelka odcinała się bardzo efektownie od jej brązowej skóry. Sybil była z siebie zadowolona.

Opuszczając pokój słyszała już dobiegające z tarasu głosy pozostałych.

Zawahała się i przystanęła na chwilę. Znow nasunęły jej się wątpliwości. Zaraz jednak odrzuciła głowę w tył i zdecydowanym krokiem ruszyła dalej. Spróbuje bawić się tego wieczoru jak najlepiej, mimo że czuła się bardzo niepewnie.

Sybil nigdy jeszcze nie była na party tego rodzaju. Wszyscy obecni byli od niej starsi, a w dodatku bogaci i pewni siebie. Niewątpliwie podróżowali już wiele po świecie i będą rozmawiać o rzeczach, o których nie miała pojęcia. O czym bowiem miałyby rozmawiać z mężczyzną, który mieszka w Paryżu?

W tym momencie najchętniej wróciłyby do swego pokoju. Później mogłyby się wykręcić mówiąc Rodneyowi, że nie wiedziała, czy po porannym zająsci użycy sobie jeszcze jej obecności.

Ale czy przyjąłby taką wymówkę? Gdyby zmienił zdanie, na pewno by jej o tym powiedział.

Sybil weszła powoli po stopniach na taras.

Kiedy dotarła na górę, rozmowa się urwała, i spojrzenia obecnych skierowały się na nią. Uświadomiła sobie nagle z przerażeniem, że jej suknia wycięta jest dość głęboko. Widać było częściowo jej kształtne krągłe piersi.

Uśmiechnęła się nerwowo i była bardzo wdzięczna Davidowi Rodneyowi, że podszedł do niej i powitał ją. Wziął jej drżącą rękę w swoją dłoń i zaczął przedstawiać ją gościom.

— Mrs. Whitney, to jest Sybil Morgan. Następnie zwrócił się do sympatycznego niskiego pana

w białym płóciennym garniturze.

— Miss Morgan, pozwoli pani, że przedstawię monsieur Givreya, naszego gościa z Paryża. Miss Ambrose już pani zna.

Lea skinęła tylko bardzo wyniośle głową. Zmierzyła Sybil od stóp do głów. Jej spojrzenie dosłownie mroziło, a uśmiech wydawał się lodowaty.

Mrs. Whitney była wysoką, szczupłą kobietą. Niemal trochę za chudą, pomyślała Sybil. Kości obojczyka zarysowywały się mocno, a skóra usiana była ciemnymi piegami.

Sybil oceniła mrs. Whitney na mniej więcej sześćdziesiąt lat, a jej męża na trochę więcej. Był niższy od swojej żony i sprawiał wrażenie człowieka obdarzonego poczuciem humoru. Jego brzuch przypominał kształtem kulę, a on sam i poza tym był dosyć okrągły.

Sybil wiedziała, że Whitneyowie są najbliższymi sąsiadami. Tuż przy plaży zbudowali sobie małą willę, w miejscu, gdzie kończyła się plaża, a zaczynał las. Za każdym razem, kiedy Sybil przechodziła w pobliżu ich domu, słyszała wesołe głosy gości Whitneyów. Najwidoczniej byli bardzo towarzyscy.

— Moja droga, jak cudownie pani jest opalona! — powiedziała mrs. Whitney do Sybil swoim nieco zbyt donośnym głosem. — Ta opalenizna świetnie pani pasuje, a muszelkę na łańcuszku uważam wprost za zachwycającą! — Popatrzyła na Leę. — Nie sądzi pani, Leo? To bardzo oryginalne, nieprawdaż?

— Uważam, że miss Morgan swoją brązową skórą i kędzierzawymi włosami prędzej przypomina autochtonkę.

Głos Lei brzmiał bardzo pogardliwie.

Ona sama miała na sobie skrojoną w bardzo wymyślny sposób suknię modelową, która uszyta była z czarnego jedwabiu i jedno ramię zostawiała

odsłonięte. Na drugim ramieniu materiał był zebrany i spięty przy pomocy dużej broszki wysadzanej diamentami, turmalinami i nefrytami.

Lea wyglądała na wściekłą i w złym humorze. Jej markotna mina nie pasowała do eleganckiej sukni.

— Nie, Leo, ja tak nie uważam — ciągnęła mrs. Whitney. — Wygląda tak naturalnie i pięknie. Naprawdę świeżo. — Z uśmiechem zwróciła się ponownie do Sybil. — Gdzie pani znalazła tę piękną muszlę?

Sybil nie mogła przeszkodzić temu, że rumieniec oblał jej twarz, kiedy Lea posłała jej zabójcze spojrzenie. Odpowiadając na pytanie mrs. Whitney, zmusiła się jednak do uśmiechu:

— Na plaży.

— Bardzo bym chciała mieć taką muszlę dla mojej wnuczki...

— Znajdę pani jakąś inną, równie piękną — zaofiarowała się natychmiast Sybil.

— To bardzo miłe z pani strony.

Sybil zapomniała o swej początkowej niepewności. Wszyscy byli dla niej bardzo życzliwi — z wyjątkiem Lei. Ale nie zamierzała brać tego aż tak poważnie.

Nagle obok niej stanął Wong i zapytał, czego chciałaby się napić. Sybil zamówiła sherry, mając nadzieję, że nie popełniła w ten sposób żadnego faux pas.

Kiedy potem przysiadł się do niej monsieur Givrey i prowadził z nią ożywioną rozmowę, Sybil odprężała się coraz bardziej.

Wong zameldował, że kolacja podana. Wtedy Sybil zauważyła po raz pierwszy, że po alkoholu do którego nie była przyzwyczajona, szumi jej lekko w głowie. Postanowiła, że podczas kolacji pić będzie tylko wodę mineralną.

Rozmowa przy stole obracała się wokół polityki. Na cześć gościa mówiono po francusku. Sybil rozumiała tylko część konwersacji.

To dlatego, że w szkole za mało interesowałaś się tym językiem, pomyślała. Wydawała się sobie okropnie głupia i niewykształcona.

Od usilnego przysłuchiwania się rozboleła ją głowa. Kilka razy udało jej się udzielić odpowiedzi na jakieś pytanie. Miała jednak szczęście, że uniknęła blamażu.

Po kolacji David Rodney zaproponował, żeby kawę i drinki wypić w salonie. Sybil trochę niepewnym krokiem przeszła do sąsiedniego pomieszczenia i z ulgą usiadła na obitej jedwabiem miękkiej kanapie obok kominka. W kominku płonął ogień, gdyż noc była chłodna. Monsieur Givrey usiadł obok Sybil, a mr. Whitney zajął miejsce pomiędzy swoją żoną

i Leą na kanapie naprzeciwko. David Rodney chodził niespokojnie tam i z powrotem i obserwował, jak jego narzeczona nalewa ze srebrnego dzbanka kawę do filiżanek.

Sybil podziwiała maleńkie filiżanki. Bała się jednak, że może sobie wylać kawę na suknię.

Znów miała uczucie, że za dużo wypija. Z początku uznała, że jej się przywidziało, kiedy za plecami mrs. Whitney na stebnowane oparcie kanapy wypęzła nagle wielka salamandra. Sybil drżącą ręką odstawiła filiżankę. Co powinna zrobić? Zastanawiała się gorączkowo.

David Rodney z pewnością będzie wiedział, co należy zrobić. Wzrokiem szukającym pomocy popatrzyła na niego. Ale on nie zauważył jej rozpaczliwego spojrzenia, gdyż odwrócił się do pozostałych plecami i nerwowo przestawiał butelki na kredensie.

Brzydkie zwierzątko uniosło głowę, po czym zaczęło wspinać się na plecy mrs. Whitney. Sybil z przerażeniem zamknęła oczy i wcisnęła się mocniej w kąt kanapy. Po chwili usłyszała przenikliwy okrzyk mrs. Whitney.

W następnym momencie dłoń Davida Rodneya zacisnęła się na jej przegubie jak żelazna klamra.

— Miss Morgan, chciałbym z panią porozmawiać. Zanim Sybil zorientowała się, co się z nią dzieje, nie zwalniając uścisku pociągnął ją za sobą na taras.

Świeże nocne powietrze ochłodziło jej twarz, a w głowie na powrót trochę się jej rozjaśniło.

Rodney obrócił ją do siebie, tak że musiała patrzeć na niego lub wpatrywać się w jego koszulę. W dalszym ciągu trzymał jej przegub w żelaznym uścisku. Stali tak blisko siebie, że ich ciała dotykały się.

— Miss Morgan, jest pani odpowiedzialna za to dziecko! To był jeden z kawałów Tima! Ten chłopiec to mały diabeł.

Sybil odetchnęła głęboko, żeby stłumić swą wściekłość.

— Nie, to nie on. Tim jest tylko małym chłopcem, który potrzebuje miłości i zainteresowania. Może to on wpuścił salamandrę do pokoju, ale możliwe też, że zwierzę wpełzło tam samo. Jest ich tutaj tyle, że czasem jakieś może wejść do domu. Poza tym nie może mnie pan winić o wszystko. Wydaje mi się, że potrzebuje mnie pan tylko po to, żeby mieć na kim wyładować swoją złość.

Uścisk jego palców stał się mocniejszy. Sybil wiedziała, że jej postawa stanowi dla niego wyzwanie, gdyż do sprzeciwu David Rodney nie był przyzwyczajony. Jego brwi ściągnęły się, a oczy zamieniły w wąskie

szparki. Wpatrywał się w Sybil, a ona nie mogła uciec od jego spojrzenia. Ogarnęło ją uczucie słabości. Nie mogła się poruszyć i zresztą nie chciała.

— Lepiej niech pani pójdzie do swojego pokoju. Usprawiedliwię panią przed innymi.

Puścił jej rękę, lecz w dalszym ciągu uporczywie patrzył na nią. Sybil stała nieporuszona. W końcu odwróciła się i ruszyła wolnym krokiem przez taras w kierunku schodów, które prowadziły na dół.

Kiedy obejrzała się za siebie, on w dalszym ciągu stał i patrzył za nią.

Zauważyła, jak krew oblewa jej policzki. Serce zaczęło jej nagle bić jak szalone. Na szczęście David Rodney nie mógł widzieć jej zmieszania.

W swoim pokoju natychmiast zdjęła piękną suknię i powiesiła ją na wieszaku. Czuła się potwornie kiepsko i ubrana tylko w białą koronkową bieliznę wślizgnęła się do łóżka.

W jej głowie panował jeden wielki chaos: — A przeczuwałam, że ten wieczór tak się skończy!

Z pewnością David Rodney był teraz na nią wściekły. Ale nie potrafiła się powstrzymać, musiała mu się sprzeciwić. Zrzucanie na nią winy za wszystko uważała za podłość!

Przyjęła zaproszenie, bo chciała mu wyświadczyć Przysługę. A teraz wszystko potoczyło się zupełnie na opak.

Sybil leżała z otwartymi oczami i wpatrywała się w ciemność. Było coś, co niepokoiło ją znacznie bardziej niż cała awantura.

Kiedy David Rodney chwycił ją za rękę, poczuła się nagle bardzo dziwnie. Owo uczucie przeniknęło całe jej ciało niby łaskotanie. Tak, całe jej ciało zareagowało na to dotknięcie!

Dlaczego? Nie potrafiła pojąć. Ale skłamałaby, gdyby teraz próbowała sobie wmówić, że nie było to nieprawdopodobnie podniecające.

Czy David Rodney przeżył coś podobnego? Nie, przypuszczać coś takiego byłoby głupotą. On kocha piękną, rasową Leę. Jak wobec tego mógłby marnować choćby jedną myśl na inną kobietę?

Fantazjujesz, Sybil! — powiedziała sobie. Co się ze mną dzieje?

Czyżby się zakochała? W mężczyźnie, z którym dotąd zawsze się tylko kłóciła? To przecież niemożliwe!

A mimo to musiała przyznać, że coś się stało. Była na najlepszej drodze, by stracić głowę dla mężczyzny, który był dla niej nieosiągalny!

Postradałaś rozum, Sybil Morgan, czyniła sobie wyrzuty. Ten człowiek jest rzutkim milionerem, dzieli go od ciebie przepaść. Najwyższy czas, żebyś zmądrzała, mówiła sobie Sybil, Najpierw Frank, a teraz na dodatek David Rodney!

Tak była poruszona, że przez całą noc przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Myśli w jej głowie kręciły się jak koło młyńskie, o śnie nie było nawet co myśleć.

Czy wielki zawód, jaki jej sprawił Frank, winien był temu, że nagle pokochała Davida Rodneya?

Nie, nie! Nic do niego nie czuję! To nieznośny) arogancki facet! Tylko dlatego jej głupie serce nie chciało w to wierzyć?

Kiedy następnego ranka wstała z łóżka, czuła się zupełnie rozbita. Nie przespała nawet minuty.

Sybil przysłała akurat z Timem do kuchni, gdy David Rodney rozkazał przyprowadzić chłopca do jego gabinetu.

Wong poszedł z Timem, a tymczasem Sybil na nich czekała. Po powrocie Tim miał bardzo skruszoną minę. To on był sprawcą, salamandra obciążała jego konto.

Za karę chłopiec miał spędzić przedpołudnie sam w swoim pokoju.

Sybil nie skrzyczała go. A po odprowadzeniu Tima do pokoju obiecała mu, że po południu pójdzie z nim popływać.

Z szafy Tima wyciągnęła nowiuteńką układankę.

— Zajmij się tym, wtedy przedpołudnie upłynie ci bardzo szybko — zaproponowała.

Kiedy wróciła do kuchni, Wong przekazał jej, że David Rodney właśnie go prosił, by powiedział jej, że monsieur Givrey zabierze ją zaraz na małą przejażdżkę po wyspie.

Sybil ucieszyła się z tego. Poza tym powinno jej dobrze zrobić, jeśli na jakiś czas ucieknie od tego domu i od niepokojących ją myśli.

Najpierw pojechali do Whitneyów, żeby obejrzeć ich dom, który zrobił na nich duże wrażenie. Trasa przejażdżki zaprowadziła ich potem na wspaniałe plaże i do jednego z najbardziej luksusowych hoteli na wyspie, gdzie zjedli lunch.

Monsieur Givrey poprosił Sybil, żeby zwracała się do niego po imieniu. Miał na imię Gerard i był otwartym człowiekiem obdarzonym poczuciem humoru. Jego wesołość podziałała na nią zaraźliwie. Zapomniała o swoim zmartwieniu i śmiała się z jego żartów. Poza tym obsypywał komplementami jej piękne oczy i włosy.

Sybil opowiedziała mu o swawolnych psotach Tima, co z kolei jego pobudziło do śmiechu. Dzięki temu odzyskała trochę wiarę we własne siły.

Opowiedziała nawet Gerardowi o swoich problemach z Davidem Rodneyem, nie zdradzając się jednak przy tym z własnymi uczuciami.



— Czasami trochę się go boję, bo jest taki porywczy i czyni mnie odpowiedzialną za wybryki Tima.

O historii z orchideami nie wspomniała jednak nawet słowem, mimo że bardzo chętnie zwierzyłyby się z tego. Niesprawiedliwość ta piekła ją w sercu niczym wypalone piętno. Była jednak pewna, iż Gerard porozmawiałby o tej sprawie z Rodneyem, a to byłoby jej równie niemiłe jak bezpośrednie oskarżenie Lei. Jej słowo stanęłoby wówczas przeciwko słowu Lei, i Gerard zostałby wciągnięty w całą sprawę.

W drodze powrotnej Sybil powiedziała, że nie weźmie udziału w kolacji.

— Mon dieu, ma chéri. Bardzo na to liczę — rzekł Gerard.

— Nie. Sądzę, że mister Rodney bardzo jest zły z powodu tej historii z salamandrą. Poza tym nic nie mówił, że mam przyjść dzisiaj na kolację.

— O ile mi wiadomo, dziś wieczorem wybieramy się na tańce do Potlatch Clubu. Potrzebna mi więc będzie partnerka. Będę obstawał przy tym, żeby pojechała pani z nami.

Sybil zaczerwieniła się na myśl o Potlatch Clubie. Przypomniała sobie Franka. Wciąż jeszcze nie przeboleła tego, że wierzyła mu bez zastrzeżeń, że była wobec niego taka szczerą i ufna. Czy rozpoznano by ją tam?

— Nie, Gerardzie, proszę nie rozmawiać o tym z mister Rodneyem! Byłoby dla mnie bardzo krępujące, gdybym została zaproszona tylko dlatego, że pan o to prosił.

Jestem pewna, że mister Rodney byłby zadowolony, gdyby nie musiał mnie już oglądać. Najlepiej, gdybym wróciła teraz do Nowego Jorku, a ktoś inny zajął się ostatnią dostawą, która jeszcze nie nadeszła. Na bonę do dzieci tak czy owak się nie nadaje. Sybil była bliska łez.

— Non, ma chérie. Czy to ma być podziękowanie za naszą wycieczkę? Kto by tak od razu rezygnował? Nie ma pani żadnego powodu. Jest pani młoda i piękna, a to zajęcie tutaj to praktycznie pani pierwsza praca. Mademoiselle, nie wspomnę o tym słowem Dâvidowi, jeśli nie życzy sobie pani tego. Ale powinna pani o wiele optymistyczniej patrzeć na świat. Czarne myśli tylko szkodzą.

Sybil musiała się uśmiechnąć. Ale jej uśmiech był nieco wymuszony. Co Gerard wiedział o jej smutnych myślach i o jej zmartwieniu?

Kiedy dotarli do domu, Sybil podziękowała Gerardowi za piękny dzień. Jego dobry humor dodał jej odwagi. Przecinając patio, spiesznie rzuciła okiem na ciemnozielone rośliny, na których brakowało orchidei. Ale przecież odrosną i znów zakwitną.

Czy katastrofa rzeczywiście była taka wielka, jak ją przedstawił David Rodney? Kiedy pomyślała o jego rozgniewanej twarzy, jej dobry nastrój



minął bezpowrotnie. Rodney już nigdy nie będzie jej respektował ani nie doceni jej zdolności. Niczego więcej, gdy idzie o uczucia, tak czy owak nie mogła się po nim spodziewać. Miała wrażenie, że nigdy jeszcze nie była w tak nieznośnej sytuacji.

W swoim pokoju znalazła wiadomość napisaną na delikatnym żółtym papierze z monogramem Lei. Lea przepraszała za niegrzeczne zachowanie Tima i prosiła Sybil, by wieczorem z resztą towarzystwa wybrała się do Potlatch Clubu.

Przekonanie jej do tego musiało kosztować mnóstwo trudu, pomyślała Sybil. Ale nie było powodu odrzucać zaproszenia.

Gerard się ucieszy, a po tym, jak był dla niej taki miły, Sybil chciała mu wyświadczyć tę grzeczność. Lea poprosiła o wybaczenie, i z pewnością lepiej było nie irytować na nowo Davida Rodneya. Była przekonana, że to on zmusił Leę, żeby posłała jej zaproszenie. Zapewne nie spodobałaby mu się jej odmowa.

Sybil nie chciała przyznać się przed samą sobą, że był jeszcze inny powód, dla którego chętnie przyjęła zaproszenie. Chciała widzieć Davida Rodneya i być w jego pobliżu, nawet jeśli nie będzie na nią zwracał uwagi.

Powierzywszy Tima opiece Rosy, dziewczyny z wioski, Sybil pobiegła do swego pokoju. Chciała mieć dość czasu, by przygotować się i przebrać na czekający ją wieczór.

Długo stała pod prysznicem, po czym natarła ciało lotionem nawilżającym. Tym razem nie żałowała czasu, by wysuszyć dokładnie włosy suszarką, aż opadały łagodnymi falami wokół jej twarzy.

Potrząsnęła przed lustrem błyszczącą grzywą włosów, przyglądając się im z zadowoleniem. Z kędzierzawej fryzury nie pozostało ani śladu. Po raz pierwszy od wizyty z Frankiem w Potlatch Clubie wyciągnęła z walizki kosmetyczkę z przyborami do makijażu.

Naniosła na powieki jasnozielone cienie i podkreśliła wykrój oczu popielatą kreską. Przyjrzała się sobie krytycznie.

Jej opalone ramiona połyskiwały w świetle. Lustro odbijało obraz pięknej dziewczyny. Lecz Sybil w dalszym ciągu miała wątpliwości co do swej dobrej prezencji. Myśl o Lei tylko wzmagiała jej niepewność. Wydawało jej się, że Lea jest pięknym łabędziem, a ona brzydkim kaczątkiem.

Włożyła piękną suknię w kolorze lawendowym, opadającą miękkimi fałdami. Następnie obwiązała talię liliową aksamitną szarfą. I ta suknia, podobnie jak biała, miała dość duże wycięcie, które odsłaniało częściowo jej piersi.

Sybil zadawała sobie pytanie, czy David Rodney zamówił takie suknie, czy pozostawił wybór sprzedawczyni. Prawdopodobnie trafna była ta druga ewentualność.

Kiedy Sybil weszła do salonu, Lei jeszcze nie było. David Rodney i Gerard, każdy z drinkiem w ręku, stali przy kominku.

Gerard wyszedł jej na spotkanie i z galanterią pocałował ją w rękę.

— Wygląda pani czarująco, ma chéri! Jestem bardzo szczęśliwy, że pani przyszła.

Lea kazała na siebie czekać jeszcze pół godziny. W tym czasie Sybil siedziała na kanapie.

Drinka odmówiła. Doświadczenie ją nauczyło, że wieczory przeważnie ciągnęły się długo i lepiej było trochę miarkować się w picciu.

David Rodney i Gerard dalej stali przy kominku i rozmawiali o sprawach zawodowych.

Kiedy w końcu zjawiała się Lea, spojrzenia wszystkich skierowały się naturalnie w jej stronę. Miała na sobie jasnozieloną szyfonową suknię, która dobrze uwydatniała jej szczupłe ciało i delikatny biust. Na jej szyi połyskiwały cudowne perły, a przy uszach perły i diamenty, które zwisały niczym krople.

Gerard pocałował Lec w rękę.

Wcale się to Sybil nie spodobało. Miała uczucie, jakby Gerard nie był lojalny w stosunku do niej. Ale naturalnie wiedziała, że to niepoważne pretensje. We Francji całowanie kobiet w rękę było po prostu powszechnie przyjęte.

David Rodney patrzył przez chwilę spokojnie na Leę, Po czym przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona.

Przytrzymał ją w ciasnych objęciach i wycisnął pocałunek na jej czole.

Sybil czym prędzej odwróciła wzrok. Znowu powiedziała sobie, że Lea Ambrose ma wszystko, czego można sobie życzyć, natomiast ona musi się obejść smakiem.

Prawdopodobnie uroda Lei tak oślepiła Rodneya, że w ogóle nie zauważał jej nieczułości, jej intryg oraz pychy. Także jej sposób traktowania własnego syna zdawał się nie mieć dla niego żadnego znaczenia.

Sybil zaczęła żałować, że przyjęła zaproszenie. Mogłam przecież powiedzieć, że źle się czuję, pomyślała. O wiele chętniej siedziałaby teraz w swoim pokoju i czytała książkę albo spacerowała po plaży. Obawiała się, że wieczór będzie nudny i włókł się w nieskończoność.

Kiedy jednak potem znaleźli się w klubie, ogólna wesołość zaraziła również ją. Koktajle popijali na tarasie, gdzie pianista przygrywał gościom romantyczne melodie.

Do towarzystwa należało jeszcze kilka sympatycznych młodych par, które spotkano dopiero tutaj, w klubie. Wszyscy byli dla Sybil bardzo uprzejmi. Była najmłodsza w tym gronie. Choć ciągle znajdowała kogoś, z kim mogła porozmawiać, nie potrafiła uwolnić się od uczucia, że jest tu ciałem obcym.

Wszyscy ci goście wydawali się spędzać razem lato w Easthampton. Ich rozmowy obracały się prawie wyłącznie wokół ludzi, których Sybil nie znała. Ledwo mogła wtrącić jakieś słowo, czuła się wykluczona i trochę zbyt czarna.

Potem pianista przestał grać, i wszyscy udali się do środka jeść i tańczyć. Gerard przekonał Sybil, żeby zamówiła na przystawkę ślimaki. Wcale jej nie smakowały, lecz dzielnie je połykała.

Pozostali okazali wielkie zdziwienie, że nigdy jeszcze nie jadła ślimaków. Sybil znalazła się nagle w centrum zainteresowania i bardzo była z tego powodu zmieszana.

Mimo że próbowała pokryć swoje zażenowanie śmiechem i nadrabiać miną, czuła się we własnej skórze nadzwyczaj nieswojo. Nagle zrobiło jej się bardzo gorąco, a jej ruchy stały się jakby wymuszone i niezgrabne.

Wreszcie w rozmowie nastąpił zwrot i zaczęto mówić o czymś innym. Sybil odetchnęła z ulgą i odprężyła się trochę, kiedy zagrała orkiestra.

Szalenie lubiła tańczyć, a rytm muzyki miała we krwi. Gerard zatańczył z nią kilka razy, lecz poza tym nie poprosił jej żaden z panów, Lea natomiast była wręcz rozrywana jako partnerka.

Przecież jestem dla nich obca, pocieszała się Sybil. Podszedł do niej mr. Whitney siedzący przy innym stoliku i poprosił ją do tańca. Przy każdym kroku potykał się jednak o jej stopy. Ponieważ był od niej dużo niższy, Sybil miała uczucie, że stanowią komiczną parę.

Pomimo to była wdzięczna sympatycznemu mr. Whitneyowi, że z nią zatańczył. Była to duża uprzejmość z jego strony, i Sybil poprosiła go, żeby pozdrowił od niej swoją żonę, która wesoło pomachała im od stolika.

Sybil rozmawiała właśnie z młodą kobietą, która przysiadła się do niej, gdy zauważyła, że David Rodney wpatruje się w nią z parkietu.

Tańczył z Leą, lecz jakiś starszy pan ich rozdzielił i poprosił Leę o taniec. Rodney rozglądał się za Sybil i zaraz też ją odkrył. Długimi krokami podszedł do niej.

— Miss Morgan, czy zechciałaby pani zatańczyć ze mną ten taniec do końca?

— Chętnie.

Sybil skinęła głową i popatrzyła na niego nerwowo.

Kiedy jednak potem znaleźli się na parkiecie, miała trudności z dostosowaniem się do jego kroku. Była dobrą tancerką i wiedziała o tym. Ale w ramionach Davida Rodneya była sztywna i nogi miała jak spętane.

Rozluźnij się, rozluźnij! — rozkazywała sobie, lecz nie mogła. Bez przerwy objęła się o jego kolana.

W trakcie jednego z obrotów David uchwycił ją za kosmyk włosów. Przytrzymał ją na odległość ramienia i spojrzął na nią.

— Co, na miłość boską, zrobiła pani ze swoimi włosami? Gdzie się podziały te piękne loki? To dlatego wydaje się pani dziś wieczór taka odmieniona.

Słowa te zaboląły Sybil niczym uderzenie w twarz. Przez chwilę patrzyła tylko na Rodneya bezradnie i bez słowa. Zaraz jednak to nagłe odrętwienie ustąpiło. Jednym szarpnięciem wyrwała się mężczyźnie, który miał nad nią tak fatalną władzę.

— Proszę wybaczyć — mruknęła i wybiegła z pomieszczenia.

Pamiętała jeszcze, gdzie jest toaleta, w której zmywała wtedy plamę z sukienki. Na oślep pobiegła w tym kierunku, gdyż jej oczy napełniły się łzami, przez które ledwo co jeszcze widziała.

Odetchnęła z ulgą, kiedy mogła zamknąć za sobą drzwi umywalni. Ale nie była sama. Pomieszczenie pełne było kobiet, które poprawiały swoje fryzury lub odświeżały makijaż. Toaletę wypełniał gwar wielu głosów.

Sybil zniknęła szybko w jednej z kabin. Wstrzymała oddech i zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się jej w miększą dłoń. Udało jej się stłumić szloch. Nie chciała, żeby te pewne siebie kobiety na zewnątrz słyszały, jak płacze. Powoli uspokoiła się. Ale miała wrażenie, że za chwilę się udusi.

Prędko wytarła łzy. Wieczór miała już zupełnie popsuty. Nienawidziła Davida Rodneya, Lei i Franka, a przede wszystkim Potlatch Clubu i ludzi, którzy w nim bywali!

## Rozdział 8

Później Sybil nie potrafiłaby już powiedzieć, jak zaczęła się ta cała awantura i co było jej przyczyną.

Następnego ranka Lea wkroczyła nagle podczas śniadania do kuchni i oznajmiła, że chce zabrać Tima. Zamierza zrobić mu małą frajdę i chce z nim pojechać do Resort Hotel.

Tim zostanie tam ostrzyżony, a potem kupi mu lody. Pomysł, który Tima bynajmniej nie zachwycił. Dopiero kiedy Sybil obiecała mu, że po południu będzie się z nim bawić w coś wesołego, udało się go nakłonić, żeby poszedł z matką.

Po śniadaniu Sybil poszła na plażę i rozmyślała tam nad minionym wieczorem.

Ależ głupio się zachowała, kiedy David Rodney uczynił uwagę na temat jej włosów. Prawdopodobnie chciał tylko dać jej do zrozumienia, że jej naturalne loki podobają mu się bardziej niż włosy w sztuczny sposób ułożone gładko. Jego uwaga wyprowadziła ją jednak całkiem z równowagi i odebrała jej ostatnie resztki wiary w siebie. Z pewnością Rodney wątpi teraz w jej gust i na zdolności.

Sybil siedziała na piasku zupełnie skurczona, obejmując rękami kolana. Nagle na wąskiej ścieżce usłyszała kroki. W kilka sekund później stanął przed nią Wong. Mały Chińczyk nie mógł złapać tchu.

— Płoszę, missee przyjsz szybko!

Sybil rozdrażniona podniosła się powoli. Co się tam znowu stało? Naprawdę miała już prawie dosyć!

Biegnąc wąską ścieżką w kierunku domu, rzuciła okiem na położenie słońca. Stało w zenicie. Musiało więc być południe, może już nawet pierwsza!

Na końcu dróżki, która ciągle pięła się w górę na odcinku od plaży do domu, Sybil ujrzała, że przed jej pokojem zebrała się grupka ludzi! Stali tam Gerard, David Rodney, Lea, John-John i kilku pracowników obsługi. Wszyscy wpatrywali się w małe okno nad oknem jej łazienki. Musiało to być okno łazienki miss Ambrose!

Za szybą rozpoznała małą przekorną twarz. Tim!

Kiedy Sybil zupełnie zdyszana dotarła do budynku, David Rodney zwrócił się do niej:

— Tim zamknął się w łazience swojej matki! Nie chce wyjść i odmawia także otwarcia drzwi. Może pani udałoby się nakłonić go do opamiętania?

Lubi panią, tak, sędzę nawet, że jest pani jedyną osobą, którą naprawdę darzy sympatią... Co bardzo dobrze mogę zrozumieć.

Zabrzmiało to niemal jak komplement, i Sybil spojrzała na niego niepewnie. Stało się dla niej jasne, że w tym momencie miał w głowie tylko jedną myśl: wydostać Tima z łazienki!

Sybil zawołała do niego, starając się nadać swojemu głosowi możliwie najbardziej zachęcające brzmienie.

— Halo, Tim! Czyżbyś zupełnie zapomniał, że mamy się razem bawić? Wymyśliłam fantastyczną zabawę.

— Jaką? — Zdawał się zastanawiać, czy nie zrezygnować. W końcu jednak zawołał: — Jest mi wszystko jedno. Nigdy stąd nie wyjdę! Nie chcę być z nią. Nie cierpię jej!

Oskarżycielsko wskazał palcem na Leę, która zrobiła się na twarzy purpurowa z gniewu i zakłopotania.

— Darling. Mama teraz zawsze będzie miała czas dla swego małego chłopca, i sprowadzimy dla ciebie z Nassau cały samolot zabawek, jeśli otworzysz drzwi i wpuścisz mnie do środka.

— Nie chcę, żebyś miała dla mnie czas i zabawek też nie chcę! Chcę tutaj zostać z Sybil i nigdy, już nigdy nie wrócę do domu! — oświadczył Tim. Jego drżący głosik był nabrzmiały łzami.

Lea spojrzała na Sybil ze złością błyszczącymi oczami.

— Widzi pani teraz, jakie są skutki pani głupich zabaw. Biedne dziecko ma zupełnie poprzewracane w głowie. — Obróciła się do Davida. — Od razu ci mówiłam, że ta dziewczyna się nie nadaje i jest niebezpieczna. Nie ma pojęcia o dzieciach.

David Rodney spojrział na nią lekceważąco.

— A skąd akurat ty miałabyś to wiedzieć?

Sybil widziała, jak obydwójce mierzą się groźnymi spojrzeniami. Potem spojrzała znowu na zapłakaną twarzyczkę Tima.

— Może najlepiej byłoby przynieść drabinę. W tym momencie dziecko jest zupełnie rozhisteryzowane, i przekonywanie Tima albo zmuszanie go mija się raczej z celem — zaproponowała.

— To pierwsza rozsądna propozycja. — David odwrócił się do Lei plecami. — John-John, czy mamy gdzieś jakąś drabinę?

John-John pokręcił przecząco głową, grzebiąc nerwowo czubkiem buta w trawie.

— Może by wezwać straż pożarną? — Sybil posłała Rodneyowi pytające spojrzenie. Skinął tylko głową. Pomimo nieznośnej sytuacji była szczęśliwa, że rozumieją się tak dobrze bez wielkich słów.

Wbiegła do domu i zadzwoniła do straży pożarnej w Governor's Harbour. Mimo że wyjaśniła, iż nie wybuchł pożar i że to nic poważnego, w niespełna pięć minut później usłyszeli wozy jadące na sygnale. Ale zanim przybyły na miejsce, upłynęła jeszcze dobra chwila. Wysłano John-Johna, żeby wyjaśnił strażakom sytuację, i wkrótce zjawili się dwaj ludzie z długą drabiną.

Kiedy tylko podstawiono drabinę pod okno, Wong, z małpią zręcznością, wspiął się po szczeblach na górę. Tim, który uważał całą sprawę za szalenie zabawną, czekał na niego ze strumieniem wody. Udało mu się przystawić do okna sitko prysznica, ponieważ natrysk znajdował się bardzo blisko okna.

Prysznic stanowił dla Tima wymarzony oręż do obrony własnej pozycji. Wong próbował ocierać wodę z oczu. Chciał otworzyć okno od zewnątrz, ale ponieważ było ono zablokowane od środka, całe przedsięwzięcie skazane było na niepowodzenie.

— Przeklęty bachor! — zaklął David Rodney. Lea zrobiła krok w jego kierunku.

— Nie pozwolę, żebyś obrażał moje dziecko! — zaskrzeczała.

Obydwoje posłali sobie wściekle spojrzenia i mierzyli się wzrokiem niczym dwa koguty tresowane do walki, które ledwo się mogą doczekać, by rzucić się na siebie.

David odwrócił się do Lei plecami i rzekł do John-Johna:

— Przynieś mi śrubokręt! — Następnie zwrócił się do Wonga: — Złaż, Wong! Nie ma sensu, tak nigdy tego okna nie otworzysz.

Kiedy John-John wrócił ze śrubokrętem, David osobiście wspiął się po drabinie. Również on został powitany przez Tima strumieniem wody. Spokojnie próbował otworzyć okno, wpychając śrubokręt między okno i framugę.

Gdy okno w końcu ustąpiło, wlaź do środka. Wśród widzów panowało pełne napięcia milczenie. W krótki czas potem z domu wyszedł David. Na rękach trzymał przemoczonego do suchej nitki, wyjącego chłopca. Postawił dziecko przed matką na ziemi.

— Madame, każę przygotować samolot do startu, żeby dziś po południu mogła pani wraz z Timem opuścić wyspę. Mam już tego definitywnie dosyć!

Odwrócił się i ruszył w kierunku domu. Lea zostawiła płaczącego Tima. Pobiegnęła za Davidem i przytrzymała go za przemoczoną do suchej nitki koszulę.



— Ależ Davidzie! Najdroższy! — poczęła go zaklinać. — Nie zerwiesz chyba naszych zaręczyn z powodu niegrzecznego dziecka! Zaproszenia na ślub już przecież rozesłane! Cały świat oczekuje, że w następnym miesiącu wyjdę za ciebie za mąż. Co ludzie sobie pomyślą? Jak ja wtedy będę wyglądać? — Z gniewu głos Lei był wysoki i piskliwy. — A ty po prostu się odwracasz i myślisz sobie, że się mnie pozbyłeś? Czegoś takiego nie możesz mi zrobić!

David chciał właśnie coś odpowiedzieć, gdy zauważył, że nie tylko wszyscy pracownicy, ale i strażacy czekają w napięciu na następne, jego słowa.

— Jeśli chcesz dyskutować o mojej decyzji, to przyjdź do mojego gabinetu!

Odwrócił się i ruszył dalej. Lea obrzuciła wszystkich obecnych zabójczym spojrzeniem i podążyła za Davidem.

Strażacy pozbierali swój sprzęt i ruszyli w drogę powrotną. Pracownicy wrócili do swoich zajęć. Wong jak zwykle zniknął bezszelestnie, i została tylko Sybil z Timem.

Zaprowadziła dygocące dziecko do jego pokoju i zdjęła mu mokre rzeczy. Następnie natarła Timowi plecy alkoholem, żeby trochę go uspokoić.

Rozmowa między Leą i Davidem pozostała dla wszystkich tajemnicą, nikt nie poznał nawet słowa z jej przebiegu. Klócili się prawie dwie godziny. Od czasu do czasu Sybil słyszała podniesione głosy.

Potem przyszedł Wong i przekazał jej polecenie, żeby spakowała walizki Tima. Malec zasnął wcześniej kompletnie wyczerpany.

Sybil chodziła cicho po pokoju i pakowała jego rzeczy. Potem przyszedł John-John po walizki i powiedział jej, że ma zabrać Tima za pół godziny.

Biednego chłopca przygoda w łazience dość jednak osłabiła. Był spokojny jak baranek i wykonywał bez sprzeciwu jej polecenia. Sybil założyła mu ubranko marynarskie z czerwoną aksamitną kokardą.

Było jej przykro widzieć malca tak cichym i nieszczęśliwym. Odprowadziła go sama do dużej drewnianej bramy przy wejściu. Prawie jednocześnie zjawiała się Lea. Była bardzo blada i wyglądała jak swój własny duch. Wydawało się, jakby cała krew uciekła jej z twarzy, miała na sobie sztywny biały lniany kostium.

Lea nie odezwała się słowem. Wzięła Tima pod ramię i wepchnęła mało delikatnie do czekającego auta. Następnie wsiadła sama, nie zaszczyciwszy Sybil nawet spojrzeniem. Samochód z John-Johnem za kierownicą ruszył z miejsca i wkrótce potem zniknął w obłoku kurzu.



Przyszedeł również Wong, żeby być obecnym przy wyjeździe.

— To być dobrze — rzekł mrugając do Sybil.

Odpowiedziała mu uśmiechem, ale wcale jej nie ulżyło. Było jej smutno, że Tim wyjechał.

Bardzo jej będzie brakowało malca. Jego obecność pomogła jej zapomnieć o własnych problemach. Kiedy zajmowała się nim, dni mijały jej bardzo szybko. Z troską pomyślała o przyszłości chłopca i przypomniała sobie przy tym o własnej przyszłości. Co teraz będzie?

Sybil wróciła do swego pokoju i opadła na łóżko. Jej praca tutaj wkrótce dobiegnie końca. Za kilka dni nadejdzie ostatnia dostawa. Potem nie pozostanie jej nic innego, tylko powrócić do Nowego Jorku, do chłodnego, zimowego Nowego Jorku!

Z drżeniem pomyślała o szarym city, o pokrytych lodem kałużach i śniegu zmieszonym z błotem, o zimnych stopach i wilgotnych butach. Niewesołe to były perspektywy!

Na samą myśl o zimie dreszcz przebiegł jej po plecach. Naciągnęła na siebie kołdrę i zasnęła. Ponieważ nikt nie obudził jej na kolację, ocknęła się dopiero nazajutrz rano.

Następny dzień był dla Sybil najtrudniejszy, od kiedy znalazła się na wyspie. Nie miała nic do roboty! Dwa razy dzwoniła do kapitana portu, czy przyplłynął statek z ładunkiem. Nie potrafił jej jednak podać dokładnego terminu nadejścia dostawy.

Gdyby przynajmniej wkrótce nadeszła! Wówczas mogłaby zakończyć swoją pracę i poprosić Davida Rodneya, żeby odesłał ją z powrotem do Nowego Jorku. Kiedy bowiem wszystko będzie wypakowane i stanie na swoim miejscu, nie będzie już miał żadnego powodu, żeby zatrzymywać ją dłużej na Eleutherze.

Sybil wałęsała się przez jakiś czas bez celu po okolicy, a potem postanowiła przespacerować się wzdłuż plaży. Doszła aż do Potlatch Clubu. W zatoce ujrzała cały szereg stojących na kotwicy małych żaglówek. Tęsknym wzrokiem popatrzyła ku łodziom. Jakie to pewnie cudowne — móc teraz wypłynąć na morze!

W dzieciństwie spędzała przeważnie wakacje u ciotki, która mieszkała nad małym jeziorem. Tam nauczyła się żeglować.

W drodze powrotnej Sybil postanowiła zajrzeć jeszcze do domku gościnnego. Monsieur Givrey wyjechał rano.

Widziała się z nim przy śniadaniu, a potem pożegnał się z nią, wylewnie jak zawsze. Poprosił ją o jej adres w Nowym Jorku. Podczas najbliższej

podróży do Nowego Jorku chciał ją odwiedzić. Była zadowolona, że znalazła tutaj przynajmniej jednego przyjaciela.

Od owej nocy, kiedy Frank zniknął tak niespodziewanie, Sybil nie przekroczyła progu domku gościnnego. Wchodząc teraz po stopniach na werandę, sama się dziwiła, jak bardzo sprawa z Frankiem tymczasem jej zubożyła. Definitywnie usunęła go ze swoich myśli i uczuć.

Cieszyła się tylko, że w porę poznała prawdę o nim. To był jedynie krótki romans, wiedziała o tym. Przeżyła z Frankiem kilka cudownych dni, ale niestety wszystko zbudowane było na kłamstwie i obłudzie.

Dlaczego rzeczywistość musiała wciąż wyrwać człowieka z pięknych marzeń?

Sybil usiadła na ławce, z której razem z Frankiem patrzyli na morze. Tak była pogrążona we własnych wspomnieniach, że nie słyszała kroków. Dopiero kiedy ktoś wszedł na werandę, podniosła wzrok.

Przed nią stał David Rodney i przyglądał się jej uważnie!

Zmieszana zerwała się z ławki.

— Mam nadzieję, mr. Rodney, że nie ma pan nic przeciwko temu, że tutaj siedzę. Nie miałam nic do roboty, więc przyszłam. Widok, jaki się stąd roztacza, zapiera dech w piersiach. Nawiasem mówiąc, dzwoniłam dzisiaj dwa razy do kapitana portu, ale nie potrafił mi powiedzieć, kiedy nadejdzie dostawa.

David Rodney podszedł powoli do niej i stanął obok. Również on spoglądał w kierunku morza i podziwiał piękny widok. Sybil przyjrzała mu się z boku. Miał na sobie spodnie koloru khaki i białą tenisową koszulkę rozpiętą pod szyją, dzięki czemu mogła dostrzec ciemne kręcone włosy na jego piersi. Z profilu jego wyrazisty podbródek wydawał się jeszcze bardziej kanciasty.

Sybil odwróciła wzrok, gdyż obawiała się, że mógłby zauważyć, jak się w niego wpatruje. Wąskie spodnie uwydatniają jego szczupłe biodra, pomyślała.

Nagle zmieszana się i nie wiedziała, w którą stronę patrzeć. Obróciła się trochę w bok i zaczęła ponownie spoglądać na morze.

— Wie pani — odezwał się David Rodney — po raz pierwszy widziałem ten kraj z tego miejsca. Byłem wtedy z wizytą u Whitneyów. Podczas spaceru po plaży wszedłem na ten pagórek. Tak byłem urzeczony widokiem, że postanowiłem zbudować sobie tutaj dom. Niestety architekt powiedział mi później, że na duży dom nie ma dość miejsca. Poszedłem więc na kompromis i dobudowałem domek gościnny. To najwyższe miejsce na całej wyspie, i dlatego ten fantastyczny widok.

Przez chwilę milczeli oboje. Potem Sybil powiedziała cicho:

— Mister Rodney, przykro mi — mam na myśli tę historię z miss Ambrose.

— Wcale nie musi być pani przykro z tego powodu — odparł, ostro.

— Chodzi mi o to, że była taka piękna i...

Sybil urwała w środku zdania. Tak chętnie powiedziała mu, że to rozumie, iż ktoś daje się zwieść powierzchownością drugiego człowieka. Ostatecznie ją też to spotkało. Ale uwaga tego rodzaju wydawała jej się jednak nie na miejscu.

— Możliwe, że to pusty frazes, miss Morgan, ale ja sędzę, że to przysłowie jest jednak prawdziwe: „Sama uroda to jeszcze za mało!”

Powiedział to bardzo cicho, równocześnie patrząc jej prosto w oczy. Potem jego głos się zmienił, i ciągnął dalej już swoim normalnym tonem:

— Przyszedłem tutaj, ponieważ miałem nadzieję, że znajdę panią w tym miejscu. Bez regularnego treningu konie robią się ospałe. Łatwiej jednak utrzymać je w formie, kiedy się jest we dwójkę. Czy nie wybrałaby się pani ze mną na przejażdżkę konną dziś po południu?

— Bardzo chętnie! — odpowiedziała natychmiast Sybil.

— To świetnie. Cieszę się, że będę miał towarzystwo. Spotkamy się o trzeciej przy zagrodzie dla koni. Zgoda?

Kiedy odwrócił się i odszedł, Sybil opuściła odwaga. Jak mogłam przystać na to? Nigdy jeszcze nie siedziała na koniu, nie licząc potulnych kucyków na jarmarku.

W pierwszej chwili ucieszyła się z niespodziewanego zaproszenia, lecz teraz przyszło otrzeźwienie.

Czy nigdy się niczego nie nauczę? — czyniła sobie wyrzuty. Dlaczego mu nie powiedziała, że w ogóle nie potrafi jeździć konno? Dlaczego stawiała się zawsze w takich nieznośnych sytuacjach?

Sybil kusilo, żeby zawołać za Davidem Rodneyem, iż nie może się z nim wybrać na przejażdżkę. Chciała mu wszystko wyjaśnić. Ale z drugiej strony tak gorąco pragnęła jechać z nim konno wzdłuż plaży, jak Lea przed tygodniem.

Ze spuszczoną głową wróciła do swego pokoju i zaczęła się zastanawiać. Zgodziła się na coś, czym mogła się tylko narazić na kompromitację. Rzeczywiście byłoby lepiej wyznać Rodneyowi całą prawdę. Ale tak była szczęśliwa z powodu jego zaproszenia, że jej rozum przestał funkcjonować. Teraz musiała jakoś wybrnąć z tej sytuacji. Może uda jej się zwieść Rodneya? Może wszystko ułoży się dobrze?

Sybil założyła dzinsy, różową bluzkę i płaskie buty. W tym ubraniu nie mogę raczej konkurować z szykownym strojem do jazdy konnej i eleganckimi sztylpami Lei, pomyślała. David Rodney z pewnością będzie nas porównywał. Takie porównanie mogło wypaść tylko na jej niekorzyść.

Dosyć zdenerwowana Sybil udała się w drogę do stajni.

Schodząc drogą do zagrody, miała przeczucie zbliżającego się nieszczęścia. Czowała miękkość w nogach i ostatnie kroki dzielące ją od stajni pokonała z największym wysiłkiem.

Kiedy otworzyła okratowaną bramę zagrody, ze stajni wyszedł David Rodney. Zapytał ją, czy często jeździła konno.

— Niezbyt często — odparła wymijająco, starając się pokryć uśmiechem własną niepewność.

Co za głupota z mojej strony, stwierdziła w duchu ze złością. Miałam jeszcze szansę powiedzenia mu, że nie znam się wcale na jeździe konnej, że nigdy nie siedziałam na koniu. A ja zachowuję się tak, jakbym wszystko wiedziała, i odgrywam światową damę, która zna się na wszystkim. Co się ze mną dzieje?

— Najlepiej niech pani zacznie powoli i weźmie sobie łagodnego konia. Jeśli da sobie pani z nim radę, możemy potem wybrać innego, z trochę większym temperamentem.

Najchętniej Sybil zawołałaby: Proszę mi dać najspokojniejszego, najpotulniejszego konia w stajni! Zamiast tego skinęła tylko głową i powiedziała:

— To dobry pomysł.

David Rodney wszedł z powrotem do stajni i usłyszała, jak wydaje swoim ludziom dyspozycje. Nagły poryw wiatru dmuchnął jej w twarz całą chmurę pyłu. Musiała zakaszczyć i na moment zamknęła oczy.

Kiedy zaczęła znowu widzieć, podszedł do niej jeden ze stajennych, który prowadził konia. Sybil uznała, że zwierzę jest ogromne. Czowała się przy nim mała i jakby zagubiona. Ręce jej drżały, kiedy chłopiec podał jej wodze. Wydawało jej się niepodobieństwem, że kiedykolwiek zdoła wsiąść na grzbiet tego potwora.

Wsunęła jedną stopę w strzemień i spróbowała odepchnąć się drugą, żeby wskoczyć na siodło. Koń zrobił krok do przodu, i jej stopa wyslizgnęła się ze strzemienia. Upadła do tyłu i wylądowała w kurzu.

Prędko zerwała się na nogi. Nic sobie nie zrobiła. Ale wstyd jej było, że zachowała się jak łamaga. Na szczęście David był jeszcze w stajni.

Sybil poprosiła chłopca, żeby pomógł jej dosiąść konia. Stajenny popchnął ją we właściwym momencie, i wylądowała w siodle. Znalazłszy

się w nim, siedziała zupełnie sztywno. Ziemia wydawała się odległa o wiele mil. Nie sądziła, że będzie czuć się tak okropnie.

Ze stajni wyszedł David Rodney prowadząc za cugle pięknego kasztanowego ogiera. Sybil obserwowała, z jaką elegancją i lekkością wskoczył na grzbiet zwierzęcia. Sprawdził, czy długość strzemion jest odpowiednia, i zawołał do niej:

— Czy pani strzemiona są w porządku? Następnie zwrócił się do chłopca:

— Jack, zobacz, czy strzemiona są dobrze umocowane, i pomóż miss Morgan je ustawić.

— Okay — mruknął chłopiec.

Sybil domyślała się, że powinna wsadzić stopy w strzemiona. Próbując trafić w nie palcami stóp, trąciła konia piętą. Koń ruszył z miejsca. Sybil chwyciła wodze mocniej, i koń zatrzymał się. Serce omal jej z piersi nie wyskoczyło.

— Proszę zachować spokój, miss! — zawołał Jack. Jakbym sama nie zrobiła tego z miłą chęcią, gdybym tylko potrafiła, pomyślała Sybil ze złością.

Chłopiec wziął jej stopę i wsadził ją w o wiele za długie strzemie. Następnie ustawił jak trzeba obydwa strzemiona. Sybil poczuła się od razu trochę pewniej, ponieważ jej stopy miały teraz oparcie. David Rodney już wcześniej pojechał wolno przodem.

— No, możemy chyba ruszać! — zawołał do niej. — Pojedziemy starą drogą w dół na plażę, a potem galopem.

Sybil skinęła głową. Czowała, jak łzy napływają jej do oczu.

Na szczęście jej koń opuścił zagrodę i podążył dzielnie za ogierem Rodneya. Kiedy jechali wzdłuż drogi, przestała trochę się bać. Jednak jej koń rzucał co chwila głową do tyłu, co bardzo ją denerwowało.

Zadawała sobie pytanie, jakie to diabelskie myśli chodziły zwierzęciu po głowie. Prawdopodobnie jest sprytniejszy ode mnie, pomyślała, a przede wszystkim silniejszy.

Droga prowadziła łagodnymi zakrętami ku plaży. Sybil przesunęła się do przodu w swoim siodle i miała uczucie, że lada chwila może przelecieć nad głową zwierzęcia i wylądować na drodze. Ku swemu najwyższemu zdziwieniu dotarła jednak cało na plażę. Zmierzali w stronę wilgotnego, twardego piasku w pobliżu wody.

David Rodney obrócił się i upewnił, że Sybil jedzie za nim. Następnie dał swemu koniowi ostrogę i ruszył po białym piasku galopem. Zanim Sybil

zorientowała się, co ,się z nią dzieje, jej koń wykonał skok i popędził za brązowym ogierem.

Zaczęło nią rzucać w siodle do przodu i do tyłu. Wiatr gwizdał jej w uszy i targał włosy.

Sybil wpadła w panikę i nie była w stanie skojarzyć żadnej myśli. Najpierw chwyciła za siodło, żeby się w nie wczepić, potem złapała konia za grzywę. Jej stopy wyslizgnęły się ze strzemion i wisiały w powietrzu. Zsunęła się w bok, ale ostatkiem sił zdołała się wyprostować, uchwyciwszy się kurczowo grzywki zwierzęcia. Potem jednak rzuciło ją na drugą stronę, i w chwilę później szybowała już w powietrzu.

Zderzywszy się boleśnie, wylądowała na mokrej ziemi, drobny piasek wciskał jej się do ust i nosa. Sybil była zupełnie zszokowana i leżała nieruchomo. Bolało ją całe ciało i miała wrażenie, że nigdy już nie wstanie.

Po chwili ostrożnie uniosła głowę i ujrzała w oddali Davida Rodneya, który starał się schwytać jej spłoszonego konia.

Ukryła bolącą głowę w ramionach i dała upust łzom. Przeczuwała to przecież. Musiało się tak skończyć. Wkrótce potem pochylił się nad nią David Rodney.

— Jest pani ranna?

W pierwszej chwili gwałtownie pokręciła głową, lecz potem przytaknęła.

— Gdzie? — spytał podenerwowany.

— Wszędzie — jęknęła.

Ostrożnie obmacał jej ciało, po czym spróbował poruszyć jej rękami i nogami.

— Miss Morgan — powiedział po oględzinach lekko rozbawiony — składa się pani w dalszym ciągu z jednego kawałka! Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

— Naprawdę? — spytała Sybil powątpiewającym tonem.

Brzmiało to tak niedorzecznie, że obydwójce wybuchnęli śmiechem. David wyjął z kieszeni chusteczkę, umoczył ją w wodzie i starł Sybil piasek z twarzy, patrząc przy tym na nią badawczo.

— Miss Morgan, czy siedziała już pani kiedyś na koniu?

— Nie... — Czyniąc to wyznanie, Sybil unikała jego wzroku. — Nie, jeszcze nigdy.

— No, muszę w takim razie powiedzieć, że nie brak pani odwagi. Ale to było już raczej ryzykanctwo. Dlaczego mi pani nic nie powiedziała? Co pani właściwie wtedy myślała?

— To... to wyglądało na takie łatwe, i pomyślałam, że sprawi mi to przyjemność. Nie miałam pojęcia, że jazda konna jest taka trudna.

Ujął jej podbródek i mało delikatnym ruchem obrócił jej głowę do siebie. Wbił swoje spojrzenie w jej oczy. Pod jego wzrokiem zrobiło jej się gorąco. Próbowwała wyzwolić się z uchwytu jego ręki i patrzeć w innym kierunku. David trzymał ją jednak mocno. Sądziła, że ją pocałuje. Patrzyła na niego jak urzeczona. Lecz nagle wypuścił ją i wstał.

— Proszę się ruszyć! Niech pani wstanie! — Jego głos brzmiał szorstko. Patrzył na nią z góry nieruchomo z niemal ponurą miną.

— Wydaje mi się, że nie potrafię — szepnęła Sybil. Miała wrażenie, jakby wszystkie jej członki były z gumy.

— Potrafi pani wstać i wstanie pani! Natychmiast wsiądzie pani z powrotem na konia i pojedzie dalej!

Brzmiało to jak rozkaz. Sybil od razu zaprotestowała.

— Nie dam rady! W żadnym wypadku tego nie zrobię!

Przerażona chciała go złapać za ramię.

— Naturalnie boi się pani. Kiedy człowiek nie zna się na czymś, to się boi. Ale ja nauczę panią jeździć konno. Opanuje pani tę sztukę, i to dobrze. Potrzeba do tego tylko trochę odwagi, której pani nie brakuje, sądząc po tym, co dotąd widziałem!

Wziął Sybil za ręce i postawił ją na ziemi. Następnie otoczył ją ramieniem i pochylając głowę, uśmiechnął się do niej.

— Nie jest to wcale takie trudne. Każdy jeździec na początku spada czasem z konia, i nie tylko na początku. Nauczyć można się tylko wtedy, gdy człowiek nie zraża się niepowodzeniami i wciąż próbuje od nowa. Tak jest ze wszystkim. Gdy człowiek tylko siedzi i marzy, nigdy się niczego nie nauczy i nigdy niczego nie dokona.

Sybil spojrzała mu w twarz. Ależ był diablo przystojny! Poczowała, jak serce zaczyna jej bić jak szalone. Czym prędzej uwolniła się z jego objęć.

David Rodney uśmiechnął się.

— Będzie z pani dobra amazonka, a nawet bardzo dobra.

Zamknęła oczy. Policzyła kilka razy do dziesięciu, żeby się uspokoić. Potem spojrzała na niego i skinęła głową.

— Okay. Jeśli pan tak uważa, spróbuję jeszcze raz. Nagle była całkiem pewna, że tego dokona. Nauczy się jeździć konno! Nigdy jeszcze nie zaufała nikomu tak jak teraz Rodneyowi.

Poszedł ponownie schwytać konia. Potem pokazał Sybil, jak się wsiada, ale pomógł jej trochę. Wyjaśnił, jak można kierować koniem przy pomocy cugli, i kilka razy poprowadził ją tam i z powrotem, dopóki nie upewniła się, że sama może zawrócić konia w pożądanym kierunku.



Dosiadłszy swojego konia, wziął wierzchowca Sybil za uzdę i zaprowadził go z powrotem do stajni.

Sybil czuła się coraz pewniej. Kiedy dotarli do zagrody, David Rodney pokazał jej, jak się zsiada z konia, i sam zrobił to pierwszy. Potem podszedł do niej i stanął obok konia.

— Dalej, teraz pani kolej.

Sybil przerzuciła z wdziękiem nogę nad grzbietem zwierzęcia, wysunęła drugą stopę ze strzemienia i przez moment przytrzymała się siodła.

A potem zeskoczyła w ramiona Davida. Przytrzymał ją przez chwilę, ale tylko dopóki nie poczuł, że pewnie stanęła na własnych nogach. Ale wystarczająco długo, żeby Sybil mogła odczuć ciepło jego ciała. Uśmiechnęła się niepewnie.

— Teraz będziemy nad tym pracować codziennie. Potrzeba w tym celu czasu i dyscypliny, ale pani tego dokona. Najlepiej niech pani zaraz wejdzie do wanny i poleży dobrą chwilę w ciepłej wodzie. Jutro na pewno będą panią bolały wszystkie mięśnie. A właściwie jaki rozmiar garderoby pani nosi?

— Siedem i pół. — Wykręciła się już na pięcie, pragnąc odejść, po czym odwróciła się do niego raz jeszcze. — Serdeczne dzięki. Uważam, że to bardzo miłe z pańskiej strony, że chce mi pan dawać lekcje jazdy konnej. Bardzo się na to cieszę, gdyż chciałabym się nauczyć jeździć konno. Zawsze o tym marzyłam.

Następnie ruszyła w kierunku domu, nie oglądając się już za siebie. Jej podziękowanie brzmiało trochę sztywno, ale miała wrażenie, że musi mu podziękować.

Gożą kąpiel była cudowna i dobrze jej robiła. Sybil po raz pierwszy korzystała z różowej wanny wpuszczonej w posadzkę.

Powoli i ostrożnie weszła do wody, gdyż przygotowała sobie wyjątkowo gorącą kąpiel.

Wkrótce poczuła się rozluźniona i senna. Jednego nauczyła się dzisiaj od Davida Rodneya: Jeżeli chce się coś robić dobrze, trzeba to najpierw dokładnie poznać. Jedynie poprzez ćwiczenie uzyskiwało się niezbędną pewność. Nie miało sensu rozpoczynanie czegokolwiek w nadziei, że jakoś to będzie. Należało zbierać doświadczenia.

Było dla niej jasne, że tak właśnie postępował David Rodney. Sybil powzięła mocne postanowienie, że będzie go naśladować. Chciała się uczyć i znaleźć dla siebie właściwą drogę.



Kiedy wyszła z wanny, jej ciało było niemal tak różowe jak kafelki na ścianach. Po upadku miała na policzku zadraśnięcie i duży siniak na biodrze. Lecząc poza tym nic się jej nie stało i czuła się całkiem dobrze.

Sybil włożyła płaszcz kąpielowy i poszła do kuchni, żeby sobie zrobić jajecznicę z kilku jaj. Wong miał dzisiaj wolny wieczór. Krzątając się boso po kuchni, przypadkiem rzuciła okiem przez okno i ujrzała, że David Rodney idzie do garażu.

Miał na sobie granatowy blezer, a szyję luźno owinał białym szalem. Wyglądał bardzo elegancko i wytwornie, i Sybil zadawała sobie pytanie, dokąd to wybiera się na kolację.

Przypuszczała, że po wyjeździe Lei będzie jadał w domu. Ale znów się omyliła. Na wyspie było tyle atrakcyjnych kobiet, które znał David Rodney. Sama widziała, jak tańczył z kilkoma z nich w Potlatch Clubie.

Myśl, że być może upatrzył już sobie jakąś inną kobietę, wprowadziła Sybil w prawdziwą zazdrość. Złościło ją to. Ale czyż mogła oczekiwać czegoś innego?

Dlaczego Rodney miałby się nią zainteresować? Wszystkie te kobiety z pewnością mogły mu ofiarować więcej niż ona. Co miałby zresztą sądzić o dziewczynie, która już po pięciu minutach spadła z konia?

Takie i podobne dręczące myśli wciąż zaprzętały jej umysł, ale w końcu sama położyła im kres. David powiedział wprawdzie, że głupio ryzykowała, ale powiedział także, że ma zadatki na dobrą amazonkę.

Nie ulegało wątpliwości, że wierzy w jej siły. W przeciwnym razie nie poświęcałby chyba swego cennego czasu, żeby uczyć ją jazdy konnej. David Rodney nie był człowiekiem, który angażowałby się w beznadziejną sprawę. Pragnęła uczynić wszystko, by dowieść mu, że jego wiara w nią jest uzasadniona. Chciała pokazać się z najlepszej strony.

Wciąż jednak musiała myśleć o tym, gdzie Rodney spędza wieczór. Czy spotkał się z jakąś kobietą? Czy ona jest piękna? O czym by z nią rozmawiał? Może o niej: o Sybil? Czy mówiliby o jej popisach jeździeckich i śmiali się z niej?

Sybil tak była pogrążona w myślach, że poparzyła sobie palce o gorącą patelnię. Szybko przywołało ją to do rzeczywistości.

Nie miało sensu łamać sobie głowy! Spróbuje schodzić z drogi wszelkim problemom i patrzeć na świat optymistyczniej.

Jajecznica bardzo jej smakowała. Dopiero jedząc zdała sobie sprawę, jaka była głodna. Po kolacji wróciła do pokoju i położyła się do łóżka.

Spała jak suseł. Kiedy jednak zbudziła się rano, czuła się zupełnie połamana. Ledwo mogła się wyprostować i musiała najpierw wykonać parę ćwiczeń rozluźniających.

Przedpołudnie spędziła przy basenie. Opalała się i od czasu do czasu robiła w wodzie kilka rundek. Na regale w salonie znalazła książkę o koniach i zagłębiła się w lekturze. O trzeciej po południu przeczytała ją prawie całą.

Kiedy wróciła do swojego pokoju, żeby przebrać się na lekcję jazdy, znalazła na łóżku kilka dużych pudeł. W środku były jasne bryczesy, takie same jak Lei, oraz sztylpy.

Sybil z trudem wciągnęła na nogi bryczesy. Kiedy jednak uporała się z tym zadaniem, pasowały jak ulał.

Do bryczesów włożyła ciemnoniebieski obcisły T-shirt, który podkreślał jej miękkie, pełne piersi.

Spojrawszy w lustro postanowiła związać włosy z tyłu tasiemką. Następnie pośpieszyła na swoją pierwszą lekcję jazdy konnej.

## Rozdział 9

David Rodney czekał na Sybil przy bramie zagrody.

— Teraz wygląda pani jak amazonka. W stroju do jazdy konnej jest pani bardzo dobrze — powitał ją komplementem.

— Serdeczne dzięki za bryczesy i buty. Są bardzo ładne, ale...

— Nie kupiłem ich dlatego, że są ładne, tylko dlatego, że pani ich potrzebuje. Wkrótce zorientuje się pani, że bez odpowiedniego ekwipunku nie można z powodzeniem uprawiać żadnego sportu. Uświadomiłem to sobie wczoraj, gdy spadła pani z konia. To był nie tylko pani błąd. Część winy spada także na mnie. Sztylpy są potrzebne, żeby jeździec miał niezbędne oparcie i żeby mógł uderzać konia obcasami, kiedy nie chce słuchać. Bez stosownego wyposażenia nie powinno się niczego zaczynać.

— Mam nadzieję, że dzisiaj nie zachowam się tak głupio. — Sybil uśmiechnęła się niepewnie, ponieważ bliskość Davida Rodneya znów wytrąciła ją z równowagi.

— Jestem tego pewien. Najpierw proszę pokazać, czy potrafi pani sama dosiąść konia!

Sybil zdecydowanym krokiem podeszła do wierzchowca stojącego pośrodku placu do jazdy konnej. Bez trudu wskoczyła na grzbiet zwierzęcia. David Rodney pochwalił ją.

Okazało się jednak, że nauka jazdy konnej jest zajęciem bardzo męczącym. Plac był gorący i zakurzony, a David Rodney był surowym nauczycielem. Wykrzykiwał swoje polecenia i kazał Sybil powtarzać wszystkie ćwiczenia tak często, aż w końcu opanowała je bez zarzutu.

Nauczył ją właściwej postawy jeździeckiej, żeby przy każdym ruchu konia nie rzucało już nią do przodu i do tyłu. Nauczyła się także jeździć bez strzemion i trzymać się kolanami boków konia.

Kilka godzin spędził na wyjaśnianiu jej, jak kierować koniem, żeby podczas galopu zaczynał właściwą nogą w zależności od wybranego kierunku jazdy.

David Rodney stał pośrodku placu i od czasu do czasu korygował zachowanie konia lekkimi uderzeniami szpicruty. Sybil starała się prawidłowo wykonywać wszystkie jego polecenia.

Już po krótkim czasie zauważyła, że dostosowywanie się do ruchów konia przestało jej sprawiać trudności. Potrafiła także trzymać spokojnie ręce, nie pociągając bez przerwy za cugle. Często Rodney sam dosiadał konia, żeby jej coś zademonstrować. Sybil podziwiała jego łagodność i intuicję w obchodzeniu się z koniem.

Na końcu każdej lekcji chwycił Sybil, kiedy zsiadała z konia. Za każdym razem trzymał ją przez chwilę w ramionach. A Sybil każdego dnia czekała na ten cudowny moment. Myśl o tym krótkim uścisku dodawała jej sił, kiedy podczas lekcji krzyczał na nią, kiedy dręczyły ją upał i kurz, a komary cięły po ramionach.

Po tygodniu intensywnej pracy David Rodney znów pomagał jej zsiść z konia na końcu lekcji. Tym razem jednak nie wypuścił jej od razu. Obrócił ją ku sobie, że nie mogła uniknąć jego wzroku.

— Bardzo dużo się pani nauczyła, Sybil. Dzisiaj jeździła pani znakomicie. Jutro mogę zacząć z panią naukę skoków. Uważam, że należy to uczcić. Co pani na to, gdybyśmy dziś wieczór wybrali się razem do Potlatch Clubu?

Sama wzmianka o Potlatch Clubie wzbudziła w Sybil niemiłe uczucie. Nie miała zbyt dobrych wspomnień związanych z owym klubem. Za każdym razem, kiedy tam była, działo się coś nieprzyjemnego.

Bardzo ją jednak zaskoczyło, że David Rodney zaprosił ją na kolację, i pochlebiało jej to. Od czasu wyjazdu, Lei David ani razu nie jadł w domu kolacji. Dlatego też przypuszczała, że ma na wyspie nową przyjaciółkę. Zadawała już sobie nawet pytanie, czy rozstanie z Leą nie było związane z tą nową znajomością.

Z jednej strony cieszyła się na wyjście z nim do lokalu, z drugiej trochę się bała być z nim sam na sam.

O czym mieliby rozmawiać? Był jej tak obcy i w szczególny sposób zdawał się nad nią górować. Z pewnością jej paplanina w stylu uczennicy będzie go nudzić. Ostatecznie przywykł bowiem spędzać czas z interesującymi kobietami z towarzystwa. Nad wszelkimi wątpliwościami wzięło w końcu górę pragnienie, żeby być razem z nim.

— Bardzo chętnie wybrałabym się z panem, jeśli uważa pan to za stosowne.

Roześmiał się.

— Trochę to niezwykle sposób wyrażania zgody, lecz jestem zachwycony. Wyjdziemy około ósmej, okay?

Sybil była tak szczęśliwa, że stłumiła nawet swoje złe przeczucia. Gdyby niechętnie przebywał w moim towarzystwie, nie zaprosiłby mnie chyba przecież na kolację, mówiła sobie.

Była bardzo zdenerwowana, a ręce jej drżały, kiedy się ubierała. Chciała wyglądać możliwie jak najładniej.

Ale wynik jej wysiłków bynajmniej jej nie zadowolił. Uznała, że włosy nie układały się w fale w tak naturalny sposób jak zwykle, i próbowała tu i ówdzie zakreślić jakiś loczek.

W rzeczywistości jednak wady te istniały tylko w jej wyobraźni. Popołudniowa lekcja jazdy konnej dodała jej twarzy kolorów i blasku. Jej figura z pełnymi, jędrnymi piersiami i wąską talią była bardzo kobieca. Miała na sobie białą suknię z dżerseju, która jeszcze bardziej uwydatniała jej kształty. Równomiernie brązowa cera prezentowała się wyjątkowo atrakcyjnie na tle białego materiału.

Ponieważ jednak Sybil była bardzo niepewna, znajdowała wiele drobnych usterek. Tutaj coś naciągnęła, tam skubnęła i na koniec czuła się nieswojo.

Zaczęła się szykować o wiele za wcześniej i miała teraz dość czasu, żeby doprowadzić się do szaleństwa. Wreszcie budzik obok łóżka pokazał za pięć ósmą. Sybil udała się do salonu, by tam czekać na Davida Rodneya. Ku jej wielkiemu zdumieniu on już tam był.

— Jak to miło, że jest pani punktualna. Lubię ludzi, którzy się nie spóźniają.

Było to raczej stwierdzenie niż komplement. W drodze do auta Sybil czuła się niezwykle sztywno i niezręcznie.

David Rodney otworzył drzwiczki, i wsiadła do środka. W czasie gdy przechodził na drugą stronę samochodu, wzniosła do nieba krótki akt strzelisty:

Boże, spraw, żeby mi przyszło coś do głowy, o czym mogłabym z nią rozmawiać.

W drodze do klubu problem rozwiązał się sam. David Rodney opowiadał Sybil różne epizody z życia swoich ulubionych koni. Bardzo interesował się hodowlą koni i potrafił przekazać mnóstwo informacji na ten temat.

Sybil była zadowolona, że przeczytała książkę o koniach. Dzięki niej potrafiła wtrącić od czasu do czasu jakąś stosowną uwagę, co wydawało się bardzo mu imponować. Powiedział jej też, że ma ranczo w Nowym Meksyku, gdzie hoduje konie.

— Koniecznie musi je pani kiedyś obejrzeć. Nowy Meksyk to wspaniały kraj. Była tam już pani?

— Nie, ale chętnie go poznam. Czy konie tresowane są według szkoły angielskiej, czy amerykańskiej?

— Robimy jedno i drugie. Mam bardzo dobrego angielskiego trenera, który się troszczy o wszystko. Skupowałem konie z całego świata.

Przed nimi pojawił się klub. Do tej pory wszystko szło dobrze, pomyślała Sybil.

Był niedzielny wieczór i w klubie było niezbyt wielu gości. Pianista znów grał na tarasie.

David Rodney wyjaśnił jej, że orkiestra dzisiaj nie gra, jest zawsze tylko w piątki i soboty.

Usiedli na tarasie i Rodney zamówił butelkę białego wina.

Potem zaczął jej opowiadać o swoich problemach zawodowych, z którymi musiał się zmagać w ciągu dnia. Sybil była zdziwiona, że większość rzeczy rozumie całkiem dobrze. Prawdopodobnie przybliżyło jej te problemy doświadczenie wyniesione z pracy w banku. Nie zastanawiając się wiele, uczyniła propozycję w odniesieniu do jednego z punktów, który Rodney przedstawił jako wyjątkowo skomplikowany.

— To wspomniały pomysł! A sądziłem już, że w ogóle pani nie słuchała. Większość kobiet przestaje słuchać, kiedy rozmowa schodzi na takie tematy. Staram się wprawdzie nie mówić o takich rzeczach przy okazji spotkań na gruncie prywatnym, ale wie pani, jak trudno jest się wyłączyć i nie mówić o tym, co zajmowało człowieka przez cały dzień.

— Pracowałam w Citybank i tam prawie przez rok uczestniczyłam w specjalnym programie szkoleniowym.

Zapytał, czy zna jego przyjaciela, który tam również pracuje, i wymienił nazwisko prezesa rady nadzorczej.

— On nie miał nic wspólnego z programem szkoleniowym — odparła Sybil szelmowsko. Obydwoje musieli się roześmiać. David Rodney ujął ją za rękę.

— Sądzę, że było to trochę głupie pytanie z mojej strony. Zatańczymy? Wkrótce pianista przestanie grać, a o banku i o interesach zdążymy jeszcze potem porozmawiać.

Nie czekając na jej odpowiedź, wstał i wziął ją pod ramię. Poprowadził ją w kąt tarasu, ° gdzie było dość miejsca do tańca, otoczył jej kibić ramieniem i zaczął z nią tańczyć w rytm muzyki.

Wino sprawiło, że Sybil odprężyla się nieco i dopasowywała się do jego kroków lekko i bez wysiłku. Rodney tańczył tak dobrze, jak robił wszystko inne.

Nagle pochylił się ku niej i szepnął jej do ucha:

— Miss Morgan, mam wrażenie, że lekcje jazdy konnej poprawiły również styl pani tańca. A skoro już tak harmonijnie tańczymy ze sobą, chciałbym zaproponować, żebyśmy przeszli na ty. Jeśli uważa to pani za stosowne, mówiąc pani słowami. Co pani o tym sądzi?

Ze zdumienia zrobiła kilka fałszywych kroków i zmieszana podniosła wzrok ku niemu.

— Chciałby pan, żebym nazywała pana Davidem? — Zaśmiała się nerwowo. — Z pewnością będzie to trudne, mister Rodney.

— Chciałbym, żebyś spróbowała. Może powinienem ci dać parę lekcji, żebyś się nauczyła. — Spojrzał jej głęboko w oczy.

— Nie, sędzę, że dam radę sama — powiedziała. — David to jedno z imion, które szczególnie lubię — dodała po chwili rumieniąc się.

Szybko zerknęła na niego. Czy posunęła się za daleko?

Ale to było naprawdę jedno z jej ulubionych imion. Miała wrażenie, że David przez chwilę przytrzymał ją trochę mocniej.

— Sybil to niezwykle imię. Ale mnie podoba się ono szczególnie wtedy, gdy Wong nazywa cię „Sillee”. Muszę jednak przyznać, że w trakcie naszej znajomości były momenty, kiedy w skrytości ducha nazywałem cię ostrzej...

Popatrzyła na niego z boku. Co miał na myśli? Czyżby chciał zrobić aluzję do tej historii z orchideami lub do wybryków Tima? A może miał na myśli coś zupełnie innego?

Prawdopodobnie nigdy nie uchylę rąbka tajemnicy, kto ściał kwiaty, pomyślała. Ale w tej chwili wydawało jej się to zupełnie bez znaczenia.

— Mogę się domyślać — mruknęła.

Jedną rzeczą, jaka w tym momencie liczyła się dla niej, były jej uczucia do Davida. Pragnęła być zawsze tak trzymana przez jego silne ramiona.

Muzyka była nie tylko melodią towarzyszącą ich tańcowi, lecz śpiewała także w jej głowie i jej krwi. Nigdy nie czuła się tak cudownie. Wydawało się, jakby jej zmysły były wyostrzone i pogłębione wszystkie odczucia.

Powietrze było przejrzystsze, gwiazdy znajdowały się bliżej i świeciły jaśniej. Najchętniej dalej by tak tańczyła przez cały wieczór. Jednak powoli goście opuszczali taras i przechodzili do sali restauracyjnej.

Zjawił się kelner i powiedział Davidowi, że kuchnia wkrótce będzie zamknięta. Jeśli chcą jeszcze coś zjeść, muszą się pośpieszyć z zamówieniem.

W sali restauracyjnej kontynuowali przerwana rozmowę o pracy Sybil w banku. Opowiedziała też Davidowi, jak ubiegała się o posadę w jego domu i przedstawiała miss Bevier.

Jej opowiadanie zdawało się go bawić, gdyż śmiał się tak serdecznie i niepomahowanie jak jeszcze nigdy za bytności Sybil. Przeważnie był bardzo poważny.

Sybil była zadowolona. Wyglądało na to, że David się naprawdę dobrze bawi.

Akurat zjedli deser, gdy do ich stolika podeszła młoda parka. Obydwoje byli bardzo atrakcyjni. David przedstawił ich Sybil. Po wymianie kilku grzeczności Sybil przeprosiła i wstała, by pójść do toalety.

W czasie gdy przebywała w jednej z kabin, usłyszała na zewnątrz dwie kobiety, które rozmawiały ze sobą piskliwymi, oburzonymi głosami. Nagle uświadomiła sobie, że mówią o niej!

— To dla mnie niepojęte. Skończył z tą fantastyczną kobietą i uczepił się małej sekretareczki!

Potem drugi głos:

— Co prawda jest niebrzydka, ale gdzie jej do jego poziomu. W każdym razie nie ma odpowiedniej inteligencji ani pozycji społecznej, żeby wyjść za mąż za kogoś takiego jak David Rodney.

— Wyjść za mąż? Chyba żartujesz! Jestem pewna, że tylko z nią sypia. Głównie z tego powodu przecież interesuje się kobietami. David Rodney od śmierci swojej żony więcej miał romansów niż MacDonald hamburgerów.

— Przepuszczalnie masz rację. I prawdopodobnie tylko dla pozoru ona jest jego sekretarką. Ale trudno jej to brać za złe. Rodney ma taki nieprawdopodobny urok, a może lepiej powiedzieć: seksapil?

— Sądzę, że wiąże się to bardziej z milionami na jego koncie. Przyznaję, że i mnie by to pociągało.

Zachichotały, po czym zmieniły temat rozmowy. Zdetonowana Sybil musiała zaczekać, aż obydwie opuszczą umywalnię i usłyszy odgłos zamykanych drzwi.

Miotaly nią sprzeczne uczucia. Z jednej strony była bardzo zła, z drugiej rozmowa kobiet dotknęła jej czułego punktu.

Czyż sama nie zadawała już sobie wystarczająco często pytania, dlaczego David Rodney interesuje się właśnie nią? Nie znajdowała żadnego wyjaśnienia. Kobiety w umywalni mówiły, że chce się tylko przespać z każdą kobietą. Nie wierzyła, żeby tak było.

Ale tak bardzo górował nad nią i znał się na tylu różnych sprawach. Jak mogłaby dotrzymać mu kroku? Nie, z pewnością nie była dla niego odpowiednią partią. Jednakże podziwiała go i zakochała się w nim.

Ten wieczór przebiegał tak harmonijnie aż do tego głupiego incydentu. Ale nie chciała dać się znowu oslepić. Znowu powzięła postanowienie, że będzie trzeźwo patrzeć na świat i nie straci kontaktu z rzeczywistością. Nauczyło ją tego doświadczenie wyniesione z przygody z Frankiem.

Bywały marzenia, których nie dało się realizować. Chcąc, nie chcąc musiała się z tym pogodzić. Komuś takiemu jak David Rodney nigdy nie przyjdzie do głowy ożenić się z kobietą taką jak ona. Jeśli taką miała



nadzieję, rozczarowanie było pewne. Okłamywanie samej siebie nie miało przecież sensu.

Nagle Sybil poczuła się bardzo przygnębiona. Tak trudno było pogodzić się z prawdą, kiedy kochało się kogoś takiego jak David Rodney!

Zasmucona wróciła do swego stolika. Davida tam nie było. Pewnie spotkał znajomych lub został odwołany od stolika z jakiegoś innego powodu.

Sybil rozejrzała się po sali, ale nie mogła go nigdzie dostrzec. Kiedy tak siedziała sama i czekała na niego, czuła się bardzo nieswojo. Miała wrażenie, że wszyscy się na nią gapią i rozmawiają o niej.

Niespokojnie wierciła się na krześle i nie wiedziała, co zrobić z rękami. Najpierw położyła je na stole, potem na kolanach. Jedno i drugie wydawało jej się trochę sztywne i nazbyt układne. Oparła się niedbale o oparcie krzesła, ale miała wrażenie, że również ta pozycja nie jest właściwa.

Na szczęście kelner zostawił na stoliku kartę. Sybil zaczęła ją studiować z zapalem, którego by się nie powstydzil student przed egzaminem. W końcu, po czasie długim jak wieczność, zjawił się z powrotem przy stoliku David Rodney.

— Niestety muszę natychmiast wracać! Ważny telefon z Chile! Bardzo mi przykro, że muszę tak nagle zakończyć ten wieczór.

Był już w drodze do drzwi. Nastrój wieczoru minął bezpowrotnie. Myśli Rodneya zajmował już całkowicie oczekiwany telefon w sprawach zawodowych.

Sybil jednakże odczuła ulgę, gdyż dzięki temu nie zauważył, że zaszła w niej zmiana.

Następnego ranka David kazał ją przywołać.

— Umiesz pisać na maszynie? — zapytał. — Jestem zavalony pracą. Nazbierało się mnóstwo papierów, które ktoś powinien dokładnie przeczytać, żeby mnie zorientować w ich zawartości. Jeśli nie masz nic do roboty, byłbym rad, gdybyś mogła to za mnie załatwić.

Sybil chętnie przystała na jego propozycję, gdyż chciała mieć jakieś zajęcie. Oderwie się przynajmniej od ciągłego roztrząsania własnych problemów.

Poza tym spodobał jej się ten pomysł, gdyż mogła być blisko niego. Dla Sybil był w dalszym ciągu mister Rodneyem, mimo że nazywała go teraz Davidem. Pogrążyła się całkowicie w pracy, którą uważała za bardzo interesującą. Ku jej wielkiemu zdziwieniu David wydawał się wysoko cenić jej opinie.

W południe Wong przynosił im lunch na tacy. Czasami jedli w gabinecie i dyskutowali. Czasami jednak wychodzili również na taras i siadali w cieniściej kacie.

Następne dni przebiegały jakby według określonego planu. Sybil wstawiała wcześnie i szła popływać w basenie, ponieważ uważała zrobienie kilku rundek przed pracą za odświeżające. Z początku była sama, potem dołączał do niej David. Później pływali razem każdego ranka.

O wpół do dziewiątej Wong przynosił im śniadanie, które jadali obok basenu. Potem przystępowali do pracy, którą kończyli dopiero wczesnym popołudniem.

Sybil szła wtedy do swego pokoju i spała pół godziny.

O trzeciej spotykała się z Davidem przy stajniach na lekcje jazdy konnej. Żywiła obawy, że wkrótce mu się znudzą te codzienne lekcje. Jemu jednak zdawały się sprawiać radość i zadowolony był z jej postępów tak samo jak ona.

Kolacje w dalszym ciągu jadał poza domem. Sybil często zastanawiała się nad tym, dokąd może chodzić. Czasem myślała, że byłoby lepiej, gdyby pokazywał się publicznie z jakąś inną kobietą, żeby umilkły plotki na jej temat.

Lecz w następnej chwili ta sama myśl czyniła ją bardzo nieszczęśliwą, i Sybil zdawała sobie sprawę, jaka jest zazdrosna. Wciąż wyobrażała sobie, jak David chodzi do lokali z inną kobietą. Próbowwała wprawdzie czytać i jakoś się rozerwać, ale niezupełnie jej się to udawało.

W czasie, który spędzała z Davidem, Sybil dokładała wszelkich starań, żeby zachować dystans i nadać ich kontaktom charakter głównie zawodowy. Zauważyła jednak wkrótce, że nie bardzo jej to wychodzi.

Z każdym dniem, jaki spędzali razem, rosło w niej uczucie do Davida. Zauważyła także, iż David obserwuje ją podczas pracy. Udawała wtedy, że nie widzi, jak się w nią wpatruje.

Pewnego popołudnia David zaproponował, żeby zamiast zwykłej lekcji zrobili przejażdżkę wzdłuż plaży. Sybil zgodziła się z ochotą, i wkrótce potem zawrócili konie w kierunku plaży. Nieodparcie nasunęło jej się wspomnienie, jak jechała tą drogą po raz pierwszy. Od tamtej pory nauczyła się trzymać w siodle tak pewnie, że nie potrafiła zrozumieć swego ówczesnego strachu.

Kiedy dotarli na plażę, David ruszył galopem, jak wtedy. Tym razem Sybil dała jednak swemu koniowi ostrogę i podążyła za nim. Jego ogier był wprawdzie szybszy od jej konia, lecz bez trudu dotrzymywała Davidowi

kroku. Miała wiatr we włosach i słoneczne ciepło na plecach. Czuła się tak lekko i swobodnie! Życie było wspaniałe i cudowne!

David zatrzymał swego konia. Dotarli do miejsca, gdzie skały dochodziły do samego morza, tworząc w ten sposób naturalną granicę plaży.

— Potrafisz rozwinąć ładną szybkość, Sybil! — pochwalił ją David i uśmiechnął się do niej.

— Było cudownie. — Sybil była zupełnie zdyszana. — Pierwszego dnia za nic w świecie bym nie pomyślała, że jazda konna kiedykolwiek będzie mi sprawiać taką frajdę.

Z powrotem szli pieszo prowadząc konie za cugle. Przed nimi słońce tonęło w morzu płomienną czerwienią. Kiedy przechodzili obok Potlatch Clubu, wiele małych żaglówek wracało właśnie do portu. Sybil spytała Davida, czy już kiedyś żeglował.

— Owszem, i to bardzo często. Ale tylko na dużych żagłowcach lub jachtach. Na małych łodziach znam się słabiej. Czyżbyś potrafiła obchodzić się z małą łódką?

Sybil przytaknęła skinieniem głowy.

— Jako dziecko często spędzałam wakacje nad małym jeziorem. Tam często pływałam żaglówką.

— W takim razie moglibyśmy jutro wybrać się na żagle! Może ty byś mnie dla odmiany nauczyła czegoś? J Zwłaszcza że do tej pory codziennie jeździliśmy konno?

— Byłoby to możliwe? Chodzi mi o to, czy te łodzie nie są własnością klubu.

— Owszem, są, ale jego członkowie mogą z nich korzystać, a ja nim właśnie jestem. Nie byłoby zatem żadnego problemu.

Sybil spojrzała na Davida błyszczącymi oczyma. Ledwo udało jej się zachować chłód i rezerwę, gdyż była przeszczęśliwa.

Z mojej twarzy na pewno można wyczytać wszystko, pomyślała. Ale taka była szczęśliwa, że było jej to obojętne.

Następnego dnia powędrowali wzdłuż plaży do klubu. Oboje byli w strojach kąpielowych. Sybil patrzyła z podziwem na silne ciało Davida. Ramiona i nogi miał muskularne jak sportowiec.

Kiedy spychał łódź na wodę, postanowiła mu pomóc. Mimo że główny ciężar spoczywał na nim, spodobała jej się myśl, żeby robić coś wspólnie z nim.

Powiedziała mu, jak postawić maszt i podnieść żagle. Kiedy się z tym uporali, wiatr uderzył w żagle i popchnął łódkę na fale. Woda prysnęła wysoko, i drobna piana pokryła ich ciała i twarze.

Łódź przechyliła się lekko na bok, więc usiedli obydwój na przeciwnych burtach, żeby zapewnić równowagę.

Sybil prowadziła żaglówkę ostro pod wiatr. David siedział tak blisko niej, że jego noga przylegała do jej szczupłej opalonej nogi. Ledwo mogli rozmawiać, gdyż wiatr porywał wszelkie słowa.

Sybil pokazała Davidowi, jak trzeba obrócić miecz, żeby przenieść ciężar łodzi na drugą stronę.

Kiedy wykonali ten manewr po raz trzeci lub czwarty,

David objął nagle ramieniem jej nagą talię i przycisnął swoje wargi do jej ust.

Miała wrażenie zupełnego zatopienia się w tym pocałunku, który odbierał jej oddech. W pewnej chwili porwał małą łódkę nagły podmuch wiatru. Ponieważ nikt nie trzymał steru, uderzenie wiatru wystarczyło do tego, by łódka się wywróciła. David i Sybil wpadli razem do wody. On schwycił ją i przycisnął mocno do siebie.

— Dlaczego to zrobiłeś? — Posłała mu pełne oburzenia spojrzenie. — Wylądowaliśmy w wodzie...

— Dlatego, że od dawna chciałem trzymać cię w ramionach — odparł David z powagą. W dalszym ciągu trzymał ją mocno.

— Chodzi mi o to, dlaczego wywróciłeś łódź. Pierwsze prawo żeglarskie mówi: Zostaw kapitana w spokoju.

— Prawa są po to, żeby je łamać. W tym wypadku opłaciło się. Jak inaczej mógłbym przyciągnąć twoją uwagę, żeby ci powiedzieć, że cię kocham?

Sybil spojrzała na niego zmieszonym wzrokiem. Do tej pory jej myśli koncentrowały się wyłącznie na wywróconej żaglówce. Z wolna dotarło do niej, co David powiedział przed chwilą.

Zachowała jednak przytomność umysłu. Najpierw należało się zająć łodzią. Tak ją nauczono.

— Pomóż mi — powiedziała najspokojniej, jak potrafiła. — Musimy obrócić dziób do wiatru.

Podniosła rękę, żeby stwierdzić, z jakiego kierunku wieje wiatr. David był dobrym pływakiem, więc wkrótce udało im się odpowiednio ustawić żaglówkę. Przez dobrą chwilę pluskali się jeszcze w wodzie dookoła łodzi, gdy tymczasem Sybil próbowała uchwycić rumpel. Wiedziała, że kiedy tylko łódź zostanie wyprostowana, muszą się natychmiast postarać wejść do środka, bo w przeciwnym razie gwałtowny wiatr wywróci ją ponownie.

— Teraz oboje równocześnie po tej stronie! — zawołała do Davida. — Uchwyć rękami drugą burtę, a nogami spróbuj tutaj przycisnąć w dół!

Łódź powoli wróciła do równowagi, a żagiel, leżący dotąd płasko na wodzie, wyprostował się. Wspięli się na pokład. Sybil znalazła jakieś naczynie, które wręczyła Davidowi.

— Wylewać wodę! — rozkazała.

— Aye, aye, sir — odpowiedział z udawanym respektem. — Jesteś gorsza niż kapitan Blye — zażartował.

Sybil uśmiechnęła się, lecz przez cały czas nie spuszczała z oczu żagla.

— Wiesz, że wyglądasz dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy? Jak utopiony szczur, albo lepiej: jak syrena. Ale bardzo słodka. Wydaje się, że nie masz pojęcia, jak wyglądałaś w tych mokrych rzeczach, które lepiły ci się do ciała.

Sybil posłała mu spojrzenie, żeby się przekonać, czy jej nie nabiera. Ale twarz Davida była zupełnie poważna.

— Prawdopodobnie wyglądałam tragicznie. — Zaśmiała się niepewnie.

— Przeciwnie, wyglądałaś fantastycznie. Masz bombową figurę. — Położył rękę na jej nodze. Dotknięcie jego ręki przeszło ciało Sybil niczym porażenie prądem. — Nigdy jeszcze nie dotykałem skóry tak miękkiej jak twoja. Twoje ciało może odebrać mężczyźnie rozum. Wiesz o tym?

Sybil starała się ze wszystkich sił utrzymać swe uczucia pod kontrolą. Była kompletnie zmieszana.

Jakoś musi spróbować doprowadzić łódź do brzegu. Cała sytuacja wydawała jej się nierzeczywista. Ledwo wierzyła własnym uszom. To, co powiedział jej David, nie mogło przecież być prawdą!

Zachodzące słońce rzucało swój różowy blask na dwoje żeglarzy, łódkę, fale i piasek w kolorze kości słoniowej.

Sybil zmrużyła oczy. Wszystko w niej wołało: Bądź ostrożna!

Najchętniej zapytałaby Davida: Czy mogę ci wierzyć? Mówisz to serio? Ach, Davidzie, kocham cię!

Milczała jednak kierując łódź w stronę plaży. Kiedy zbliżali się do brzegu, zwolniła i podniosła miecz, żeby żaglówka mogła dryfować w kierunku brzegu. David zeskoczył i brodząc w wodzie kilka ostatnich metrów przyciągnął łódź do pomostu.

— Dobra robota, kapitanie. Z tobą mógłbym żeglować wszędzie o każdej porze — powiedział pomagając jej wysiąść z łodzi.

W ciągu następných minut pochłonięci byli składaniem masztu i chowaniem żagli oraz reszty osprzętu. Sybil odryglowała ster i rumpel, po czym wspólnie podnieśli łódź i umieścili ją na tym samym poziomie co pozostałe.

David przyniósł ręczniki kąpielowe, które zostawił w innej łodzi. Jednym z nich zaczął delikatnie wycierać Sybil. Najpierw tarł jej ramiona, potem plecy i nogi, a na koniec osuszył jej twarz.

Przyjemne ciepło rozchodziło się po jej ciele. Głowa zaczęła pracować, lecz nie mogła się pozbyć tego wrażenia nierealności.

Wytarłszy ją do końca, David wycisnął na jej czole przelotny pocałunek. Ale nie wspomniał już nawet słowem o tym, co powiedział wcześniej. Sybil znów miała wrażenie, że wszystko jej się tylko śniło.

— Chodź, wracajmy do domu, żebyś mogła włożyć suche rzeczy. Masz już gęsią skórkę.

Sybil rzeczywiście drżała, lecz bardziej z podniecenia.

— Chciałbym dziś wieczór zjeść z tobą kolację. Jeśli się zgodzisz, poproszę Wonga, żeby nam podał kolację przy basenie.

— Chętnie, jeśli naprawdę chcesz tego.

— Oczywiście, że chcę. Czy w przeciwnym razie bym cię pytał?

Sybil bezradnie pokręciła głową. Zawsze potrafił tak odpowiedzieć, że jej uwagi wypadały głupio. Był taki pewny siebie.

David otoczył ją ramieniem, żeby ją ogrzać, i poszli wzdłuż plaży aż do ścieżki prowadzącej do domu.

Odprowadził ją do jej pokoju i poprosił, żeby się pośpieszyła, ponieważ jest bardzo głodny.

Sybil jednak usiadła na łóżku i zaczęła się zastanawiać. Co się stanie podczas kolacji? To przecież niemożliwe, żeby naprawdę obchodziła Davida.

Ale musiała przyznać, że ostatnie dni, jakie z nim spędziła, były najszcześniejszymi dniami w jej życiu.

Przypomniała sobie coś, co powiedział podczas jednej z lekcji jazdy: „Nawet jeśli wątpisz w siebie, zachowuj się tak, jakbyś była zupełnie pewna swojej sprawy. W przeciwnym razie koń poczuje twoją niepewność i przestanie cię słuchać”.

Słowa te wydały jej się dobrą radą także na dzisiejszy wieczór. Jeśli okaże pewność siebie, może wszystko będzie dobrze.

Wzięła ciepłą kąpiel, po czym włożyła białe spodnie i jasnoróżowy pulower, gdyż wieczór był chłodny.

Przechodząc między krzewami osłaniającymi basen, stanęła jak wryta. Ze zdumienia szeroko otworzyła oczy. Palmy wokół basenu ozdobione były małymi światełkami, a po ciemnej wodzie pływały czerwone kwiaty i świece.

Zachwycona tym świątecznym widokiem podbiegła do Davida, który czekał na nią na drugim końcu basenu.

— Ależ to czarujące!

— Zapomniałaś, że dzisiaj Wigilia?

— Rzeczywiście zapomniałam. To znaczy, parę dni temu pomyślałam o niej, datując jakiś list. Człowiek nie czuje tutaj wcale nadchodzących świąt Bożego Narodzenia, bo przez całe dni pali słońce, a o śniegu nie ma co marzyć. Ale tu jest cudownie, z tymi wszystkimi światłami.

Nagle uświadomiła sobie, że David musiał planować ten wieczór już od dłuższego czasu. Wong nie zdążyłby wyczarować tego wszystkiego w ciągu krótkiego czasu, kiedy się przebierała.

Uszczęśliwiona spojrzała na niego.

— Święty Mikołaj i jego anioły miały pewnie mnóstwo pracy — powiedziała.

— Ależ skąd, nie trzeba się wcale zdawać na nich, kiedy ma się w domu czarodzieja! — oświadczył David i obrócił się.

Nagle zjawił się Wong i z uśmiechem pochylił się w ukłonie.

— Wesołych Świąt, wesołych Świąt! — zawołał promieniejąc na całą twarz.

— Wong, przynieś nam, proszę, szampana.

— Tak, mistel Lodney. Wong oddalił się spiesźnie.

— Czy mój świąteczny anioł zechce zająć honorowe miejsce? — David podsunął jej krzesło, i Sybil usiadła. — W dzisiejszy wieczór będzie nawet nadziewany indyk.

Oczy Sybil błyszczały.

— Nie oszczędzono kosztów ni starań, prawda? — zapytała żartując.

— Tak jest.

David usiadł obok niej, ponieważ stół nakryty był w ten sposób, że obydwójce mieli widok na świątecznie przystrojony basen.

Ponownie zjawił się Wong niosąc wiaderczko na lód, w którym stała butelka szampana. David zręcznie otworzył butelkę. Korek wyskoczył z szyjki z obiecującym hukiem. W następnej chwili wyborny musujący trunek pieniał się już w podstawionych w tym celu kieliszkach.

David spojrzał na Sybil z powagą, po czym wziął jej dłoń w swoją rękę. Często już podczas pracy podziwiała jego szczupłe, wrażliwe palce. Teraz jej palce o błyszczących paznokciach spoczywały w jego dłoni.

— Sybil, przypominasz sobie jeszcze, co powiedziałem do ciebie dziś po południu? — spytał cicho.



— Tak. Ale jestem pewna, że nie to miałeś na myśli. Już w porządku, nie musisz mi niczego wyjaśniać.

— Kiedy wreszcie przestaniesz deprecjonować samą siebie? Miałem na myśli to, co powiedziałem. Obserwowałem cię od chwili, kiedy cię poznałem, gdyż od razu uznałem cię za bardzo sympatyczną i bardzo słodką. Gdy jednak zauważyłem, jak bardzo moje uczucia do ciebie obciążają mój stosunek do Lei, byłem zły na ciebie — i na siebie samego. W gruncie rzeczy wiedziałem od razu, że jestem zakochany w tobie, a nie w Lei. Ale...

— Davidzie — przerwała mu gorączkowo Sybil — jak to możliwe, żebyś się we mnie zakochał? Ty jesteś bardzo bogaty, a ja nie mam pensa. I jestem wszystkim, tylko nie tym, co ludzie z twoich kręgów uważaliby za odpowiednią dla ciebie partię. Nie wiem nawet, ile noży i widelców trzeba położyć przy każdym miejscu i do czego podaje się poszczególne kieliszki. — Wskazała perfekcyjnie nakryty stół, po czym ciągnęła ściszym głosem: — W Potlatch Clubie usłyszałam przypadkiem, jak dwie kobiety rozmawiają o mnie. Nie mogły nawet pojąć, że zabrałeś mnie, sekretarkę, do lokalu na kolację.

— Chwileczkę, nie tak szybko! Wydaje mi się, że nie rozumiesz mnie właściwie. Ty i ja moglibyśmy cudownie pracować razem. Jesteś bardzo inteligentna i byłabyś mi wielką pomocą. Często podróżuję do wszystkich krajów świata. Chętnie bym cię zabierał — jako moją sekretarkę i asystentkę, i jako moją... przyjaciółkę. Byłoby to dla ciebie wielkie przeżycie. Mogłabyś poznać kraje, których inaczej nigdy byś nie zobaczyła. Podczas tych podróży często się czuję samotny. Potrzebuję cię i chciałbym, żebyś była ze mną.

Uściskał jej dłoń i chciał przyciągnąć Sybil do siebie.

Siedziała osłupiała i patrzyła na niego. Z wolna pojęła, co David przed chwilą powiedział. W głowie miała kompletny chaos.

— Masz... masz na myśli to, że podróżowałabym z tobą i żyła z tobą bez ślubu? — Omal nie zakrzuszyła się własnymi słowami.

— Ślub? — spytał David z lekką drwiną w głosie. — Wielki Boże, kto tu mówi o ślubie? Kto jeszcze bierze ślub w dzisiejszych czasach?

Każde jego słowo spadało na nią jak uderzenie bicia.

— Nigdy bym tak nie mogła, mister Rodney. — Mówiła bardzo spokojnie, lecz łzy napłynęły jej do oczu, i mimo że próbowała je powstrzymać, ciekły jej po policzkach. — Nie, tak bym nie mogła!

Twarz Davida zachmurzyła się.

— Co to znaczy, że byś nie mogła? Kiedy tu przyjechałem, byłaś przecież razem z tym MacIntyre. Nie rób głupstw, Sybil! Takie propozycje nie trafiają ci się co dzień. Przy moich znajomościach mogę ci otworzyć wiele drzwi, które w przeciwnym razie byłyby przed tobą zamknięte. Przy pomocy moich pieniędzy mógłbym spełnić każde twoje życzenie. I możesz mi wierzyć, że zrobiłbym dla ciebie wszystko. Miałabyś niezliczone korzyści, a jeśli nasze wspólne życie przestanie ci się podobać, w każdej chwili będziesz mogła z powrotem być wolna.

Sybil wstała tak gwałtownie, że trąciła stół i z kieliszków powylewał się szampan.

— Moja odpowiedź brzmi „nie”, mister Rodney! Nie mogę nawet powiedzieć: dziękuję, nie — wybuchnęła patrząc na niego błyszczącymi oczyma. — Małżeństwo to dla mnie bardzo ważna rzecz. A kiedy się kogoś kocha, chciałoby się go także poślubić!

Sybil rzuciła się na oślep przed siebie. W pośpiechu potknęła się i upadła, ale natychmiast się podniosła i pobięła dalej w kierunku plaży.

— Sybil, wróć! Rozkazuję ci natychmiast wrócić! — usłyszała za sobą wołanie Davida, lecz gwałtownie tylko potrząsnęła głową. Nie, nigdy! Nigdy!

## Rozdział 10

Sybil pędziła, jakby gonił ją diabeł. Serce biło jej jak szalone i czuła ból w płucach.

Przystanąła na krótko i próbowała głęboko oddychać. Zaraz jednak usłyszała w oddali wołanie Davida i pobięła dalej. Zatrzymała się tylko na chwilę, żeby szybko zdjąć buty, gdyż wysokie obcasy wbijały się w miękką ziemię, i miała wrażenie, że się nie ruszy z miejsca.

Kiedy zbliżała się do plaży, usłyszała, że David nadrobił stracony dystans i depta jej już niemal po piętach. Chciał ją przypuszczalnie dogonić. Zmusiła się do przebiegnięcia jeszcze kawałka, po czym ukryła się, niczym ścigane zwierzę, w gęstych krzakach na skraju plaży. Starła się oddychać możliwie jak najciszej.

Ze swej kryjówki widziała, jak Rodney dotarł do miejsca, gdzie wąska ścieżka dochodziła do plaży. Zrobił w piasku kilka chwiejnych kroków i zatrzymał się. Przeszukiwał wzrokiem plażę i co jakiś czas wykrzykiwał jej imię. Stał tak blisko pięć minut, starając się odkryć ją w bladym świetle księżyca. W końcu odwrócił się i odszedł.

Sybil jeszcze przez chwilę leżała nieruchomo. Potem jednak, gdy napięcie ustąpiło, wybuchnęła nie kontrolowanym szlochem.

Leżała w swej piaszczystej kryjówce i rozmyślała nad swą rozpaczliwą sytuacją. Znow zaufała mężczyźnie i zakochała się w nim! I znow doznała gorzkiego rozczarowania!

Czuła ból w piersiach spowodowany biegiem i próbą stłumienia szlochu. Znacznie bardziej dręczyła ją jednak wewnętrzna troska. Miała wrażenie, jakby serce zamierzało jej pęknąć. Dwa razy w krótkim odstępie czasu wystawiono ją do wiatru, to było takie niesprawiedliwe.

Sybil leżała na wilgotnym piasku ponad godzinę, ze strachu, że David może na nią czekać na ścieżce albo obok domu.

W końcu pozbierała się, gdyż poczuła dotkliwy chłód. Dygotała z zimna i wyczerpania. Powoli podeszła pod osłonę drzew do budynku. W żadnym wypadku nie chciała niespodziewanie natknąć się na Davida.

Oczyrna oślepiłymi od łez patrzyła na kwiaty i pływające po wodzie basenu świece. Pryśł cały czar, skończyła się uroczystość. Skończyła się, zanim się naprawdę zaczęła.

Przemknęła obok basenu, upewniwszy się, że nie ma tam już Davida. Ostatkiem sił dowlokła się do swego pokoju.

Osunęła się na łóżko i miała wrażenie, jakby wszystko w niej było martwe. David Rodney nie chciał od niej niczego innego niż Frank MacIntyre. Miała być jego kochanką.

Na tę myśl twarz jej zapłonęła wstydem. Czuła się zbrukana i poniżona. W gardle ją paliło od nie wypłakanych łez.

Ale sen wyzwolił ją wkrótce od wszelkich dręczących myśli.

Kiedy Sybil obudziła się rano i rozejrzała dokoła, powitał ją znowu słoneczny, promienny dzień. Bolała ją głowa i miała zeszywniały kark.

Nie od razu przypomniała sobie przyczynę swej niedyspozycji. W pierwszej chwili nie potrafiła sobie także wyjaśnić wypełniającego ją uczucia zagubienia i smutku.

Stopniowo uprzytomniła sobie ostatnie wydarzenia poprzedniego wieczoru i jego nieszczęśliwe zakończenie.

Poruszając się sztywno i powoli, lecz z wielką determinacją podniosła się z łóżka.

Chciała natychmiast pójść do Davida Rodneya i zażądać, żeby jej umożliwiono powrót do Nowego Jorku. Jej nowojorskie mieszkanie było wprawdzie jeszcze wynajęte i nie wiedziała, gdzie by miała mieszkać, ale musiała stąd odejść. Nie było innej możliwości.

Sybil ubrała się i nie czyniąc nawet próby ukrycia swojej opuchniętej twarzy pod makijażem, udała się od razu do gabinetu Rodneya. Nie było go tam. Jego biurko było puste jak wymiół. Papiery, które zwykle wałały się wszędzie, zniknęły.

Sybil udała się na poszukiwanie Wonga.

— Wong, wie pan, gdzie jest mister Rodney? — zapytała Chińczyka krzątającego się w kuchni. — Natychmiast muszę z nim pomówić. To bardzo ważne.

— Missee Sillee, on dziś lano wyjechać, baldzo, baldzo wcześniej. — Wong z ubolewaniem wzruszył ramionami.

Spojrzała na niego zupełnie zaskoczona.

— Zostawił mi jakąś wiadomość? — zapytała po chwili z wahaniem.

— Nie, missee. — Wong gwałtownie pokręcił głową. Sybil trafiło to jak apopleksja. Nogi zaczęły jej drżeć.

Odwróciła się i niepewnym krokiem podeszła do barku. Tam naląła sobie koniaku i opadła na skórzaną sofę przed drzwiami na taras.

Nie widzącym wzrokiem patrzyła nieruchomo na słoneczny krajobraz i starała się uchwycić jakąś jasną myśl. Musiała spróbować spokojnie zastanowić się nad swoją sytuacją.

Co powinna teraz zrobić? Nie miała dość pieniędzy, żeby kupić bilet lotniczy do Nowego Jorku. Jej pensja została prawdopodobnie przekazana na nowe konto w Nowym Jorku, które miss Bevier otworzyła wtedy na jej nazwisko. Tyle że ona, Sybil, nie miała czeków pozwalających pobrać pieniądze z tego konta.

Jeśli napisze do Nowego Jorku, żeby jej przesłano pieniądze, musi się liczyć z tym, że wszelkie formalności potrwać dłużej niż tydzień. Do swego ojca także nie chciała się zwracać, gdyż nie wspomniała mu przecież, że przyjęła tę posadę na Eleutherze. Pozostawał tylko Billy. Nie, to także nie wchodziło w rachubę. Wolałaby popłynąć z powrotem wplaw niż usłyszeć jego „od razu ci przecież mówiłem”.

Sytuacja wydawała się zupełnie bez wyjścia. A dziś w dodatku był pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia! Utknęła na tej wyspie bez żadnej możliwości wydostania się z niej.

Sybil zacisnęła wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem. Przypomniała sobie szczęśliwe święta z lat swego dzieciństwa.

Jakże podniecona kładła się zawsze wieczorem do łóżka, ciekawa już, co rano będzie leżeć pod choinką. W nocy ojciec dzwonił dzwonkiem przed drzwiami jej pokoju. Przez długi czas wierzyła, że to dzwonki u sari świętego Mikołaja, który jechał w powietrzu.

Potem chowała się głębiej pod kołdrę ze strachu, że ktoś zauważy, iż nie śpi.

Pamiętała jeszcze swoją pierwszą lalkę z pięknymi jasnymi włosami, w których tkwił diadem z błyszczących kamieni. Sukienka lalki była niebieska i obszyta jasnymi koronkami.

Jakże wtedy była szczęśliwa! Dobrze przynajmniej, że matka ani ojciec nie mogli jej teraz widzieć, zrozpaczonej i z kieliszkiem koniaku w drżącej dłoni.

Nawet w ubiegłym roku święta Bożego Narodzenia sprawiły jej mnóstwo radości. Wraz z grupą młodych ludzi pojechała do Vermont. Tam wynajęli domek. Przybrali drzewko i powiesili na drzwiach zielony wieniec.

Uczestniczyli tam w kursie narciarskim. Jakie to było cudowne, kiedy wracali wieczorami z klarownego zimowego powietrza do przytulnego ciepłego domu. Stanowili wesołą paczkę, i Sybil wspominała z rozrzewnieniem tamte żarty, rozmowy i dowcipne zabawy. Takie towarzystwo i rozrywki były stosowne do jej wieku.

Skąd przyszedł jej do głowy ten zwariowany pomysł, -żeby szukać szczęścia na opuszczonej przez Boga karaibskiej wyspie? Miała nadzieję na romans i marzyła o wielkiej przygodzie.

I co z tego wyszło?

Sybil żałowała wszystkich swoich błędów, a najbardziej żałowała samej siebie, całkowicie poddała się rozpaczy.

Przez chwilę siedziała nieruchomo, potem jednak zdecydowała się działać. Musiała coś przedsięwziąć. Jediną możliwością działania było skontaktowanie się z nowojorskim bankiem, żeby dowiedzieć się, czy pensja w ogóle wpłynęła na jej konto. Jeśli nie, będzie musiała zadzwonić do miss Bevier, żeby ją poprosić o radę i pomoc. Naturalnie upłynie trochę czasu, nim nadejdzie odpowiedź z Nowego Jorku. Dopóki to nie nastąpi, nie miała wyboru, musiała siedzieć dalej na tej wyspie.

Teraz ta perspektywa nie wydawała się już zbyt kusząca. Nawet myśli, że będzie mogła teraz do woli leniuchować i wylegiwać się w słońcu, stanowiła niewielką pociechę. Bezczynności potrzebowała teraz najmniej.

Sybil zastanawiała się, czy nie pójść do stajni i kazać sobie osiodłać konia. Ale również ten pomysł wzbudził w niej niewielki zapal. Czowała się tak rozbita, a poza tym po koniakui nie była już w stanie jeździć konno. Wędrując bez celu po domu stopniowo uspokajała się. Zajrzała nawet na chwilę do pokoju Tima. Ciekawe, co teraz robi biedny malec.

Mam nadzieję, że przeżywa piękniejsze święta niż ja, pomyślała. Chciała już zamknąć drzwi, gdy na jednym z regałóv odkryła farby wodne, które pomogły jej kiedyś znaleźć zajęcie dla Tima. Ponieważ nie wiedziała, co zrobić z czasem, wzięła farby ze sobą. Chciała spróbować swych sił w malowaniu.

Usiadła na małym trawniku przed swoim pokojem naprzeciwko drzewa hibiskusa, którego czerwone kwiaty tak ją oczarowały. Tak się skoncentrowała na utrwaleniu na papierze jaskrawej barwy kwiatóv, że nie czuła upływu czasu.

Kiedy podniosła wzrok znad swojej pracy, słońce stało już nisko na horyzoncie. Podjęła wiele prób oddania piękna kwiatóv, ponieważ za każdym razem miała wrażenie, że nie udało jej się osiągnąć zamierzonego efektu. Teraz napoczęte obrazy leżały porozkładane" dookoła niej na trawniku.

Sybil uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy w życiu nie pracowała nad żadną rzeczą z tak wielkim oddaniem. Jeszcze bardziej zdziwiło ją, że w trakcie malowania zupełnie zapomniała o swych troskach.

Nie myślała o nich nawet minuty, i teraz wypełniało ją uczucie spokoju i zadowolenia, jakiego od dawna nie zaznała. Wprawdzie niezbyt była usatysfakcjonowana efektami swoich prób malarskich, ale tworząc coś, była zadowolona i szczęśliwa.

Z wielką ulgą odebrała następnego dnia telefon od kapitana portu, który poinformował ją, że przybył właśnie statek z ostatnią dostawą. Przez Wonga przekazała John-Johnowi, że chce pojechać do wioski. Następnie poszła do gabinetu Rodneya napisać list do banku.

Ze smutkiem rozejrzała się po znajomym pomieszczeniu. Tyle godzin tutaj spędziła pracując razem z Davidem!

Podeszła do okna i popatrzyła na szerokie niebieskie morze. Ostatnia noc z Davidem w dalszym ciągu wydawała jej się koszmarem. Jak on mógł zrobić jej taką bezwstydną propozycję? Na myśl o Davidzie Sybil zauważyła, że znów staje się niespokojna i smutna.

Zjawił się John-John, i wyruszyli w drogę do Governor's Harbour. Tam Sybil zaniósła list na pocztę. Mały budynek przypominał jej historię z Frankiem, co bynajmniej nie poprawiło jej nastroju. Szybko przeszła na drugą stronę ulicy i udała się do biura kapitana portu.

— Na pewno cieszy się pani, że ostatnia przesyłka wreszcie nadeszła — powiedział z uśmiechem. Wydawał się zadowolony ze spotkania z Sybil.

— Owszem. Kiedy wszystko tutaj załatwię, będę mogła wrócić do domu — odparła z naciskiem.

W domu co prawda, stwierdziła w duchu, też czeka mnie niewiele dobrego, ale zawsze to lepsze niż być tutaj.

Rozpakowywanie skrzyń sprawiło jej teraz o wiele mniej radości niż za pierwszym razem. Zawierały one przeważnie artykuły gospodarstwa domowego i zapasy. Puszek i butelek było tyle, że można by wypełnić nimi supermarket. Sortowanie butelek wina okazało się dosyć skomplikowane. Wymagało od Sybil pełnej koncentracji, gdyż musiała postępować w myśl pisemnych wskazówek miss Bevier.

Jej dni znów przebiegały według określonego schematu. Zaczął się ostatni etap jej pobytu na wyspie. Wróciła pamięcią do swoich pierwszych dni w tym' domu, wypełnionych podziwem dla pięknych rzeczy, które musiała rozpakowywać wtedy — i do tych wieczorów z Frankiem, kiedy była szczęśliwa. Potem przyjechali Lea Ambrose,

David Rodney oraz Tim, i po całych dniach musiała zajmować się chłopcem. Wspomnienie ostatniego okresu było najboleśniejse.

Rano Sybil znów zaczęła chodzić regularnie do zagrody, żeby przez godzinę pojeździć konno. Potem brała prysznic i jadła śniadanie, a następnie przystępowała do pracy. Do wczesnego popołudnia zajmowała się wypakowywaniem i sortowaniem.

Potem nadchodziła najpiękniejsza część dnia. Wong dawał jej jakiś suchy prowiant, pakowała swoje przybory do malowania, a następnie



wyruszała na poszukiwanie odpowiedniego miejsca, które mogłaby namalować.

W ten sposób spędzała wiele godzin, pogrążona w swoim nowym hobby, które fascynowało ją coraz bardziej. Mimo że miała do dyspozycji mały wybór farb, co jakiś czas udawało jej się tworzyć nowe kompozycje.

Namalowała całą serię obrazów przedstawiających zachód słońca, to był jej ulubiony temat. Wciąż wracała myślą do tego, jak David Rodney był zachwycony widokiem zachodu słońca. Mimo że jej wiara w niego się załamała, bardzo go jej brakowało. Tęskniła za nim zwłaszcza wieczorami.

Dzięki malowaniu nie myślała wprawdzie o Davidzie, ale nie udawało jej się całkowicie wyłączyć myśli o nim.

Dni mijały szybko pozostawiając jej niewiele czasu na rozmyślenia. Jednak z nastaniem ciemności dręczące myśli powracały. Godziny wlokły się wtedy w nieskończoność.

Pewnego dnia zadzwoniła do niej mrs. Whitney.

— Sybil, słyszałam, że jest pani w domu prawie zupełnie sama.

Takie wiadomości rozchodzą się zawsze błyskawicznie, pomyślała Sybil ze złością. Prawdopodobnie cała wyspa wiedziała, że David Rodney wyjechał w gniewie i zostawił ją samą.

— Chciałam panią zapytać — ciągnęła mrs. Whitney — czy nie miałyby pani ochoty zajrzeć do mnie i zagrać w tenisa?

Sybil ucieszyła się, że prawidłowo oceniła przynajmniej mrs. Whitney. Naprawdę była bardzo miła.

— Przykro mi, ale nie umiem grać w tenisa. To jednak bardzo miłe, że pomyślała pani o mnie — odparła uprzejmie.

— No cóż, moja droga, w takim razie proszę wpaść na drinka.

Sybil nie miała jednak zbytnej ochoty zadawać się z bogatymi ludźmi mieszkającymi na wyspie. Mogła sobie wyobrazić, jak było u Whitneyów, którzy zawsze mieli dom pełen gości.

— To naprawdę bardzo miło z pani strony, mrs. Whitney, ale nie jestem w nastroju do zebrań towarzyskich.

— Tym bardziej więc muszę się upierać przy swoim zaproszeniu. Ton pani głosu wskazuje, że jest pani bardzo zdeprimowana, moja droga, co napawa mnie troską. Proszę przyjść jutro na lunch, okay?

Mrs. Whitney była bardzo stanowcza i pozostała nieugięta.

W pośpiechu nie nasunęła jej się żadna stosowna wymówka, więc powiedziała z wahaniem:

— Jeśli nie sprawi to pani zbyt wielkiego kłopotu...

— Ależ nie. Bardzo się ucieszę, jeśli pani przyjdzie. Mój mąż wyjechał w interesach i, mówiąc szczerze, czuję się tu bez niego trochę samotna. Przyjdzie pani o pierwszej?

— Chętnie, dziękuję za zaproszenie. Sybil odłożyła słuchawkę.

Ku jej zaskoczeniu lunch z mrs. Whitney okazał się jednak bardzo sympatyczny. Stół został nakryty w uroczym patio, które porastały różne paprocie, a na jednym z boków znajdował się nawet mały wodospad.

Mrs. Whitney zdawała się naprawdę interesować jej kłopotami. Najchętniej Sybil opowiedziałaby jej całą historię swej beznadziejnej miłości do Davida Rodneya i zawodu, jaki jej sprawił.

W pewnym sensie mrs. Whitney wydawała się posiadać jakiś szósty zmysł i domyślać się, co ją gnębi, gdyż powiedziała:

— Ci milionerzy bywają czasem trochę ekscentryczni. Wiedziała pani, że poznałam swego przyszłego męża, kiedy szukał złóż uranu na farmie moich rodziców? — Spozrzęgszy zdziwiony wzrok Sybil, ciągnęła dalej: — Tak, moja droga, jestem córką biednego farmera.

Sybil spojrzała ze zdziwieniem na zadbaną, pewną siebie kobietę. Nagle odniosła wrażenie, że mrs. Whitney potrafi czytać w jej myślach, i zdenerwowana wstała.

— Naprawdę miała pani szczęście, mrs. Whitney, że znalazła pani mężczyznę takiego jak pani mąż. Nawiasem mówiąc, on bardzo panią kocha, widać to na pierwszy rzut oka.

— Nie powinna pani zbyt się niecierpliwić. Jestem pewna, że i pani znajdzie właściwego mężczyznę. Proszę zawsze pamiętać o tym, że jest pani młoda i piękna. Poza tym ma pani dobrze poukładane w głowie. Jestem spokojna o pani przyszłość.

Sybil uśmiechnęła się smutno, ale nic nie powiedziała. Podziękowała mrs. Whitney za lunch. Wspólny posiłek okazał się miłym urozmaiceniem, i była jej wdzięczna za to, że zainteresowała się jej samotnością.

Następnego dnia Sybil poszła znowu na plażę. Leżała tam stara beczka wyrzucona na brzeg przez fale.

Zaczęła ją malować wcześniej, a teraz pragnęła dokończyć dzieła. Przedstawienie masywnego kształtu beczki kosztowało ją już trochę trudu. Jeszcze trudniejsze było jednak uchwycenie na obrazie wody ze zmieniającymi się wciąż tonami błękitu i zieleni.

Ciągle próbowała, lecz rezultat nie zadowolił jej ani razu. Woda mieniła się tyloma odcieniami, od ciemnego granatu przez jasny turkus po białą pianę na plaży.

Późnym popołudniem usłyszała odgłos zbliżającego się samolotu. Maszyna leciała bardzo nisko, i kiedy Sybil podniosła wzrok, udało jej się odczytać napis: „Rodney Enterprises”.

Czy to możliwe, żeby David Rodney wracał? Nagle poczuła się jak sparaliżowana. Jeśli rzeczywiście tak było, to nie mogła raczej uniknąć spotkania. Musiała z nim rozmawiać. Sybil postanowiła nie dać się zbić z tropu i zachować się wobec niego z godnością.

Jeżeli siedział w samolocie, zapewne upłynie jeszcze dobra chwila, nim zjawi się w domu, gdyż droga z lotniska do domu nie była wcale taka krótka.

Sybil wróciła do swego obrazu. Ale po raz pierwszy nie mogła się skupić na malowaniu. Jej myśli nie były przy pracy. W końcu podarła rysunek i zrezygnowała. Spakowała swoje rzeczy i ruszyła w drogę powrotną.

W swoim pokoju zaczęła z miejsca pakować walizki. Potem włożyła strój, który miała na sobie, gdy tutaj przybyła. David Rodney powinien zobaczyć od razu, że jest gotowa do drogi i nie ma zamiaru zostawać w jego domu nawet minuty dłużej niż to konieczne. Dwie suknie, które jej podarował, zostawiła razem z bryczesami i sztylpami w szafie. Zabierze tylko własne rzeczy.

Następnie usiadła na łóżku czekając na jakiś odgłos, który zdradzi jej przybycie Davida. Zaczęło się już zmierzchać, kiedy zjawił się Wong. Mały Chińczyk wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

— Missee — powiedział ze swym dziwnym śpiewnym akcentem — mistel Lodney przyjechał. Mówi, że płosi panią przyjść i zjeść z nim kolację.

— Wong — odparła spokojnie Sybil — proszę powiedzieć mister Rodneyowi, że niestety nie mogę z nim zjeść kolacji. Chciałabym tylko pilnie z nim rozmawiać, i to jak najszybciej. Zrozumiał pan?

— On się lozgniewać — ostrzegł Wong posyłając jej bojaźliwe spojrzenie.

— Nic na to nie poradzę, Wong. Proszę mu powiedzieć dokładnie to, co panu przekazałam.

Mały człowiek skinął i kręcąc głową poczłapał do wyjścia. W dwie minuty później zjawił się znowu.

— On mówić, że pani natychmiast przyjść na kolację, albo on przyjdzie po panią. Przykło mi. Tak powiedział.

Wong uklonił się i zniknął w ciemności.

Sybil chwyciła swoją torebkę. David Rodney powinien dostrzec od razu, że ma z nim do omówienia jedynie sprawę zawodowe. Poza tym potrzebowała czegoś, czego mogłaby się przytrzymać.

Weszła po schodach na taras. Mam nadzieję, że to ostatni raz, pomyślała przy tym. Przez duże okna mogła zajrzeć do salonu, gdzie David Rodney chodził wielkimi krokami tam i z powrotem, niczym zwierzę w klatce.

Z przerażeniem stwierdziła, że na podłodze przed szklanymi drzwiami leżą jeszcze jej rysunki. Rozłożyła je tam wczoraj, żeby przyjrzyć się im w jasnym, naturalnym świetle salonu. Zostawiła je na podłodze, ponieważ nie sądziła, że ktoś będzie wchodził do salonu.

Obrazy tak bardzo odzwierciedlały jej uczucia, że na myśl, iż oglądał je David Rodney, ogarnęła ją wściekłość. Wydawało jej się, jakby w ten sposób odkryła przed nim dno swojej duszy. Wezbrał w niej gniew. Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i odsunęła szklane drzwi.

David zatrzymał się w pół kroku i patrzył na nią nieruchomo spod ciemnych brwi. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, Sybil wybuchnęła potokiem słów. W ciągu ostatniej godziny powtarzała sobie bez przerwy, co ma mu powiedzieć.

— Mister Rodney. Podczas pańskiej nieobecności nadszedł ostatni ładunek. Załatwiłam formalności celne, po czym wszystko wypakowałam i sporządziłam listę rzeczy. Tym samym dopełniłam wszelkich obowiązków wynikających z umowy, która została uzgodniona z miss Bevier. Mam nadzieję, że moją pensję zgodnie z ustaleniami przekazano na konto w Nowym Jorku. Jeśli nie, nie zamierzam z tego powodu podawać pana do sądu, gdyż z armią pańskich adwokatów tak czy owak nie wygram. Ale domagam się, żeby natychmiast umożliwił mi pan opuszczenie wyspy, wydając stosowne polecenia. Najchętniej odleciałabym jeszcze dziś wieczór, jeśli piloci nie są zbyt zmęczeni, a w przeciwnym razie jutro z samego rana. Jeśli nie zechce mi pan oddać do dyspozycji swojej prywatnej maszyny, wezmę samolot linii lotniczych. Wtedy jednak zmuszona będę prosić pana o opłacenie mego biletu, ponieważ nie mam wystarczającej ilości pieniędzy. Sądzę, że tyle przynajmniej mi się należy. W wypadku, gdyby nie był pan gotów tego zrobić, oznaczałoby to, że jestem tu poniekąd uwięziona, gdyż nie stać mnie w tej chwili na bilet. Nie byłoby to zbyt fair z pańskiej strony, jak sam pan z pewnością przyzna.

Sybil zaczęła spokojnie, lecz w trakcie mówienia coraz bardziej podnosiła głos i denerwowała się. Przez cały czas nie spuszczała jednak wzroku z jego twarzy. Niekiedy zdawało jej się, że dostrzega w jego oczach uśmiech, co potęgowało jeszcze jej wściekłość.

David Zrobił kilka kroków w jej kierunku i spojrzał na nią. W jego oczach znów pojawiły się błyski.

— Pomyślałem sobie, miss Morgan, że opłata za lekcje jazdy konnej wynosiłaby tyle co pani pensja. Nie jestem więc pani nic winny.

Na chwilę aż ją zatkało. Rozkazała sobie jednak zachować spokój.

— Łatwo panu żartować, Davidzie... chciałam powiedzieć, mister Rodney. Wszelka władza jest po pańskiej stronie. Ale dla mnie ta sytuacja na pewno nie jest wesoła. Chciałabym odlecieć jeszcze dzisiaj, i proszę, żeby wydał pan odpowiednie zarządzenia.

Popatrzył na nią spokojnie.

— Masz rację, Sybil. Żartowałem, lecz teraz chciałbym pomówić z tobą poważnie. Zajmie to chwilę, więc lepiej usiądź.

— Nie chcę siadać. Jak się zdaje, nie dotarło do pana, że pragnę opuścić ten dom natychmiast. Nie interesuje mnie, co ma mi pan do powiedzenia — zakończyła sztywno.

David Rodney schwycił ją mocno za rękę i zaprowadził do krzesła. Sybil próbowała się wyrwać, lecz jego palce zacisnęły się na jej przegubie niczym żelazna klamra. Usiadła, żeby uniknąć bolesnego chwytu. David wziął krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Spokojnie zaczął mówić.

— To długa historia, ta, którą muszę ci opowiedzieć, i może nie zrozumiesz wszystkiego. Ale wiem, że jesteś mądrą kobietą, i proszę, żebyś mnie wysłuchała do końca. Poza tym sądzę, że przynajmniej przez pewien czas byłaś mi życzliwa. Kiedy wszystkiego wysłuchasz, zdecydujesz, co chcesz robić. Jeśli w dalszym ciągu będziesz chciała wyjechać, zadbam o to, żebyś mogła odlecieć jak najszybciej. Traktuj to jako obietnicę. Mam jednak wrażenie, że w tej chwili nie jesteś skłonna dawać wiary moim obietnicom. Mam rację?

— Chciałabym natychmiast wyjechać, zanim dotknie mnie pan jeszcze boleśniej. — W głosie Sybil brzmiała udręka.

— Muszę obstawać przy tym, żebyś mnie najpierw wysłuchała — odparł. — Ten jeden raz muszę jeszcze postawić na swoim.

Zrobił przerwę, jakby musiał się zastanowić, jak zacząć. Następnie wziął jej ręce w swoje dłonie.

— Wtedy w łodzi powiedziałem ci, że od pierwszego wejrzenia uważałem cię za kobietę bardzo pociągającą. Natychmiast zdałem sobie sprawę, że Lea już mnie nie interesuje, czego ona naturalnie nie przeczuwała. Mój podziw dla ciebie wzrósł jeszcze, gdy zauważyłem, jak dobrze potrafisz obchodzić się z dzieckiem, jak bawisz się z nim i starasz się budzić jego kreatywność.

Wiesz, moje pierwsze małżeństwo było bezdzietne, bo Anna nie mogła mieć dzieci. Ja jednak zawsze pragnąłem mieć dziecko — z kobietą, którą kocham. Ale cofnąłem się zbyt daleko. Przepraszam.

Wbił wzrok w ziemię, pokręcił głową i znów zaczął mówić.

— Spodobała mi się twoja odwaga, kiedy pierwszy raz wybraliśmy się na przejażdżkę konną, i cenię twoją praktyczną inteligencję, którą poznałem w czasie, gdy pracowałaś dla mnie. Już po przylocie z Nowego Jorku, kiedy od razu zauważyłem, jak dobrze tutaj wszystko zorganizowałaś, byłem pod wielkim wrażeniem. Podobało mi się nie tylko ustawienie mebli, ale także idealny porządek w papierach.

W wieczór, kiedy Gerard był tutaj na kolacji, pomyślałem, że nigdy nie widziałem kobiety piękniejszej od ciebie. Biała suknia i twoja opalona skóra, to było nie do opisania. Ale znowu odbiegam od tematu...

Nagle uświadomiłem sobie, że nie chcę dłużej żyć bez ciebie. Ale mój problem polegał na ustaleniu, czy ty chcesz żyć ze mną. Było wiele dziewcząt, które chętnie posłubiłyby moje miliony. Ale jak mogę być pewny, czy chcą także mnie?

Dlatego już przed laty wymyśliłem drobną trik. Pytam każdą, czy chce podróżować ze mną po całym świecie i dzielić przyjemności mojego bogactwa. Oprócz ciebie nie odmówiła żadna.

Twarz Sybil poczerwieniała z gniewu.

— Uważam, że to nie było zbyt fair — wydusiła.

— Tak, może i masz rację. Ale wiesz, to jest mniej więcej tak jak w tej bajce, którą lubiłaś jako dziecko. Królewicz wyznacza warunek, że jego przyszła żona musi się przespać na stercie pierzyn, pod którymi ukryte jest ziarenko grochu. Tylko w ten sposób może ustalić, która jest prawdziwą księżniczką.

Ja także chciałem być pewny, że to ty jesteś tą właściwą. Ale twoja reakcja była tak gwałtowna, że zaniepokoiłem się i poprosiłem mrs. Whitney, żeby troszczyła się o ciebie. Codziennie dzwoniła do Wonga, ponieważ nigdy nie mogłem być pewny, co ci jeszcze strzeli do głowy.

Uśmiechnął się do niej.

Sybil nie wiedziała, czy powinna się śmiać, czy płakać, czy wierzyć mu, czy nie.

— I dlatego mnie zaprosiła do siebie?

— Tak, chciałem wiedzieć, co się z tobą dzieje. Wiem, że igranie z uczuciami innych jest niebezpieczne i nikczemne, i nie chciałem cię unieszczęśliwić. Lecz z drugiej strony chciałem też być pewny, że chcesz mnie poślubić nie tylko dla moich pieniędzy.

— Wiedziałaś o Franku?

— Tak. Straciłem głowę, gdy zorientowałem się, że tylko bawi się z tobą. — Uśmiechnął się do niej niczym mały chłopiec, wyznając: — Poza tym byłem zazdrosny.

— Nie, chodzi mi o to, czy wiedziałaś, że jest żonaty.

Jego twarz zachmurzyła się.

— Skąd o tym wiesz? — zapytał surowo. — Zabroniłem ci przecież nawiązywania z nim kontaktu. Nie chciałem, żebyś się tego dowiedziała, gdyż mogłem sobie wyobrazić, jak bardzo by cię to bolało. Ten człowiek to nicpoń i Casanova.

Twarz poczerwieniała mu z gniewu.

Sybil opowiedziała mu, jak wymknęła się z domu i poszła do wioski. A potem o brzemiennym rozmowie przez telefon. Lękliwie popatrzyła na Davida w nadziei, że nie będzie na nią zły. Poczowała ulgę, gdy zobaczyła, że się uśmiecha.

— Prawdopodobnie wyszło mi tylko na dobre, że dowiedziałaś się o małżeństwie Franka, w przeciwnym razie z pewnością do dziś byś mnie nienawidziła. Och, wiem dobrze, że na początku uważałaś mnie za kapryśnego tyrana. Zgadza się?

Sybil nie odpowiedziała jednak, nurtowała ją inna myśl.

— Davidzie, nie sądzisz chyba, że to ja ścięłam orchidee? — zapytała.

Tym razem to on się zdziwił.

— Celowo nie chciałem już mówić o tym. Kto wie, co w ciebie wtedy wstąpiło. Ten jeden raz zrobiłaś coś głupiego i nierozważnego.

Sybil uśmiechnęła się niepewnie. Po chwili wzięła się jednak znowu w garść.

— Nie wiem, dlaczego to zrobiła... mam na, myśli Leę. Może zauważyła, że nagle bardziej zacząłeś się interesować mną, i chciała mnie oczernić. A może tylko chciała przystroić stół i nieświadomie ścięła orchidee, a potem musiała znaleźć jakąś wymówkę. Nigdy się tego nie dowiemy. Mnie postawiła jednak w nieznośnej sytuacji. Gdybym zaprzeczyła, której z nas byś uwierzył?

Swojej narzeczonej czy sekretarce? Moje słowo stałoby przeciw jej słowu. Byłam w trudnym położeniu, i dlatego milczałam. — Spojrzała na Davida i musiała się roześmiać, zobaczywszy jego zdumioną minę. — Właściwie nie zamierzałam nigdy wyjawić tej tajemnicy... Znów jego twarz przybrała poważny wyraz.

— Sybil — rzekł czule. — Nie miejmy już tajemnic przed sobą, to prowadzi tylko do nieporozumień. Obiecujmy sobie to.



Spojrzała na niego w milczeniu, po czym podniosła się i nerwowo wygładziła spódnice.

— Dobrze — powiedziała niepewnym głosem. — Mam jeszcze jedną tajemnicę. Zakochałam się w tobie, kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy. Co prawda uświadomiłam to sobie znacznie później, ale potem, kiedy zaproponowałeś mi, żebym została twoją kochanką, nie mogłam uwierzyć, jak mężczyzna, którego kocham, może żądać czegoś takiego. Miałam wrażenie, że znowu się pomyliłam. — Zarzuciła mu ręce na szyję. — Ale tym razem popełniłam błąd, gdyż kocham cię bardziej, niż kiedykolwiek mogłabym kochać innego mężczyznę.

David wydał radosny okrzyk. Porwał ją w ramiona i zakreślił się z nią po pokoju.

— Jutro weźmiemy ślub. Whit i Mary mogą być świadkami! — zawołał zdyszany.

— Czy do tego nie są potrzebne jakieś dokumenty? — spytała roztropnie Sybil.

— W takim razie pojutrze albo jeszcze dzień później, gdy tylko papiery będą gotowe. — David uśmiechnął się do niej czule. — Jest jeszcze coś... ale nie, to może poczekać do kolacji.

Nie zważając na jej zdziwione spojrzenie zawołał Wonga, który natychmiast się zjawił.

— Wong, miss Morgan i ja bierzemy ślub.

— Ślub? Ślub! Szczęśliwego ślubu i szczęśliwego Nowego Loku!

— Jak ten czas leci! Zupełnie zapomniałem! Jest przecież sylwester! Wong, kiedy będzie gotowa kolacja?

— Już gotowa, całkiem gotowa.

— Dobrze, w takim razie zjemy na tarasie — David zwrócił się do Sybil. — Zapomniałem, że jest sylwester.

— Ja też. Mam się przebrać?

— Ależ nie. — Wziął ją w ramiona. — Wyglądasz cudownie, a ja cię nie puszczę, nawet na minutę. Teraz i w ogóle.

Sybil uśmiechnęła się uszczęśliwiona i przytuliła się do ukochanego.

Wong wkrótce wszystko przygotował, i kolację poszli zjeść na tarasie.

Sybil ledwo mogła pojąć własne szczęście. Nasłuchiwała odgłosów wiatru, który szepcząc przeciskał się między palmami, a nad sobą widziała czyste rozgwieżdżone niebo. Błyszczący sierp księżycy wydawał jej się obietnicą nowego szczęśliwego początku. Spojrzała na Davida, który w świetle świec uśmiechnął się do niej.

— Zamknij oczy i nie waz się ich otwierać — rozkazał. Sybil zamknęła oczy i zadarła głowę jak dziecko.

— Już możesz otworzyć. Wypijmy!

Kiedy uniosła swój kieliszek z szampanem, w środku dostrzegła migotanie, które nie mogło pochodzić od szampana. Ostrożnie sięgnęła do kieliszka i wyłowiła prześliczny pierścionek z diamentem. Oniemiała z radości trzymała go w dłoni.

— Davidzie... — wyszeptała po chwili.

— Musisz go włożyć na palec. Takie jest jego przeznaczenie.

A ponieważ ręce bardzo jej drżały, osobiście wsunął jej kosztowny pierścionek na palec. Potem przytrzymał ją za rękę i pocałował po kolei wszystkie palce.

— Kocham cię, Sybil — powiedział ochrypłym głosem. I natychmiast przypieczętował tę przysięgę długim pocałunkiem, który przekonał Sybil ostatecznie...

RS

RS